

KAMENIA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO
LITERACKI



ROK XII (XX) LUBLIN, 1953 · NR 3 (89)

T R E Ś Ć

	Str.
DWUDZIESTOLECIE „KAMENY”	1
MARIA BEHCZYC-RUDNICKA: Z codziennych rozważań	3
RYSZARD LISKOWACKI: Szlak	8
EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI: Kronika JMP Woyszy	13
ZYGMUNT MIKULSKI: Poeta i redaktor, Trzy strofy uliczne, Noc lipcowa	16
LUDWIKA WOŹNICKA: Jedna z wielu	20
STEFAN WOLSKI: Lubelski Lipiec	24
HELENA PLATTA: Na rok kopernikowski	25
KONRAD EBERHARDT: Wobec pożaru	25
MAREK ADAM JAWORSKI: Wisła w Kazimierzu	30
KONRAD BIELSKI: Z wierszy o Kazimierzu	31
WACŁAW GRALEWSKI: Klimaszewski	31
ADOLF SOWIŃSKI: Skala	35
MARIA SZCZĘPOWSKA: Walka trwa	37
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: Wspinaczka, Pochwała sportu wysokogórskiego	42
LIST KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO DO REDAKTORA „KAMENY”	43
TADEUSZ BOCHĘŃSKI: Kornel Makuszyński w Zakopanem	43
ANATOL FRANCE: O Franciszku Rabelais — przeł. Anna Jakubiszyn	47
TADEUSZ KŁAK: Kartka ze zniw	51
WOJCIECH KIELCZEWSKI: Gołębek	51
ALINA RYBICKA: Czyn festiwalowy	51
HENRYK GAWARECKI: Zjazd Naukowy Stowarzyszenia Historyków Sztuki	53
RECENZJE: Józef Nikodem Kłosowski — Stanisław Zieliński „Jeszcze Polska”; Jan Wiktor „Papież i buntownik”; Mirosław Żuławski „Rzeka czerwona”; K. A. Jaworski — Nowa antologia czeska powojennej poezji polskiej; Jerzy Starnawski — Antologia najdawniejszej poezji łacińskiej w Polsce	54
KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY: Irena Iskrzycka — Twórczość Wita Stwosza w Polsce (na marginesie wystawy w Muzeum Lubelskim); I. M. — Rok Odrodzenia i Rok Kopernikowski w Lubelszczyźnie; I. M. — I Ogólnopolski Konkurs Recytatorów; Helena Platta — O nagro- dzonej Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Lublinie: Halp — Filhar- monia; Szkoły Muzyczne; Ogniska Muzyczne; Kaj — Artos; — H. P. — Teatr Domu Oficera Warszawskiego Okręgu	59

Okładkę projektował FRANCISZEK SEIFERT.

K A M E N A

KWARTALNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XII (XX)

LUBLIN, 1953

Nr 3 (89)

Czas 2552/12/9

DWUDZIESTOLECIE „KAMENY”



We wrześniu rb. upłynęło 20 lat od ukazania się pierwszego zeszytu „Kameny”. W ciągu tego czasu pismo przechodziło trzy okresy: sześcioletni przedwojenny (1933—1939), czteroletni powojenny (1945—1949) i obecny od 1952 r. W dwóch pierwszych okresach „Kamena” była samodzielną placówką literacką, za której charakter odpowiedzialny był wyłącznie jej redaktor, od ubiegłego roku stała się organem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

W numerze 4 — 6 (47 — 80) za październik 1948 r. w artykule „Mały jubileusz”, napisanym z okazji piętnastolecia „Kameny”, przedstawiłem genezę tego pisma. Z artykułu tego przytoczę tylko fragmenty, a potem zatrzymam się na innych sprawach, których wówczas nie poruszyłem.

„Myśl wydawania pisma literackiego w prowincjonalnej dziurze (Chełmie Lubelskim) liczącej podówczas trzydzieści tysięcy mieszkańców powstała w lecie 1933 r. na zebraniu towarzyskim, w którym wzięło udział kilku nauczycieli chełmskich interesujących się bliżej sztuką. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5 — 10 zł. miesięcznie, wybrano skarbnika i administratora w osobie malarza Zenona Waśniewskiego i redaktora — niżej podpisanego. Składki letnie i wrześniowe miały pokryć nakład pierwszego numeru, redaktor miał dwa miesiące na zmontowanie zeszytu. Wszedłem w kontakt z kolegami lubelskimi i wkrótce we wrześniu numer był gotów. Wytłoczyła go miejscowa drukarenka. W ten sposób uczyniliśmy krok pierwszy. Ambicją naszą było, żeby pismo nie stało się efemerydą, która zamrze po kilku miesiącach, jak tyle już tego rodzaju prób w Polsce. Postanowiliśmy utrzymać „Kamenę” przynajmniej przez jeden rok, wydawać szczupłe numery, ale możliwie regularnie — 10 zeszytów rocznie z wyłączeniem miesięcy letnich”...

Dalej artykuł przedstawiał, jak „Kamena” stopniowo zyskiwała wciąż nowych współpracowników. Nie istniały wtedy koła młodych przy oddziałach Związku Literatów, powodzenie w poszukiwaniu nieznanymi talentów zależało więc jedynie od inicjatywy redakcji. Przez stronicę „Kameny” w ciągu sześciu lat przedwojennych przewinęły się prawie wszystkie znane wówczas nazwiska i wiele nazwisk znanych dopiero dzisiaj. Znajdujemy tam między innymi takie ciekawostki, jak wiersze... Kotta i Matuszewskiego. Współpracownicy pisma werbowali się z różnych środowisk literackich: krakowska awangarda, wileńscy żagaryści, warszawska grupa S, autentycy spod znaku Czernika i in. „Kamena” opierała swój byt przede wszystkim na entuzjazmie i bezinteresowności współpracowników, nie wypłacaliśmy nikomu żadnego honorarium autorskiego i nikt się o nie nie upominał. Trzykrotnie zwracaliśmy się z prośbą o zasiłek do Funduszu Kultury Narodowej, ale zawsze bezskutecznie. Przez cały czas sześcioletniego istnienia przed wojną byt „Kameny” był oparty wyłącznie na własnym funduszu. Dorywczo i rzadko korzystało wydawnictwo z pomocy Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej i Ministerstwa Oświaty. Nasze składki oraz dochód z rozprzedanych egzemplarzy i prenumeraty musiały wystarczyć na pokrycie kosztów numeru.

Czy „Kamena” jako miesięcznik literacki, ściślej poetycki, reprezentowała wyraźniej jakąś „szkołę”? Nie. Była raczej pismem eklektycznym. Miała jednak pewną linię artystyczną. Przytoczymy tu słowa z artykułu „Spojrzenie wstecz”, zamieszczonego w Nr 10 rocznika pierwszego: „Stoimy na tym stanowisku, że powaga dziejów, w których żyjemy, wymaga i szczególnie poważnego ustosunkowania się do słowa, będącego materiałem twórczości literackiej; że w okresie inflacji poezji budulcem tym posługiwać się należy ostrożnie, ekonomicznie z pełnym poczuciem odpowiedzialności, cechującej świadomego artystę. Stąd sympatie wiążące nas z awangardą poetycką, wysuwającą celowość ekonomicznej konstrukcji wiersza, jako jedno z zasadniczych wymagań współczesnej poezji. Ciążąc jednak ku awangardzie „Kamena” nie zajmowała nigdy stanowiska krańcowo jednostronnego, dlatego też na jej kartach znajdowały się utwory i innych pisarzy. Żyjemy w czasach ogólnego fermentu i przetwarzania się pojęć. Dotyczy to w równej mierze i poezji. Nic nie ma pewnego i ustalonego, wszystko jest w stanie płynnym. Kryteria dobre wczoraj dziś mogą zmienić się do niepoznania”. (Czerwiec 1934 r.).

A pod względem ideowo-politycznym? Cytujemy inne miejsce tego artykułu: „Kamena” nie wiąże się z żadnym obozem politycznym... Rozumiemy jednak dobrze społeczne podłoże literatury związanej z życiem i opierającej się na nim. Zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu... To właśnie rzeczowe ustosunkowanie się do współczesności dzisiejszej każe „Kamennie”, abstrahując znowu od wszelkiej polityki, zwrócić specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie, a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów — narodów mających mało przeszkód dzielących je, za to wiele punktów stycznych — łączących”. (To wszystko pisane w czerwcu 1934 r.).

Przedwojenna „Kamena” spotykała się z życzliwą, nieraz bardzo serdeczną oceną poważnych pism literackich i prasy codziennej.

Tak więc np. „Sygnały” w nrze z dn. 15 lipca 1939 r. pisały: „Pojawił się potrójny numer tego sympatycznego i powszechnie lubianego pisma literackiego. Dzięki niezmiernym wysiłkom redaktora przetrwało tak długi okres czasu znacząc chlubnie trwały ślad w kulturze i literaturze polskiej”. „Tygodnik Ilustrowany” z dn. 15 stycznia 1939 r. stwierdza: „Przez pięć lat istnienia czasopisma przewinęło się w nim niemal wszystko, co w tym okresie czasu w Polsce miało coś do powiedzenia w dziedzinie poezji. Być może wiele tam rzeczy drukowano zbyt liberalnie, zbyt wyrozumiale, ale niewątpliwie z wielką zawsze przychylnością i ludzkim szacunkiem. Noty redakcji zawsze nosiły wszelkie cechy szlachetności i poczucia godności pisarza oraz człowieka”. „Wiadomości Literackie” w nrze z dnia 20 sierpnia 1939 r. oświadczają: „Jesteśmy przeciwnikami tworzenia pism za pieniądze państwowe, ale obowiązkiem powołanych do tego instytucji państwowych (mowa o Funduszu Kultury Narodowej - przyp. redakcji) jest popieranie pism, które już zdały egzamin, które wykazały swoją żywotność. Do nich należy właśnie „Kamena”, sympatyczny miesięcznik regionalny, wydawany w najtrudniejszych warunkach z podziwu godnym uporem, przepojony szlachetnym i czystym umiłowaniem poezji”.

Wyjątek stanowiły tylko niektóre organy endeckie i oenerowskie. Napastliwie ustosunkował się również do pisma tygodnik chełmski „Kronika Nadbużańska”, który powitał ukazanie się pierwszego numeru drugiego rocznika „Kamenny” artykułem pt. „Chełm stolicą „pomylonego” grafomaństwa”. „To nie poezja a choroba umysłowa — pisze niezbyt poprawnie po polsku autor tego artykułu — mania pisania i mania zostania wielkim. Całe szczęście, że nasza „stolica” posiada odpowiedni zakład, który w razie przybrania niebezpiecznej dla otoczenia i samych pacjentów formy może przyjąć na kurację tych nieszczęśliwców, chorych

na „odrodzenie” poezji polskiej”. Symplicystyczny artykuł ten, którego podszewka kryła urazę autora, właściciela zakładów graficznych, o to, że „Kamień” chociaż się nie w jego drukarni, poza chęcią dokuczenia redaktorowi i wydawcy nie miał jednak żadnych innych celów.

Wyraźniej ustosunkował się do „Kamienia” endecki „Głos Lubelski”, który w numerze z dnia 21 marca 1935 r. zamieścił artykuł pt. „Dwie kultury”. Oto charakterystyczne wyjątki z niego. „Dwa mamy fakty do zanotowania: 1. w Łodzi większość Rady Miejskiej uchwaliła, że odtąd nagroda literacka miasta Łodzi w wysokości 10.000 zł. przyznana być może wyłącznie Polakowi — chrześcijaninowi mogącemu wykazać swoje pochodzenie polskie... 2. w Lublinie okazuje się, że komunizujące piśmiennictwo literackie wychodzące w Chełmie „Kamień” jest subsydiowane a przynajmniej popierane moralnie przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, instytucję niemal półurzędową, subwencjonowaną przez samorządy... Nie znamy literatów wydających „Kamień”, znamy za to ich oblicze ideowe, wiemy, jaki dorobek wnoszą do ogólnego dorobku kulturalnego. Ta cała literatura „proletariacka” pachnie zdaleka wschodem i zalatuje prądem ideowym wylewającym się na Polskę z Nalewek... Przed literaturą tego typu już nie tylko społeczeństwo, ale państwo broni się jak może. „Kamień” jest oczywiście cenzurowana i cenzuralna. Ale jej kierunek ideowy i rodzaj wartości, jakie tworzy, nie kwalifikują jej bynajmniej do subwencji czy tylko poparcia moralnego Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej”.

Toteż wznawiając „Kamień” po wojnie redakcja miała prawo oświadczyć w słowie wstępnym: „Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale i w nową epokę Polski. Stojąc w obliczu dzisiejszej rzeczywistości z radością i dumą stwierdzamy, że w jej budowie i naszej skromnej cegiełki nie zbrakło... W ciągu sześcioletniego istnienia „Kamienia” na swym odcinku antycypowała poniekąd te ideały i hasła, które się dzisiaj w naszych oczach ucieleśniają...” (Listopad 1945 r.).

Trzeci etap istnienia „Kamienia” rozpoczął się w r. 1952, z chwilą gdy stała się organem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Program pisma, które dąży do jak najszerszego uwzględnienia zagadnień współczesnych, sformułowaliśmy w poprzednim numerze.

kaj

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Z CODZIENNYCH ROZWAŻAŃ

Cechą charakterystyczną postępowych pisarzy jest przejście się wydarzeniami politycznymi, w których ujawnia się ludzka krzywda i siła przeciwstawionego jej protestu. Znajduje to dzisiaj wyraz na łamach naszych tygodników literackich nie tylko w beletrystyce, ale i w bezpośrednich wypowiedziach publicystycznych. Jest rzeczą jasną, że omówienie polityki międzynarodowej w piśmie kwartalnym musi poprzestać na aktualności długofalowej. Może to jednak być do pewnego stopnia plusem przy szukaniu „gorejących wątków”, albowiem waga różnych spraw i „sprawek” precyzuje się po większej części dopiero wtedy, gdy czas dokona selekcji w codziennych szczegółach.

I właśnie tak jest z obecną fazą sprawy Korei, wywołującej od trzech lat niepokój wśród ludzi o czujnym sumieniu. Otóż te kilkanaście tygodni, które dzielą nas od ukazania się ostatniego numeru „Kamienia”, stanowią specyficzny rozdział w dziejach problemu koreańskiego. Trudno obronić się — i nie trzeba się bronić — przed uczuciem najgłębszego wstrętu, gdy śledzimy podstępne chwytły polityków USA na tym odcinku czasu. Przez tysiąc dni wojny „domowej” w Korei niedola bohaterskiego ludu leżała nam na sercu ciężkim kamieniem. Wiadomo, że prawo perspektywy działa inaczej w psychice uczciwego człowieka niż w optyce fizycznej: wielomilowa odległość nie pomniejszała cierpień koreańskich kobiet i dzieci w oczach ich przyjaciół polskich. Między innymi

i świat literacki manifestował raz po raz swój gorący protest — wierszem i prozą, wypowiedziami w prasie, odczytami i mowami na wiecach bądź konferencjach. Toteż kiedy nareszcie koniec lipca przyniósł podpisanie upragnionego rozejmu, powitaliśmy ten dzień, wraz ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, jak święto radości.

I zdawało się wówczas, że pierzchną dręczące wizje, że odtąd już będzie można myśleć, mówić i pisać o odbudowie Korei, o tym, jak szybko dźwiga się z ruin, jak coraz liczniejsze wyrastają na jej okaleczonej ziemi szkoły i domy kultury.

Lecz tam, gdzie wyobraźnia artysty maluje ludzi i ich życie, tam businessman z Wall Street widzi tylko drogi strategiczne do surowców. Nie zdążył, że tak powiem, wyschnąć atrament na podpisach mężów stanu pod aktem rozejmu, a już powszechną radość zmaciła pogłoska, że John Foster Dulles odwiedził „krwawego starca” Li Syn-mana w Seulu, by przyznać mu prawo realizowania jego celów „własnymi środkami”. „Pakt bezpieczeństwa” zawarty z marionetkowym rządem południowej Korei przewidywał pozostawienie tam wojsk amerykańskich na czas nieograniczony. Potem nastąpił okres cynicznego gwałcenia umowy o rozejmie przez bandy Li Syn-mana i Czang Kai-szeka oraz seria matactw dyplomatycznych w stylu waszyngtońskim. Widocznie liczba 420 tysięcy bomb zrzuconych na Phenian wydawała się monopolistom amerykańskim zbyt nikła. Zapowiadali imprezę - *monstre* z udziałem „Hildy” i bomby wodorowej. Zakłócanie pokoju świata groźbą wojny jest ich specjalnością.

Tedy utrudniano systematycznie pracę powołanej legalnie Komisji Repatriacyjnej Państw Neutralnych. Lisynmanowcy i czangkajszekieści stosowali bez ustanku prowokację, terror — wszelkie bestialstwa, uniemożliwiając powrót jeńców z Korei południowej. Równoległe z tym ich mocodawcy prowadzili grę na zwioke w ONZ. Używano się różnych kruczków, aby nie dopuścić państw neutralnych do udziału w konferencji politycznej w sprawie Korei.

W chwili, gdy piszę o tej wielkiej intrydze, niepewność jeszcze trwa.



Ten sam „trust mózgów” planuje, jak wiadomo, ujarzmienie Europy siłami wskrzeszonego w Niemczech Zachodnich faszyzmu. Propaganda dulatesowsko-adenauerowska wydała we wrześniu swój trujący owoc w postaci Bundestagu odwetowców. Wiemy o tym dobrze. Lecz gdyby nawet wynik wyborów nie był taki, jaki jest, to znaczy wzmagający pokaznie napięcie w sytuacji międzynarodowej, warto przecież byłoby mieć stale w pamięci orgię szowinistyczną rozpetaną w okresie przedwyborczym, bo ujawniły się wówczas ze szczególną jaskrawością wszystkie zakorzenione pretensje tradycjonalistów *Grossdeutschland* spod znaku Bismarcka i Hitlera. Wszak kanclerz Adenauer szermuje bez żenady hasłami *Drang nach Osten* i „nowego ładu” w Europie. Czyż nie był wymowną ilustracją nastrojów neohitlerowskich chociażby zjazd z okazji 700-lecia Poznania — *urdeutsche Stadt!* A zjazd „Niemców z Gdańska”, „pielgrzymki” z błogotawieństwa episkopatu i Watykanu, zjazdy *soldatenbundów* i „przesiedleńczych ziomkostw”, przede wszystkim zaś zjazd w Hamburgu, łudząco podobny do faszystowskich *parteitagów*.

Rząd Adenauera, opierający się na zaciekrzewionych hitlerowcach, finansowany przez rodzimych obszarników i bankierów oraz przez monopolistów USA, nie ukrywa swego programu-minimum w zakresie terytorialnym, mianowicie postulatu odebrania wszystkich ziem, które kiedykolwiek należały do „wielkoniemieckiego obszaru”, a więc Alzacji i Lotaryngii, ziem duńskich, belgijskich, holenderskich, w kierunku zaś wschodnim — terenów polskich po Poznań włącznie (na początek!).

Ostatnio prasa codzienna doniosła, że pod zagadkową nazwą „*Tiefe und Forschung*” zakonspirowano plan przerzucenia do krajów demokracji ludowej i do Związku Radzieckiego agentów wyposażonych w sprzęt techniczny, w aparaty radiowe nadawcze i odbiorcze pochodzenia amerykańskiego.

A w stanie Maryland odbywa się szkolenie kadr administracyjnych dla Europy wschodniej!

Pentagon jest przekonany, że można zmusić świat, by się obracał dokoła osi Bonn-Waszyngton.



Brudna robota USA rzuca się dzisiaj najwięcej w oczy na terenie Korei i zachodnich Niemiec. Wiadomo jednak, że cała kula ziemską upstrzona jest obecnie punktami zapalnymi. I gdziekolwiek powstają jakieś zamieszki, zawsze — po nitce do kłębka — dojdziemy do Wall Street. Kto stracił 300 tysięcy żołnierzy i oficerów w wojnie wietnamskiej? Francuzi. Tak, ale kto dostarcza broni i amunicji francuskiemu korpusowi ekspedycyjnemu? Amerykanie — w nadziei rozszerzenia agresji na lądzie azjatyckim. Ta sama przyświecała im nadzieja, gdy przyzwolili na wtargnięcie oddziałów czangkajskich do Burmy. Na początku lutego br. prezydent Eisenhower wydaje nagle rozkaz o „denuclearizacji” wyspy Taiwan. Cóż to znaczy? To, że chodziło o rozwiązanie rąk kuomintangowcom, swoim ludziom. Taiwan jest doskonałą bazą morską i lotniczą dla wypadów na kontynent. Dalej. W sierpniu zostaje obalony w Iranie niewygodny dla monopolistów rząd Mossadika: organizatorem puczu był generał amerykański Schwarzkopf, premierem robi się generała Zahedi, agenta USA, byłego pachołka hitlerowskiego. W konflikcie marokańskim też oczywiście nie obchodzi się bez udziału Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek bezpośrednim gnębicielem Marokańczyków jest tutaj satrapa francuski generał Guillaume. Maroko, „kamień węgielny obrony atlantyckiej,” należy do sfer zainteresowania USA: w 1950/51 r. Pentagon zdobył tu kilkanaście tysięcy ha na budowę wielkich baz lotniczych dla uzupełnienia już istniejących. A krajom Ameryki Łacińskiej narzuciły Stany Zjednoczone jeszcze w r. 1947, tzw. „pakt o obronie zachodniej półkuli”.

Itl., itd!

Z najświeższych posunięć przypomnijmy układy z Franco i z Grecją. Pierwszy dał USA za 226 milionów dolarów oficjalne prawo zakładania w Hiszpanii i jej koloniach baz wojskowych, — morskich i lotniczych. Na mocy drugiego Grecja zamieniła się w arsenał Stanów Zjednoczonych.

Obraz uzupełnia kuglarska sztuczka w Trieście, któremu wynalazcy „europejskiej wspólnoty obronnej” wyznaczili niepoślednią rolę w planowanej agresji.

Taki oto „wianuszek” splatają chciwe ręce wallstreetowców dokoła Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej.



Kalkulacja kupiecka zawodzi, kiedy, będąc woluntarystyczna, nie bierze pod uwagę wszystkich wchodzących w grę czynników. W preliminarzu politycznym USA pominięto bardzo ważną pozycję: naturalne dążenie ludów do wolności. Zapomniano, że sprawiedliwy gniew, oparty na ostrym widzeniu krzywdy, występował już niezliczone razy w charakterze regulatora stosunków społecznych i politycznych, mobilizując masy do walki.

Przebieg wojny w Korei obniżył wydatnie prestiż Stanów Zjednoczonych. I nie zastrasza już świata bombą wodorową, skoro wiadomo, że tego monopolu nie posiadają. Na wszystkich kontynentach narody uprzykrzyły sobie „opiekę” i „pomoc” Wall Street. Czyż nie było np. charakterystycznym faktem ogłoszenie przez 20 związków zawodowych w Montevideo dnia walki przeciwko sojuszowi wojennemu z USA? Walka mas ludowych z rządami marionetkowymi w krajach Ameryki Łacińskiej przybiera na sile. Mniej więcej tak samo mają się sprawy w Iranie czy w Afganistanie, gdzie Amerykanie kłócą się z Anglikami o naftę i drogi strategiczne, a naród wyraźnie ma dosyć i jednych i drugich.

Indie solidaryzują się z Chinami Ludowymi w sprawie członkostwa Chin w ONZ. Malaje i Indonezja walczą o niepodległość. We wszystkich krajach kapitalistycznych i kolonialnych szerzy się ruch robotniczy bądź narodowo-wyzwoleńczy.

Im dalej, tym więcej oporów napotyka hegemonia USA w Europie. Politycy amerykańscy domagają się blokady ekonomicznej ZSRR i krajów demokracji ludowej, podczas gdy Anglia, Francja i Włochy chcą handlować ze Wschodem. Kryzys polityki atlantyckiej zarysował się bardzo wyraźnie we Włoszech. Przecież de Gasperi upadł w wyborach dlatego, że naród czyni go odpowiedzialnym za okupację amerykańską. Zalanie rynku włoskiego towarami z USA spowodowało, rzecz prosta, zamykanie fabryk i wzrost bezrobocia.

Ale najbardziej symptomatyczne jest to, co się dzieje od kilku miesięcy we Francji. Ma-

my jeszcze w żywej pamięci potężny strajk sierpniowy, który rozlał się szeroką falą po całym kraju. Miliony ludzi pracy protestowało przeciwko zamierzeniom „oszczędnościowym” Laniela, wynikłym z potrzeby łatania budżetu państwowego, nadszarpniętego wojną w Wietnamie. Masy ludowe coraz wyraźniej widzą związek, jaki istnieje między ich trudnościami materialnymi a atlantycką polityką wojny. Nie uszedł np. powszechnej uwagi fakt, że bezpośrednio po wyasygnowaniu przez USA 385-milionowej subwencji dla rządu francuskiego, wycofano z Niemiec zachodnich 9 batalionów francuskich, aby skierować je do Indochin.

Na krajowej konferencji w sprawie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego, zwołanej z inicjatywy grupy działaczy społecznych do Paryża, ludzie o różnych poglądach politycznych występowali jednomyślnie — w interesie niezawisłości Francji — przeciwko układom z Bonn i Paryża, przeciwko ratyfikacji projektu „armii europejskiej”. Z głębokim wzruszeniem przeczytaliśmy w prasie codziennej słowa byłego uczestnika Ruchu Oporu, pisarza L. Villesfosse: „Patrioci francuscy i oficerowie rezerwy nigdy nie wstąpią do armii, w której służyć będą członkowie Stahlhelmu i mordercy ludności Oradour. Wstąpienie do armii europejskiej byłoby naigrawaniem się z pamięci Francuzów, którzy padli w walce o wyzwolenie Francji od hitleryzmu”.

Dzień 11 listopada, 35 rocznica podpisania rozejmu w pierwszej wojnie światowej, przekształcił się we Francji w dzień protestu przeciwko ohydnyemu układowi.



Pokojowa polityka ZSRR zyskuje coraz więcej zwolenników wśród narodów wszystkich krajów. Noty, które Związek Radziecki wyśtosoował w ostatnich miesiącach do rządów Anglii, Francji i USA, zmierzają konsekwentnie do zlikwidowania sporów międzynarodowych na drodze rzetelnych rokowań. Dotyczy to w głównej mierze problemu niemieckiego. Inicjatywa zrzeczenia się z dniem 1 stycznia 1954 r. odszkodowań wojennych od NRD, narady z państwową delegacją Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Moskwie —

były też niewątpliwie ważnymi momentami w akcji prowadzonej na rzecz zjednoczenia Niemiec i zawarcia z nimi traktatu pokojowego na bazie uchwał poczdamskich.

Jak dalece polityka ZSRR i całego obozu pokoju odpowiada pragnieniom narodów, świadczy o tym wyraźnie atmosfera wielkich spotkań międzynarodowych w sierpniu, wrześniu i październiku. Uczestnicy IV Światowego Festiwalu Młodzieży, który zgromadził w Bukareszcie 28 tysięcy osób ze 106 krajów, manifestowali entuzjastycznie pod hasłem „Pokój i przyjaźń”. Polityka bowiem przygotowań do nowej wojny stała się przyczyną ciężkich warunków, w jakich żyje obecnie młodzież krajów burżuazyjnych. Wkrótce po tym pięknym zlocie w stolicy naszej — „mieście symbolizującym ogromne możliwości rozwojowe człowieka” — rozbrzmiały takie słowa:

„My, przedstawiciele studentów ze wszystkich stron świata, zebrani na III Światowym Kongresie Studentów w Warszawie, omawialiśmy w toku swobodnej dyskusji i wymiany poglądów nasze wspólne problemy i opracowaliśmy program ich rozwiązania.

Przybyliśmy z różnych krajów, mamy różne wierzenia i poglądy. Między nami są konserwatyści i liberałowie, socjaliści i komuniści, katolicy i protestanci, prawosławni i muzułmanie.

Ale różnice w naszych poglądach i wierzeniach nie przeszkodziły nam w osiągnięciu jednomyślności w wielu poważnych problemach życia i nauki studentów...

Miliony prostych ludzi wszystkich krajów żyją jedną myślą, jednym pragnieniem — utrzymać pokój, umocnić przyjaźń między narodami.

Łącząc się z głosem narodów świata, uczestnicy Kongresu zwracają się do was, studenci i studentki, z wezwaniem, abyście się domagali przeprowadzenia rozmów na temat spornych problemów międzynarodowych. Naszej nauce, naszej pracy i naszej przyjaźni niezbędny jest pokój na całym świecie”.

Tylko bezduszni spekulanci polityczni mogą zignorować ten głos młodych, — przyszłych gospodarzy świata.

Wiele ostrzeżeń pod adresem monopolistów amerykańskich i rewizjonistów bońskich padło w październiku na III Światowym Kongresie Związków Zawodowych, gdzie 819 uczestników przybyłych z 79 krajów reprezentowało

88.600.000 zorganizowanych robotników i pracowników umysłowych wszystkich przekonań politycznych, wszystkich ras, narodowości i religii. Kongres opracował wspólnie program działania odzwierciedlający dążenia ogółu ludzi pracy do dobrobytu i pokoju. Rzucił on rękawicę ciemnym siłom, które, w pogoni za maksymalnymi zyskami, zaostwiają napięcie w stosunkach międzynarodowych. Siły te uzbrajają Niemcy zachodnie, odbudowują potęgę militarną Japonii, wzmagają wyścig zbrojeń, ciążący coraz dotkliwszym brzemieniem na barkach mas pracujących. Manifest Kongresu wzywa świat pracy do walki o zmniejszenie wydatków na zbrojenie i o zużytkowanie uzyskanych w ten sposób sum na cele pokojowe, na rozwój gospodarki i kultury, — wzywa do walki o to, by Organizacja Narodów Zjednoczonych, przestrzegając zasad swej Karty, wróciła do swojej właściwej roli, do wykonywania zadań ułatwiających pokojową współpracę narodów.

Dalekie, bardzo odległe już są czasy, kiedy wyraz „nota” brzmiał dla nas obco. Nie będzie to frazesem, gdy wyrażę przekonanie, że każdy uczciwy Polak przyjął tekst noty rządu PRL z dn. 21.XI. jak słowo swoje, płynące z milionów serc i umysłów. Apel rządu polskiego do wszystkich państw, które sąsiadują z Niemcami, by nie ustawały w wysiłkach zapobiegających odrodzeniu imperializmu i militarystyki niemieckiego, jest wyrazem naszej najistotniejszej racji stanu. Panom z Wall Street zależy na zyskach, nam idzie o życie.

Od dziewięciu przeszło lat, odkąd kraj nasz jest republiką ludową, otwarte są przed nami niebywale perspektywy rozwojowe. Wysoki wzlot ducha zwielokrotnił siły narodu przebudowującego swój dom codziennym bohaterskim trudem. Dzisiaj, dzięki ofiarności świata pracy i dalekowzrocznej polityce Partii, osiągnęliśmy już taki potencjał gospodarczy, który upoważnia do wysunięcia na czoło najbliższych zadań podniesienie stopy życiowej mas pracujących. Uchwały IX Plenum KC PZPR wzmocniają naszą zwartość we Froncie Narodowym, będąc potężnym bodźcem do nieustającej walki o pokój, nieodzowny warunek szczęśliwego jutra.

Stosunek Polaków do niebezpieczeństwa wojny jest siłą rzeczy wybitnie emocjonalny. Emocjonalny i zarazem trzeźwy: dostrzegamy wszystkie czynniki, które mogą składać się na zaostrzenie kontrowersji międzynarodowych, jak również te, które osłabiają napięcie. I wierzymy niezłomnie w zwycięstwo wielkiej kampanii pokojowej prowadzonej przez postępową ludzkość i jej parlament — Światową Radę Pokoju.

„Czas pokaże przyszłym pokoleniom, kto wybrał słuszną drogę, kto zaś błędził, kto śmiało spoglądał naprzód, a kto usiłował zawrócić wstecz” — pisał niedawno Ilja Erenburg. — „Słuszność swoich idei wykazać można nie przy pomocy bomb, lecz przy pomocy książek, miast, kłosów... Nie ma siły potężniejszej niż rozum i serce narodu. Republika radziecka rozpoczęła swą drogę od tych samych słów, które dziś powtarza ludzkość, zmęczona kłamstwem, nienawiścią, lękiem: Pokój światu! Pokój!”

S Z L A K

(FRAGMENTY POEMATU*)

PRZEDŚPIEW

* * *

Mjr B. HAMERZE

Układały się proste pieśni
Pośród nocy frontowych marzeń...
I szli ludzie... i w sercach je nieśli...
I na zachód zwracali twarze.

I szli ludzie z tajg rozśpiewanych,
Ludzie mocni jak cedry, sosny
I marzenia krzepły im w granit...
„Ej ty, Wisło, ej, polska wiosno...”

W syberyjskim okrzepli trudzie.
Z Kazachstanu, z pustynnych piachów...
Zza Uralu, zza rzek idą ludzie.
I na zachód... Krok dudni... na zachód!

Jak cię nazwać, ziemio najdroższa,
Ziemio jasna jak ludzka przyszłość...
Byłaś ty nam piaskiem Mazowsza,
Byłaś ty nam szumiącą Wisłą.

Jak cię nazwać, kiedyś tak bliska
Jak łan zboża w rodzinnych stronach,
Jak próg chaty i jak kołyska...
Ziemio jasna, niezwyciężona!

Tyś karmiła wiatrem odwagi
Białe orły i serca czyste,
Tyś żołnierzom dała karabin,
Aby krzywdy spłacić faszyscie...

Tyś kazała w jutro nam wierzyć,
W nowe jutro i w szczęście nowe,
Tyś nadzieją grzała żołnierzy...
Jakim dzisiaj nazwać cię słowem?

* * *

Szlak nie jedna znaczyła bitwa,
Usypiały śpiewem granaty.
Tam, gdzie w boju przyjaźń wykwitła,
Niepotrzebne są poematy.

I dlatego proste te słowa,
Niby uścisk dłoni żołnierskiej,
Niby gniewna salwa bojowa,
Niby twarde frontowe wiersze,
Które nocą, wsłuchany w ciszę,
Młody piechur w ziemlance pisze.

*) Utwór wyróżniony na konkursie Wyd. MON w rb.

STROFA O MAJORZE LACHOWICZU...

Mgłami oddychać i karmić oczy wieczorną paletą...
Cóż... gwiazd nie zliczysz, daj spokój, fajka ci całkiem wygasta.
Ognia szukasz raptownie czy może wspomnień szukasz?
Ej, pieśń skończyła się — pora — a noc wciąż taka jasna.

A tamtą pamiętasz? Gwizd wiatru, przeciągła rozpacz syren,
Mówiłeś jak dzieciak z uśmiechem: malwy, wierzyby, powoje...
A usta wiatr mrozem gasił, podrywał serca w pochodach
I tlił się w oczach żołnierzy nadzieją i niepokojem.

A tamtą pamiętasz? Pomyśl, grały się pieśni przy ogniach,
W menażkach okopconych prażyły się słowa najprostsze.
I biegła myśl raptownie w tęsknotę „zbóż malowanych”,
Szumiało, śpiewało na wietrze dalekie, a bliskie Mazowsze.

Ej, dłuży się, bracie, dłuży ta noc, jak wspomnienie jasna.
Pamiętasz? Miereja lkała tęsknymi pieśniami wojska...
Cóż, gwiazd nie zliczysz, daj spokój, fajka ci całkiem wygasta.
Wiem, chcesz mi teraz powiedzieć, że tu narodziła się Polska...

* * *

Majorze Lachowicz, przyjm rozkaz bojowy,
Niech ręce gorące na kolbie się ścisną.
Dziś serca się wyrwą w ataku ogniowym
Z okopów... na zachód... za Bug! I za Wisłę!

Majorze Lachowicz, czekają żołnierze.
Za mgłą — Trigubowa. To wieś będzie nasza!
Pójdziemy, dojdziemy jak pieśń w tyralierze
Do sosen, pod słomą kwitnące poddasza.

Serce wyrwij pocisku,
Ale ręce pozostaw,
Aby mocniej karabin uderzył.
Do ataku! — Tak bliska
Jest ta droga i prosta,
Że ją można skokiem odmierzyć.

Do ataku! Dym, salwa
Nie zatrzyma nas w biegu.
Krew do gardła jak zemsta uderza.
Wielka Rzecz nie umarła,
Biegnie z nami w szeregu.
Kwitnie w oczach każdego żołnierza.

Jeszcze krok...

Naprzód! W ogień!

Niechaj pieśni przepłyną
Jak pociski... już szumi Miereja —
Aby wbiec na tę drogę...

Gniew!

Zwycięstwo!

Lenino!

— Ty nie możesz, majorze, umierać!

Popatrz dobrze, majorze:

Gniew pociskiem wybucha...

Przeszli chłopcy przez gniewne transzeje!
Popatrz, czegoś posmutniał?
To zwycięstwo! Posłuchaj...

- Cóż, zwęgliły się twoje nadzieje.
— Żegnaj więc... towarzyszu.
My pójdziemy znów dalej...
Jeszcze skurczy się w trwodze krtań wrogom —
A uczymy cię ciszą,
Która burze rozpali.
— Tak, zwycięstwo kosztuje nas drogo.

* * *

Towarzyszu Paziński...
Czy słyszycie nas jeszcze?
O... żołnierze w okopach śpiewają.
Dajcie, weźmę te listy
W własnym sercu je zmieszczę
I jak wiersze poniosę do kraju.

Noc... i cisza nieufna
I w okopach nikt nie śpi
W pierwszą noc po ataku udanym.
W zimne, rude okopy
Powtulały się pieśni
Oстрыm wiatrem lecząc swe rany.

Szept żonierza rozcina
Mgłę tulącą Miereję —
Front odrętwiał w ogniowym rozmachu.
Cisza drażnić zaczyna,
Kiedy serca w nadziei
Biją twardo: na zachód! na zachód!

Nie wiem, czyś może o żołnierzach myślał,
Polskich żołnierzach, których wiodłeś w sławę,
Czy może serce porwała tve Wisła...
I niosła w darze nieznaney Warszawie.

Ale wiem jedno, że w twym wzroku była
Taka pogoda i nadzieja taka,
Że wiara milcząc się wokół skupiła
Ścisnęła pięści, ale nikt nie płakał.

STROFY O KPT. ŁOPACIŃSKIM, SZEPIE SZKOŁY OFICERSKIEJ W RIAZANIU

Kapitanie, w górę puchar!
Niech się pali krew od wina
— Kwiaty, uśmiech śle dla zucha
Riazańska dziewczyna.

W górę puchar, kapitanie!
Przyjaciele są przy stole...
Pozdrowienia ślą riazanie
Oficerskiej szkole.

Lopaciński się uśmiecha,
Chociaż w oku łza wzruszenia.
Tak, koledzy... bratnia strzecha,
Tak, koledzy... bratnia ziemia.

Niech się porwie pieśń ojczysta,
Niech gna wprost z rizańskiej wioski,
Niech jak twardy biegnie wystrzał
Do dalekiej naszej Polski.

A rizański chłop pięść wznosi:
„Dobrze mówisz, kapitanie...
O zwycięstwo się nie prosi,
Trzeba krwią zapłacić za nie...”

Kapitanie, puchar w górę!
Uczuć nie będziemy studzić.
Wykrzykniemy mocnym chórem:
Dobrzy są rizańscy ludzie!

* * *

Długą drogę przebyć musiałeś
Brnąć z uporem w pochodzie krwawym.
Aby wreszcie nagłym wystrzałem
Witać czarne gruzy Warszawy.

Jeszcze w marszach gniewnych nie ostygł
Śpiew wieczorny rizańskich wiatrów,
A już śmiercią zagląda w oczy
Dzień zmęczony w żołnierskim marszu.

Jeszcze palec czujny na broni...
Jeszcze oko bystre, otwarte,
A już serca nikt nie obroni
Od tragedii krwawej i... martwej.

Długim marszem wolność znaczyłeś.
Kapitanie, trudny był rozkaz.

— — — — —
My ci dzisiaj włożymy w mogiłę
Śpiew wiślany i wiatr Mazowsza.

STROFY O PORUCZNIKU EMILII GERCZAK I ZDOBYTYM DWORCU W KOŁOBRZEGU...

Przygrywaj kolego... rozciągaj harmonię
Melodia frontowa pożywny to wikt.
Niech pieśń się poderwie w szturmowym plutonie
I niechaj o śmierci nie myśli tu nikt.

Na zachód! Na zachód! Gdzie Bug i gdzie Wisła!
Gdzie wieczór łunami karmiony i dzień!
I chlebem się staje ten marsz i ten wystrzał,
I w błyskach frontowych odpywa nam sen.

Na zachód, na zachód! — jest Gdańsk i Kołobrzeg —
Kołobrzeg bunkrami rozryty przez pierś.
I ogniem szalonym witają nas szczerze
Ulice wymarłe, podstępne jak śmierć.

Jest jeszcze gniew twardy... frontowy żelbeton
I pocisk rozgrzany jak serce w złym błysku.
Są drzwi, które trzeba otwierać bagnetem,
Jest ból, który trzeba rozrywać pociskiem.

* * *

Emilio Gerczak, rozumiesz zadanie:
Ostrożnie żołnierzy przez ogień poprowadź.
Żelazem śmiertelnym opóźnia spotkanie
Na stacji faszystów ostatnia załoga.

Dym sztandar żałoby zawiesił nad miastem,
A stacja dygoce sprężona w agonii...
Emilio, dech wstrzymaj... usłyszysz puls własny
I oddech żołnierzy i cichy szcęk broni.

Metr drogi... to dużo, to chyba pół życia,
Gdy ogień do ziemi przyciska jak powróż.
Iść trzeba... choć wróg dziesiątkuje z ukrycia,
Choć ogniem się krtusi rozbity parowóz.

Ulica jest pusta. Tak, obstrzał złowrogi
Nie puści wojsk naszych w głąb miasta... ten ciężar
Ty musisz, Emilio, z plutonem znieść z drogi,
Tu zginąć nie można, tu trzeba zwyciężać.

Emilio Gerczak, przygotuj broń...
Obetrzyj ręką spoconą skroń,
Poderwij ludzi, niech krok podwoją.
Celną podawaj drogę nabojom.

Niech się prostują ręce osłabłe,
Kiedy faszystę przygwoździ bagnet,
Naprzód! Krok każdy kosztuje drożej,
Dlatego cofać nikt się nie może.

Zamilknie stacja, przejdziemy pierwsi
Wrogom przez piersi, śmierci przez piersi.
A kiedy zgaśnie lufa rozgrzana
Żołnierz swe serce rzuci jak granat.

Naprzód, Emilio! Do boju, chłopcy!
W bój dziś was wiodą kobiece oczy.
Jeszcze ten wystrzał wstrzymał was w biegu,
Jeszcze wyłobiał lukę w szeregu,

A już ktoś biegnąc wprost przez korytarz
Wykrzyknął gromko: Stacja zdobyta!
A echo okrzyk odbiło hucznie:
Wiwat Emilia! Wiwat porucznik!

Przejdziem Wisłę, przejdziem Odrę, będziemy Polakami,
Odro szara, Odro ciepła, pieściłaś nas szczodrze.
Wróg nas witał zza twej fali gorzkimi salwami
I nie jeden już na zawsze pozostał przy Odrze.

Sierżant Flisak... strzelec Walczak... długa, długa lista,
Ale wróg nie ujdzie śmierci, nie odwróci kłęski.
Ziamba... Grzesiuk... tu nad Odrą zabito nazwiska...
Serca poszły dalej... dalej... w kampanii zwycięskiej.

Przejdziem Wisłę... przejdziem Odrę, będziemy Polakami,
Aż zakrtusi się w agonii rozpruty „Ferdynand”.
Pieśń frontowa, pieśń zwycięstwa pobiegnie za nami
I jak sztandar żałopocze na murach Berlina.

Ryszard Liskowacki

KRONIKA JMP WOYSZY

(FRAGMENT POWIEŚCI HISTORYCZNEJ)

(W poprzednich numerach „Kameny“ podaliśmy wybrane rozdziały „Kroniki“, przedstawiające momenty powstania i narastania konfliktu między panem na Ponikowie a hutnikami. W dalszych rozdziałach walka zaostrza się, wyzysk pański rośnie, akty samowoli i gwałtu mnożą się i pan zaczyna triumfować. Doprowadzeni do rozpacz, postanawiają rudnicy użyć przeciwko panu siły. Red.)

21 Februarii. Będziesz się dziwował, Czytelniku miły, kiedy się dowiesz jaka jest nowina. Owóż nadszedł list od Komorowskiego heretyka. Odezwał się. Ale żeby to tylko list.

Jak to w lutym, obieram w sadzie drzewa z liszek, aż tu mówią, że jest gość, kupiec z Wrocławia, niejaki Gloger czy Gloga. Owóż ten Gloga zmitrężonym zajechał wozem i powiada, że posłan przez bankiera Jesionka z Wrocławia z listem i trzosem od pana Komorowskiego. Kładzie na stół dwa listy i trzosa a w nim 100 złotych i mówi: 100 złotych i list do urodzonego Kristiana Ciołka a i do waści też jest pismo. Więc mu rzekę: Jeśli do Kristiana Ciołka, za którego urodzenie i szeląga bym nie dał, toś spóźniony, bo że się urodził wiewa, ale że nie ziemskie on jada ninie chleby, to też nam wiadomo. Więc on za pieniądze, ale nie zdążył, bom rękę na trzosie położył i mówię tak: Jeśli to pieniądze Ciołkowe, to nikt tu spadkobiercą ani ojcem ani matką, jeno ja, bom go jak syna chował i szkód uczyniło mi pacholę nie na 100, ale na 1000 złotych. A on: Jakże to? zmarł? Chciałem mu rzec, że się szczur mleczka z arsenikiem napił i nóżki obrócił, ale że już rankoru do chmyza nie czuję, boć z umrzykiem sprawa, tedy powiem: W bitwy on się wdawał ze zwierzchnością i, swoje otrzymawszy, gdzieś tam na czyścicowej łączce pasie się, jeśli mu piekło darowane. A ten Gloga głupiec: Bez kwitu Ciołkowego pieniędzy nie dam. Więc ja na Szczątka pobok stojącego mrugnawszy: Kwit waści wystawię, jeno nie wiem jakowym inkaustem czarnym czy czerwonym? Ha? Pojął rzecz i z maniery wrocławskiej spuścił, list do Krysta ze stoła wziął i wyniósł się. Tak to Pan Bóg wynagrodził mi krzywdy, które mi ten oczajduch uczynił i zapłacono mi sowity ba-

sarunek. Ano, płacą ninie po 14 złotych za grzywnę, talar jest po 3 złote a pszenica spała do 45 groszy za ćwierć, więc sobie nie krzywduję i już te szory mosiądzowe, com je sobie w Ilkussu upatrzył, moje są. Ale to furda. Owóż list od heretyka Komorowskiego! Czytam go i czytam a nadziwić się nie mogę, iż takowa może być ludzka głupota. Ale wiadać to już tak jest, gdy komu paździerz heretycki zaproszy mózgi, to nie łączno takiego uzdrowisz. Podam ci tu cały ów list, Czytelniku miły, a i mój respons, abyś wiedział jaką karocą zwykło jeździć kacerstwo i abyś umiał zażywać heretyków. Owóż i list:

„Zacny i wielce miłościwy Panie i Bracie mój. Już mi tu bają przyjezdni z Korony, że tam na Borku i Ponikowie insza nastąpiła ordynacya niżli była, że dybieysz Wmość na ludzkie zdrowie i grosz, że radlisz duszami jak wołmi i że sromota padła na ziemię, którą ongi pocziwie się włodarzyło. Nie daję wiary tym językom, bo zawsze mi łączniej nachylić ucha ku dobremu, niżli ku złemu, ale że to człek omylny, cóż tu się dziwić, skoro uczeni karmelici nawet w tezach swoich błędzą; zem owóż omylny, chcę wywiedzieć się prawdy, a jeśli jest co złego w tych wieściach, to już wolę w bawelnę nie owijać i za śladem mistrza naszego Statoriusa prawdę za rogi uchwycić. Nie chcę ci prawić kazań, miły Panie, bo od tego są inni i, da Bóg, prawda wcześniej czy później sama zatryumfuje jako jasność słoneczna nad ciemną nocą, ale ci powiem, że nasze synody i synodki, nasze pisma rakowskie czy lubelskie, nie po to są pisane, aby wadzić biskupa rakowskiego z lubelskim i przyczynę dawać do burzenia świątyń naszych, ale na to one są, aby społeczności dobrze czynić i światło niecić a płaczące z ciemnice wyprowadzać. Jeśli ci rudnicy czy chłopkowie krzywdy jakowe czynią, to sądz je, ale jeśli ty je krzywdzisz, to niechaj oni nad tobą sąd uczynią, aby tryumfowała sprawiedliwość, bez której nie masz godności człowieczej. Zali sądzisz, że jeno ty masz nad nimi skeptr? A w jakiej książce to napisano, że mają być twoimi wołmi, twoimi źrebięty? Wszak

miłować na równi kazał Chrystus wszystkich bliźnich. A ty, zali miłujesz ich? Zali miłuje ten, który rad depce? Jeśli masz psa i miłujesz go, to go nie smagasz, jeno masz dlań kęs dobry i słowo pieszczące. A jak jest z tymi pany, co rzemieniem kochają bliźniego swego a psy do stołu z dziatwą pańską po społu sadzają? Pisze pan Otwinowski, że człek człekowi równy, bo te same są u jednego, drugiego i trzeciego znamiona. Każdy jeść musi, bólu cielesnego i dusznego unika, czemu więc dzieje się, iż jeden ma brać plagi od drugiego? Czy tak jest dlatego, iż jeden ma czeladź zbrojną a drugi gołe jeno ręce? Iż jeden za firanką się rodzi a drugi w plugawej słomie, iż jednemu dziadowie skrzynię talarami napelnili a drugiemu jeno jęk i brzęczenie łańcucha? Siła czy sprawiedliwość mają rządzić plemieniem naszym? Na dyspucie publicznej przeciwko karmelitom w roku 1619 w Lublinie mistrz Statorius tak umiał słowem pograżyc nieprzyjacioły, iż ci, języka w gębie zapomniawszy i z matni się wywikłać nie mogąc, muszkietami nas jęli straszyć. Pytam: A Chrystus Pan słowem czy muszkietem dawał świadectwo prawdzie? Owóz swiatlejsi ludzie snadniej pojmują różnicę tych dwu sposobów, ale to mało być swiatłym, bo lubo taki rozumie, iż zgarnia wszystko i innym wdziera jako lew, przecie nie ustaje w rozboju, bo mu kęsów tłustych szkoda i woli być dra pieźnikiem niżli dzielić się leguminą z inszymi. Ale czy to takowa ma być ozdoba ludzkości?

Nie znam Waszej Miłości, ale wiem, iżeś rycerz, iżeś człek bywały a i to mi nie jest obojętne, że siedzisz na tej ziemi, z której nocą jako zbój uchodzić musiałem. Płacę tedy za każdym szczepem, com go tam sadził, za każdym żdźbłem, co pod Twoim roście plugiem i dlatego pragnę, aby ziemia ta, co ją masz od Jegomości Króla, kwitła i jęków ludzkich nie słyszała. Bądźże jej ojcem i wiedz, że ludkowie, których tam masz, zacne to dusze, jeno im nie skąp serca a będą ci błogostawić. Cóż ci po złotych wieżach, jeśli matki przeklinać będą imię twoje, což ci po haftowanej koszuli, jeśli do grobu w niej idąc, sumienie będziesz miał czarne? Masz o konika mniej, to ci przez to nie ubędzie godności, masz o jednego sługę mniej, to nie ubędzie blasku familii twojej. Stokrotnie sobie to wszystko pomnożysz, w

duszy największy skarb gromadząc. Są tacy w Rzplitej, co jeno porywają cudze, ale są i tacy, co czynią inaczej, wiedząc co to zła ordynacya. Jeno tych drugich jeszcze o wiele za mało, stąd nierząd w Królestwie naszym, rządy folwarcznych królewiat, co ciężary na gmin takowe nakładają, iżby im zwierzęta nie wydołały.

I o Kristianie Ciołku słów kilkoro. Zacne to pachole. Woła tedy moją jest obmyśleć mu takowy los, aby cnota jego, oprawna w nauki, błysnąć mogła i świadectwo dawać poczciwości ludzkiej. Trudno mi go teraz ciągnąć do siebie, bom banita na tułaczce, ale gdy tylko dane mi będzie osieść spokojnie, napiszę i niechaj śpieszy do mnie, bo wiem, że już tam usycha za mną, lubo mu pewno dobrze u was, Panie Bracie. Ano, możeś i jest taki, za jakiego cię podają, ale i to wiem, że Ci to chłopię pewnikiem przywarło do serca, boć takie ono jakby anioł chodził po ziemi — i nijak mu nie okazać afektu.

Kowalom, kmieciom i zagrodnikom racz, Panie, pozdrowienia moje repeter, bo godni są tego i tak ich miłuję jak własne dzieci. Banita wśród cudzych kamieni kołace się, więc słać nie mogę przyjaciołom dużej pomocy. 100 złotych to dla Krystka i list do niego. Niech weźmie ile mu trza, a resztą niechaj biedotę obdzieli. O Badurze, Kobieli i starej Elźbiecie niechaj nie zapomina.

Kończę pisanie i nadzieję żywie, że te ziarna moje padną na żyzną glebę. Repeto: Duszy Twojej szlachetnej polecam przyjacioły moje i siebie, czołem bijąc Waszmości, zdrowia życząc i spokoju dusznego. Sebastyan Komorowski, banita. 10 Januarii 1623 w cesarskim Hirszberku.

Tyle napisał ów heretyk a mój respons takowy:

Mości Komorowski! Zwiesz mnie panem bratem jakby grabina siostrą była jemioly. Owóz napapużyłeś się jak bisurmański święty i kaganiec niesiesz a z kaganka bije smród, że choć maczugą machaj. To, że chłop nie gorszy od niejednego pana i że poniektóry pan bardziej niż chłop śmierdzi, wiadomo, gdyż rychlej mięso zgnije, niżli zwiędnie jarzyna a i Adam, kiedy kopał grządki i Ewa kądziel przędła, to szlachcica tam nad sobą nie mieli, ale już mi ty, jemiolo, butów całkiem nie zzuwaj, bom mózgow na targu nie kupował.

Tandem tedy respons Waści dam w punktach.

Primo: Nie wierzysz takim synom, co mnie na jezory plugawe wzięli, dobrze,—przecz tedy kazanie głosisz takowe, iżby się kamień skruszył? Zali to wasz taki heretycki obyczaj, wpieryć maścić a potem ciąć kańczugiem? Nie, mości heretyku, takowa skakana polityka nie do mego rozumu, szukaj sobie inszych na takową smycz, bo ja to albo maszczę, albo tnę i niechaj mnie ciężko skarże Sancta Trinitas, jeśli mi kiedy skoczy ręka na niewinność.

Secundo: Wasz mistrz Statorius w bawelnę nie owija. A to czemu go nie naśladujesz? Od hultajów trza było zacząć list a o tym Statoriusie to wiem, że go własny kmoter Gorayski wytrąbywał po Lublinie.

Tertio: Kto ma nad kim czynić sąd, chłop nad panem, czy pan nad chłopem? Owóż byli równi, ale za Adama i jakie tam sądy na ten czas były nie mnie wiedzieć, to jeno wiem, że od czasów Setowych brytan łacniej dusi kundysa niżli kundys brytana, lubo im obojgu w raju jedna była mać. Tandem tedy kundysa chcesz mi raić na sędzię? Bóg zapłać. Jeżeli Pan Bóg nie płacze, iż mu grad tłucze skowronki, to ja mam płakać?

Quarto: Nic mi do waszych synodków i w gronostaje się nie ubieram, złotych baszt nie wznaszam, jeno radłę wespołek z inszymi, a że mi Opatrzność rządu dała nad sforą kundysów, to nie moja ekonomia, ale Boska. A do tej to i tobie nie radzę zazierać.

Quinto: Nie są kmiotaszkwowie moimi woły ani źrebięty, jeno lud to mój, nad którym skeptr mam od Króla Jegomości, bom nie łuszczył bochenków po synodkach, bom jezo-rem nie wywijał po kościołach ani gruszek karmelitom nie kradł z popiołu, jeno w rycerskim rzemieśle Ojczyźnie miłej służąc, na bisurmańskim gardlem siadał i mieczem pisał tezy na janiczarskich łbiech. Zatem skeptrów mi nie tykaj, heretyku wszeteczny, bo lubo się tam fartuchem cesarskim zasłaniasz, po staremu cię odnajdę i jak Bóg na niebie uszy obetnę. Mogłem chodzić na czarnomorskie limany, to i tam do Hirszberka zajdę, bo i Cesarza się nie boję, któren widać nie jest człek pocziwy, skoro takowe gadziny jak ty za pazuchą chowa, miasto ženąć je batogiem.

Sexto: Kocham ja wszystkich bliźnich, którzy mnie kochają a ci ludkowie twoi mnie nie kochają, boś je rozpuścił jako bicze cygańskie

i krowę chcą ze mnie uczynić a doić, alem nie z tych krow, co spokojnie nad skopcem stoją, jeno kopię i porożem oczajduchom wstręt czynić zwykłem.

Septimo: Siła czy sprawiedliwość rządzić mają? Ot kanclerska głowo! szkopuł to widzę dla ciebie niemały. Pewnikiem nie wiesz, iż sprawiedliwość jest kulawa, ślepa oraz parszywa. Niechbym tak jako i ty główką tłukł krupy w stępie, to by wnet i po główce było i sparszałbym po społu ze sprawiedliwością. Alem też i nie pies wściekły, co wszystkich kąsa i, swoje zawarowawszy, innym sprawiedliwość czynię a że ona czasem jakiemu niebożatku czarną skórą zajdzie, to już nie moja jest wina. Umiarkowanie chrześcijańskie mam i nie następuję na ludzi jako furyat, jeno ważę wszystkie uczynki moje i wedle Bożych przykazań odmierzać je zwykłem a nie fałszowanym łokciem. Muszkietem nikogo nie straszylem, raz, że straszyć dusza moja nie rada, a dwa, że nie gemajna z dragańskiej kurdygardy, jeno rycerz i wiem, jakowe argumenta wyciągnąć z pochwy i w Bożą godzinę tnę a nie straszę.

Octavo: Mam konika i będę miał sto koni! A waści co do tego, że armatus? Zalim wróbelec, zalim krogulec? A komu to szpony i dziób jak nie krogulcowi? A twoi przyjaciele, coś mi ich tu zostawił jako diabeł kąkole na ludzkim zagonie, to są obwiesie, którym trzeba było usieść na łbiech, bo by tu człeka z dziabali jak prosię wielkanocne.

Ow Kristian zaś, Ciołkiem zwany, prosi cię, mości heretyku, na żałobne chleby, abyś nad nim jutrznią odprawić raczył, bo mu tam ciężko gryźć ziemię bez twojej kacerskiej pociechy. Owóżes zasiał to ziarno, aże zgniło, boś je plugawymi wody podlewał. Trudziłem się nad nim, aby wyprostować mu owe manowce duszne, na któreś go puścił i w ostatniej chwili go jeszcze po ojcowsku napominał, aby deprekował a błąd odwołał, ale skamieniałe było to serce. Takowe mu jady zaszczepiłeś, że choćby go cały regiment Świętych nawracał, to i tak by nie podołali.

Mogę ci, mości heretyku, na pożegnanie jeszcze tę prawdę rzec, iż lituję się nad tobą i tobie podobnymi i modlę się do Boga, aby na ten czas, kiedy trąby wiekuiste zabrzmiały, łaskawe były na cię wyroki niebieskie. Więcej nic ci nie rzekę, boś nie godzien tego.

Tandem vale, mości banito, a jeśli masz pi-
sać, to inszym piórem, bo to, co masz, w dia-
belskich maczane smrodach.

Olbrycht Woysza. Dan w Borku Ponikow-
skim 21 Februarii 1623. A co? Srogi respons?
Jeszcze dziś pchnę umyślnego, niech tam do-
goni owego Gloga, aby list doszedł.

27 Februarii. Owóz wypływa korab poni-
kowski na wody gładkie i spokojne. Powsta-
wało hultajstwo i gwarectwo przeciwko panu,
pluło, żużelą pod nos panu kadziło, ciernista
była droga i diabelstwo gomony czyniło, ale
Bóg, choć nie rychliwy, jest sprawiedliwy i już
kocury ręki pańskiej drapać nie będą.

Zgadniesz pewno, Czytelniku miły, co się
stało. Owóz pozew mój znowu tańczył między
Ilkusem a sołectwem pileckim, między ławicą
a grodem, aż się stary mój amicus, pan Cho-
raży Parczewski, nad dolą moją ulitował
i, krzywdy chcąc wynagrodzić, które uczyniła
mi panna Chorążanka,— do Pilecka osobą wła-
sną zjechał i sprawę jakoby szabłą uciął. Tan-
dem tedy determinowany jest sąd na 1 Martii
i trwoga taka na hutników padła, iż jako w za-
łobie chodzą. Ano to i wilkowi gorzko, kiedy
go na obrożę biorą. Mogę ich ninie wszyst-
kich jako gomółki zgnieść, ale nie uczynię
tego, albowiem miłosierdzie w sercu moim
mieszka i niechaj mi ręka pierwaj uschnie,
nim ukrzywdzę kogo. Niechaj się legitime
powzdadzą, to jest pójdą pod registr pański,
natenczas darowane będą im winy. Ale że her-
biczki na okiennicach hutniczych wymalują,
to wymalują.

ZYGMUNT MIKULSKI

POETA I REDAKTOR

(BAJKA)

Poetę impuls twórczy kolnął,
Więc powstał wierszyk. Wolno? Wolno.

Bo taką dziwną miał naturę,
że z gęby nic, a tylko piórem.

Przeliczył jeszcze raz sylaby, —
cóż, może wierszyk nie za słaby,

może go nie ukarzą chłostą.
I do redakcji poszedł prosto.

(Nikogo chyba nie obraża
Wierszyk niedługi o murarzach),

Czasu nie staje na dalsze pisanie, bo mi tu
wiadomość przynoszą, iż pokazał się w borze
Irrwisz¹⁾. Zaczem ruszymy z Minorem i Szcząt-
kiem na nocne łowy. Post facta wszystko ci,
Czytelniku miły, ab ovo opiszę.

Ilkuss 17 Martii.

Mnie Łukaszowi Zgorzałkowi, pisarzowi sta-
rościńskiemu królewskiego miasta Ilkussa, za-
pis niniejszy w księdze tej czyniacemu, wia-
domo, iż urodzony Olbracht Woysza, pan na
Ponikowie i Borku w ziemi ilkusskiej, ubit die
27 Februarii z dwojgiem sług, w zaranek die
28 Februarii znaleziony został przez pracow-
itych borkowskich, Macieja Polipę i Mateusza
Kochańskiego, drwali. I to mi wiadomo z wer-
dyktu ławicy ilkusskiej, iż nieczysta jakaś
moc znaki na ciele pomienionego zоста-
wiwszy, testimonium istej prawdy dała. I to
mi wiadomo, iż dyariusz Pana Woyszowy,
pieczęciami świętymi Kanonii opatrzony
dla uchronienia dusz ludzkich przed mocą czar-
towską, za wolą JMP Matkowskiego starosty
ilkusskiego i JMP Parczewskiego chorążego
królewskiego na wieki zamknięty ma być.

Łukasz Zgorzałek

Pisarz Starościński Królewskiego
miasta Ilkussa

17 Martii, to jest w wigilię Świętego
Cyryla A. D. 1623.

¹⁾ „Irrwisz”, czyli ognik błędny, według dawnych
wierzeń czuwał nad złożami rudy.

W redakcji ujął wiersz redaktor
i tak powiada: „A gdzie traktor?

Murarz... ta sprawa jest nieczysta,
bo może on jest solipsysta?

W tym nutki jakieś są złowieszcze.
Nie wolno. Czujność. Nie zamieszczę.

I osobiście sam nie lubię,
gdy wtrąca coś liryczny subiekt.

Napiszcie lepiej wierszyk nowy
na jakiś temat przemysłowy.

Potrąćcie o naprawę — średnią,
maszyna — mur, to zawsze przedmiot.

Albo na przykład: „Precz odłogi!
tylko nie wleźcie w psychologizm”.

Autor rękopis schował w spodnie
i tak jak przyszedł, wyszedł godnie.

„Następny wiersz — pomyślał — wcale
nie będzie wolny od tych zalet”.

A był-ci ów jak tamten prosty.
Strzelały w nim stalowe mosty,

była w nim para, dźwigi, szyny,
transmisje, pompy i turbiny.

(Też z nich przy każdej nie za duży
opis do czego która służy).

Wstawił przecinki; myśli: pora
stanąć w obliczu redaktora.

Było dość wcześnie, czyli rano,
więc jak pomyślał, tak i stanął.

Redaktor wstrząsnął arkuszami
i w słowa te: „A gdzie dynamizm?

Entuzjazm twórczy kipi w masie,
a wy o transmisyjnym pasie.

Napiszcie coś innego jeszcze,
bo to nie pójdzie. Nie zamieszczę.

Teraz się śpieszę i wychodzę.
A pamiętajcie o przestrodze”.

Trzasnęły drzwiczki, poszło auto
i jak zgaszony motor autor.

Wyteżył pamięć z całą siłą.
Przestroga? Prawda, dwie ich było.

Wpatrzył się mocno w buta nosek
i prawie skoczył. Miał już wniosek.

„Hej, młotki, chwycicie rażno kielnie!”
— gwóźdź w wierszu trzecim krzyczał dzielnie.

„Naprzód! Pod moją wodzą! Ćwieka!
I jak najdalej od człowieka!

Najdalej zaś od egotystów,
cyklistów i hydroplanistów!

Rusz, drucie, chyżo ku nożycom
i podnieś poziom, poziomnico!

Łopato przy zachodniej ścianie!
Wykonuj swe zobowiązanie!

Dziś ma ukończyć dwa obiekty
nasz twórczy zespół i kolektyw”.

Redaktor nim się zawarł w głosie,
najpierw odstąpił kroków osiem.

Odstąpił, oparł się o szafkę
i spełnił jednym tchem karafkę.

A gdy oddychać jął od nowa,
z płuc tylko wyegzekwował:

„Darujcie szczerłość. Z was nie liryk.
Weźcie się lepiej do satyry”.

Poeta milczał chwilę małą
i wyszedł. Coś w nim zaświtało.

Coś nagle ujrzał jakby jaśniej.
Więc zaczął. Co? Satyrę właśnie.

I w satyrycznym dał utworze
bajkę o pewnym redaktorze.

A w bajki włożył strofy liczne
wypadki dość autentyczne.

Bo miał powodów coś ze trzysta,
by bajka była dość przejrzysta.

Skończył. A po ostatnim słowie
do redaktora... Co on powie.

Redaktor razem tym na dłużej
w wiersza pograżył się lekturze.

Mruczał pod nosem to i owo
i kilka razy ruszył głową.

W końcu powiada głośno: „Jak to?
Jest taki jeszcze gdzieś redaktor?”

Ach, cóż za wałkoń, cóż za nicpoń!
Jawne uprawia on szkodnictwo!

To obowiązek jest mój przecież,
by wiersz ukazał się w gazecie”.

Poeta skłonił się nieśmiało.
Bo zawsze mówił bardzo mało.

TRZY STROFY ULICZNE

O, sierpiony wiatr biegnie,
na przystanek chce zdążyć.
On uśmiechy prowadzi
jak odwagę chorąży.

Niżej gzymsy osrebrzy,
wyżej chmurkę ozłoci,
on się śpieszy, a śpieszy
w naszej wspólnej robocie.

Ten sam w Moskwie, w Pekinie,
ten-ci i w Bukareszcie.
I pomyśleć: w Lublinie,
i pomyśleć: w mym mieście.

* * *

Komu lepiej na świecie?
jakim słońcom? księżycom?
niż kiepskiemu poecie,
kiedy idzie ulicą.

Rymy biegną gromadnie
jak ze szkoły za dzwonkiem,
jeden śpiewa coś ładnie,
drugi dzwoni skowronkiem.

A ulica cię darzy
blaskiem hojnie i szczerze —
to jest właśnie rękopis
taki, co to nie podrzeć.

I nareszcie, nareszcie!
Ach, to sierpień tak płynie.
I pomyśleć: w mym mieście,
i pomyśleć: w Lublinie.

* * *

To cel, bracia, wysoki.
Hymn ze szczytów i z głębin.
To w promieniach epoki
lśni eskadra gołębi.

To, co wspólnie robimy,
nad czym słońce nam świeci.
Bracia, my zwyciężymy
dla ludzkości i dzieci.

Tylko jeszcze uporu
w każdej rzeczy. I w małej.
Aż zmęźnieje ogromne
nasze dzieło wspaniałe.

Nigdy pieśń ta nie zginie.
Ona dźwięczy w mym mieście.
A ta sama w Pekinie,
W Moskwie i Bukareszcie.

NOC LIPCOWA

Z Wilczych Łap? Żdźarynki? Gromady Ilowo?
Z wiśniowego drzewa dźwięczy wóz?
Jedzie noc lipcowa drogą powiatową
w skrzypie polnych skrzypów i szeleście brzoź.

Znika głąz i drzewo. Pierzcha cień i barwa.
Liść kończy gawędę, róża chowa kolce.
Ta noc ma na dzisiaj wyznaczony szarwark,
ta noc, co roznosi urodzaj po Polsce.

A w mieście profesor, doktor i prodziekan
zbliża się do okna i myśli: „Nie kłamię.
Noc rozmarza trochę każdego człowieka.
Gdzieś ją już widziałem. Chyba w Amsterdamie”.

Wartownicy miejscy również ją widzieli.
Z radnych po kolei każdy się zachwycił:
„Ona ma kamerton cygańskiej kapeli —
„ona ma na rękę obrączkę księżycą”.

Ona kiedy idzie, drzwi się otwierają,
kiedy słucha, nawet futerały grają —
ta pani na dwustu tysiącach latarni,
ta noc — w naszym kraju jedyny obszarnik.

Oto czas szumiący, oto czas gorąca,
gdy zębate echo podchodzi pod miasto.
Oto noc jadąca, oto noc grająca
pszennie i jęczmiennie, drzewnie i liściasto.

Na wozie wiśniowym. Ze szczekaniem bata.
W kurzu gwiazd, co spadną na drogę sierpniową.
To śmiech kół wesóły pod muzykę lata,
to jest noc jadąca z gromady Howo.

Zygmunt Mikulski

LUDWIKA WOŹNICKA

JEDNA Z WIELU.

Mańkowiakowie wyprowadzili się we środę w południe. Na Młynowie — strasznie daleko — czekały na nich dwa pokoje z kuchnią i z łazienką. Wacek oglądał to mieszkanie i powiadał matce, jakie tam luksusy: w przedpokoju szafa, wmurowana w ścianę, tak że nic nie widać! I Wacek, biedak, przechwalał się mieszkaniem Mańkowiaków, jakby to było jego, ani pomyślał, że dla niego tylko bieda wyniknie z tej przeprowadzki, że straci dobrych sąsiadów. Matka, słysząc owe przechwałki, tylko pokiwała głową. Nic nie rzekła; nie z zazdrości wcale, bo nie zazdrościła tym dobrym ludziom, niech im Pan Bóg da wszystko najlepsze — ale przez żal, który tłumił mowę. Bo ona o jednym tylko myślała:

— Zostanę tutaj sama! Zostanę sama... jak ja poradzę...

Do tej pory, kiedy nie można było zupełnie wytrzymać w domu, kiedy nie można było wytrzymać z nim (Krasnowska już od dawna myślała „on” zamiast Jan, albo Janek, czy chociaż „mój stary”, jak mówiły i myślały o mężach inne kobiety)... „On” — jak o dzikim zwierzęciu. Do tej pory, kiedy nie można było wytrzymać z nim, to się szło do Mańkowiaków, albo chociaż dzieci posyłało się na noc. Zawsze przyjęli. Albo kiedy naszła taka nagła, wielka bieda, że nie było co do garnka włożyć, a „on” sprowadzał takie nagłe biedy na

rodzinę, na przykład wtedy, kiedy go policja zabrała i trzeba było płacić, nie wiadomo z czego, za zniszczone urządzenie w jakimś barze „Pod Stokrotką”, czy też „Pod Niezapominajką”. Też wtedy Mańkowiakowie poratowali chociaż ziemniakami.

O tym wszystkim myślała Krasnowska, zegnając po kolei wszystkich Mańkowiaków na ulicy, przed samochodem ciężarowym, naładowanym znanymi, pocziwymi meblami, na które młoda Mańkowiakowa już kręciła nosem, że nie będą pasowały do nowoczesnego wnętrza. Młoda Mańkowiakowa pożegnała się prędko, serdecznie, ale bez żalu. Nieuważnie. Już z ciężarówki wołała:

— Prosimy, prosimy, niech pani o nas nie zapomina, pani Krasnowska, niech nas pani odwiedzi! — Ale widać było, że myśli zupełnie o czym innym, o meblach, żeby się nie porysowały, o nowym mieszkaniu, o swojej Magdzi, żeby się przez całą tę przeprowadzkę nie zaziębiła.

Stara Mańkowiakowa wróciła się jeszcze popatrzeć na puste kąty, Krasnowska wróciła z nią razem. Tam, na pustym korytarzu, między zlewem a otwartymi drzwiami, Krasnowska nie zdołała wstrzymać łez. Stoczyły się po chudych policzkach, tak ciche, jak zwykle i równie bolesne. Mańkowiakowa zauważyła je. Żyłastą ręką objęła płaczącą, przytuliła do

siebie. Powtarzała, że nie wyprowadzają się przecież na koniec świata, że będzie można do nich przychodzić. Że proszą, zapraszają, na codzień, na codzień, że przecież zawsze poratują, nie opuszczą jej, nie! Krasnowska już nie płakała, mrugała oczami w milczeniu rozpaczliwym i jakby wrogim. I stara Mańkowiakowa zrozumiała sama, że to, co mówi, nie jest dostateczną pociechą ani nawet żadną radą. Bo co ta Krasnowska zrobi? Przeprowadzi się do nich razem z dziećmi? Przecież musi tu zostać już na zawsze, z tym pijakiem, w takiej poniewierce...

Krasnowska szepnęła ochryple:

— Wasz jest murarz... przy budowie... i oto do czego doszłicie. A on to samo, robotnik, nawet wykwalifikowany... Wszystko u was kwitnie, i dzieci i wnuki... A u nas już tylko zmarnowanie i bieda ostateczna. Dzieci mi zmarnował... Za co to tak? Za co to tak?

Stara Mańkowiakowa myślała, że w tym momencie sąsiadka znówu się rozpłaczę, ale udręczony głos umilkł. Krasnowska przywykła wstrzymywać łzy. Odetchnęła głęboko i rzekła zwykłym głosem:

— Darujcie, że ja was tak żegnam. To przez to, że mi się moja Jadwisia przypomniała. Ja już wiem, że taki mój los, a wam życzę najlepszego... wszelakiego dobra...

Mańkowiakowa była to baba harda i nieustępliwa. Znieść nie mogła własnej krzywdy, a także bolała ją cudza krzywda. Nie mogła słuchać spokojnie, by kto mówił w ten sposób o swym losie, o swym nieodwracalnym zmarnieniu. Zachnęła się. Cóż mogła jednak poradzić, teraz, w czasie przeprowadzki, na pustych schodach? Mogła tylko pożegnać Krasnowską, jak rodzoną córkę, drżącymi rękami, nagłą wilgocią rozżalonych oczu. Więcej nic.

Z podwórka wołali:

— Mamo! Babciu! Pani Mańkowiakowa, niech się pani zbiera!

Jakaś skrzynka nie dawała się tam ustawić, jak należy: bez starej Mańkowiakowej nie mogli sobie poradzić, jak zwykle. Biegła po schodach, jak dziewczyna, wołała jeszcze:

— Pani Krasnowska, niech pani o nas pamięta!

I umilkły głosy, turkot kół oddalał się z ulicy. Krasnowska została sama. Wyjrzała oknem na podwórko, zakręciło jej się w głowie.

Drewniany wieszak, w dole, wyglądał, jak niedorzeczna, krucha zabawka.

Wychyliła się jeszcze i jeszcze.

— Nie, nie mogę tego zrobić — pomyślała — przecież dzieci. Wacek... — I ze Stachem, dopiero teraz zbudzonym, cofnęła się od okna.

* * *

Do Mańkowiaków wybrała się dopiero w niedzielę o piątej, kiedy męża, oczywiście, nie było w domu. Garnek z ziemniakami zostawiła na blasze: jak przyjdą, to sobie wezmą. Nie ma nic innego. To zresztą żadne gotowanie, do tego gospodyni niepotrzebna, więc też nic nie było do roboty. Zaczęła się „ogarniać” do drogi; zdjęła z wieszaka, wiszącego na drzwiach (na drzwiach, bo szafy nie było ani żadnych mebli prócz okrągłego stołu z krzywo wsadzoną nogą) — zdjęła z wieszaka swój, jak to nazywała — żakiet. Naprawdę nie był to żakiet, lecz własnoręcznie skrojone workowate wdzianko, które miało tę wielką zaletę, że było kraciaste. Krasnowska wierzyła, że na tle tych krat nie odróżnia się cer i łat. Cery były zresztą artystyczne. Włożyła ten odświętny żakiet, a potem chustkę, niegdyś niebieską, również artystycznie pocerowaną krzyżykami. Tak ją nawet specjalnie włożyła, żeby cer nie było widać, przejrzała się nawet w lusterku, wyjętym z czarnej torebki: chciała wyglądać porządnie, nie na jakąś łachmaniarę, przecież idzie między ludzi! Szkoda tylko, że nie ma innych butów, tylko te podarte, z wystającym palcem. Ale nowych nawet kupić nie można, choćby i było za co — w zeszłym roku dostała premię i kupiła czeskie buty Wackowi. Porządne buty na „słoninie”, nie do zdarcia. To on po prostu kazał Wackowi zdjąć te buty z nóg, zabrał i przepił...

Tak więc dzisiaj Krasnowska idzie przez miasto w pełni świadoma, że jej palce wystają z butów. Liczy miłosierne i zadziwione spojrzenia przechodniów, spuszcza nisko twarz, okrytą wstydem, ale idzie szybko i prosto, nie oglądając się. Iść trzeba, bo znowu to samo: wszystko zabrał, w domu nie ma grosza, niech Mańkowiakowie pożyczą, choćby do pierwszego. Pierwszego wprost z pracy odniesie im pieniądze, nie będzie ich miała przez chwilę nawet przy sobie, a jeśli nie będzie miała, to — choćby zabił, nie odbierze!

Trzeba iść przez Czerniaków, trzeba iść przez Muranów, trzeba — przez całą Marszałkowską, bo nie ma na tramwaj. A że ludzie się gapią — trudno, od tego mają oczy. I nie szkodzi, że do Mańkowiaków, na Muranów, przywlecze się ledwie przed nocą. To nawet lepiej: nikogo już u nich nie będzie, żadnych znajomych, czy rodziny — nikość. A po co się komuś obcemu pokazywać? Po co tymi dziurami w oczy świecić?

Na ulicach szybko zapada wiosenny, modry zmierzch, przechodnie — a są to niedzielne, zadowolone tłumy wypoczywających pracowników — wdychają zapach wczesnych akacji. Nie, nie śpieszą się, Krasnowska rzuca naokoło swoje grzeczne, lecz zniecierpliwione:

— Przepraszam! — i, korzystając z tego, że jest bardzo szczupła, przewija się między ludźmi. Ale wreszcie musi stanąć. Jest to na rogu Alej, w pięknej dzielnicy, gdzie płoną czerwone światła. I wtedy się okazuje, że ktoś się śpieszy bardziej od niej. Jest to gruby mężczyzna, pewnie majster. Poważny, puciołowaty, ostrożny — ma w ten ciepły dzień szyję zabiegliwie owiniętą białym, jedwabnym szalikiem. A jednak chce skakać do tramwaju:

— Przepraszam ,babciu! — mówi niecierpliwie i miękko usuwa Krasnowską z drogi. Bezwiednie odwróciła się na dźwięk jego głosu: wpatrzyła się w jego twarz, a on patrzył na nią także, nie poznając. Potem nagle na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz, brwi szybko i na krótko wygięły się w dwa znaki zapytania, potem pojawił się na jego twarzy wyraz zgrozy:

— Helenka? — mamrotał, nie wierząc sobie — Helenka? Helenka?

Krasnowska uśmiechnęła się gorzko.

— Tak! — powiedziała. — Tośmy się spotkali po tylu latach.... — i oblały ją łuny, gdy spostrzegła, że Gieniek — bo to przecież nie był nikt inny, niż Gieniek, jej dawny „chłopak“, z czasów, kiedy była panienką, kiedy pracowała u Handla, w fabryce zabawek — że Gieniek patrzy na jej nogi w tych nieszczęsnych butach, a potem na chustkę, niegdyś niebieską, na pocerowany żakiet. I wreszcie — powoli, ciągle nie dowierzając — przenosi oczy na jej twarz. Nie, nie potrafi się opanować, powinien udać, że nic nie zauważył. Powinien spytać:

— Jak się żyje?

Albo:

— Jak wam się powodzi?

Tymczasem światło już zabłyśło zielone, tramwaj, do którego Gieniek miał wskoczyć, dawno już odjechał, fala tłumy popchnęła ich naprzód, a on, trzymając rękę Krasnowskiej, powtarzał:

— Helenka? Helenka? — a potem: — Byłaś taka ładna!

Tak, to prawda, była z niej kiedyś ładna dziewczyna. I Krasnowskiej na to niepotrzebne wspomnienie łzy niewołane napływają do oczu. Ale nie będzie się skarżyć, zwłaszcza Gienkowi, na tyle dumy jeszcze ma.

— Ha — mówi — zestarzałam się. Wszyscy się starzejemy. Cóż robić?

— Twój żyje? — pyta Gieniek. I Krasnowska, jakby nigdy nic, odpowiada, że owszem, Bogu dzięki, żyje. Pracuje na budowie. Długo jednak chorował i przez to był bez pracy. Tak, wszystko przez tę chorobę. Ale teraz już lepiej.

— Tak, tak — powtarza z przekonaniem — teraz już będzie lepiej... — i marzy o tym, aby wszystko, co opowiada, te wszystkie bajki, w cudowny sposób stały się prawdą. I ta choroba również... Nie wiadomo, czy Gieniek wierzy. W każdym razie udaje, że wierzy. Pyta o dzieci. Bo słyszał od jej brata, w czterdziestym pierwszym, że Helenka ma dzieci. Dziewczynkę i dwóch chłopaków. Co się z nimi dzieje?

Krasnowska długo nie odpowiada. Bo to jest najgorsze ze wszystkich pytań. Jeszcze o śmierci Kazika można zwyczajnie opowiedzieć, bo to jest śmierć przez nikogo z bliskich nie zawniona. Zwykła śmierć z dziecięcej choroby, z biedy wojennej, przeziębienia. Ale Jadwiga! Przypomniała sobie znowu Jadźkę, jak to Jadźka, mając szesnaście lat, poszła z domu z tym panem Kłabusikiem, właścicielem sklepiku na dole. Że też ten Kłabusik się nie wstydził, że Boga w sercu nie miał! Toć on był stary chłop, żonaty i miał już swoje dzieci... A Jadźka poszła z domu przez ojca, tylko przez ojca, przecież to wyraźnie powiedziała! Wtedy, kiedy po raz ostatni matka widziała ją na schodach.

Przypomniała sobie tamto spotkanie, jakby to było wczoraj. Niosła bieliznę z magła. Szła w górę kręconymi schodami i usłyszała nad sobą kroki. Zatrzymała się, żeby przepuścić,

a w następnej chwili nogi ugięły się pod nią: z góry zstępowała Jadźka z panem Kłabusikiem. Pan Kłabusik niósł wiśniowy kuferek, w którym zwykle leżała wszystka bielizna i ubrania — a trzeba przyznać, że się to bez trudu mieściło w kufierku.

Na jej widok Jadzia zatrzymała się. Zawołała:

— Mamo! — a potem objaśniła, jak o najwzklejszej rzeczy:

— Mamo, ja odchodzę, bo się wyprowadzam, tak, wyprowadzam się — i dodała:

— Mamy rzeczy, to myśmy wyjęli z kufra. Tylko bierzemy moje sukienki i palto i kołdrę.

Krasnowska dopiero w tej chwili odzyskała mowę, gdy Jadźka chciała ją wyminąć. Zaczęła krzyżeć:

— Co ty robisz? Co ty robisz, Jadzia?! Zważowałaś?

Córka straciła pewność siebie, spuściła głowę. Co do Kłabusika, to przez cały czas zachowywał się, jak gomula, ani zipnął. Widząc to, Krasnowska rozkazała:

— Marsz do domu! W tej chwili do domu, słyszysz!

Jadwiga patrzyła spode łba, nie ruszyła się z miejsca. Matka uderzyła ją w twarz. Nigdy nie biła dzieci i potem, po śmierci Jadwigi, po tak rychłej śmierci Jadwigi (ach, można się domyśleć, z czego!), gorzko to sobie wyrzucała. Bo przecież widziała ją wtedy ostatni raz! Wtedy, naturalnie nie mogła przewidzieć, co się stanie, ale i tak była wzburzona i powtarzała, w końcu już bezmyślnie:

— Wracaj do domu! Do domu! Co to znów za fanaberie!..

Ale na córce pijaka takie tam plaśnięcie po twarzy nie wywarło żadnego wrażenia. Podniosła na matkę szare spojrzenie oczu kamieniem obojętnych. Powiedziała:

— Niech mama da pokój! Ja do mamy nic nie mam... Ja wam co przyślę. A z nim — teraz oczy jej zamigotały — nie będę mieszkać pod jednym dachem! To trudno!

Wtedy matka ją objęła i zapłakała tam, na schodach, w obecności Kłabusika i jakiejś pani w binoklach, lokatorki z drugiego piętra, która żądała wolnego przejścia.

— Jadwisia, Jadziunia — płakała matka — co ty robisz? Przecież ty sama jesteś dziecko, ty jesteś jeszcze dziecko... no, wracaj, chodź ze mną!

Całowała ją po twarzy, gładziła po włosach i chciała pociągnąć za sobą w górę, do domu. Ale Jadwiga oparła się temu. Wyprostowana nagle, przegięta do tyłu, umknęła z opiekuńczych rąk matki. Krzyczała:

— Nie! Nie! Nie! Nie wrócę tam! Nie chcę... do tego piekła!

Matka próbowała jeszcze namawiać, przekonywać, błagać:

— Panie Kłabusik, jak panu nie wtyd? Pan, człowiek żonaty, ojciec dzieciom... Jadzia, czy rozumiesz? Zastanów się, na jaką ty dołę idziesz? Co ty z sobą robisz?

Na wszystko, na wszystko ta jedna odpowiedź:

— Nie wrócę do niego! Dłużej nie mogę! Nie! Nie! Nie!

Wieczorem powiedziała mężowi, co się stało z Jadwisią. Nie odpowiedział, nie zrozumiał, był pijany. Rano powtórzyła mu straszną nowinę. Odrzekł: — Będzie o jedną flandrę więcej!

Wtedy to Krasnowska zapragnęła śmierci męża.

Teraz przypomina jej się to wszystko, ale nie może przecież wypowiedzieć tego przed człowiekiem, który, po tylu latach, stał się całkiem obcy. I opowiada bladymi, spokojnymi wargami, że córka nie żyje. Po wojnie już umarła. Na co? Z choroby, z choroby... na płuca.

Tak się jakoś dzieje, że skręcają na lewo, w spokojniejszą ulicę. Tutaj Gieniek staje i dość długo milczy i słucha bez żadnych pytań, co mu opowiada Krasnowska. Nagle jednak podnosi głowę i pyta:

— Co się z tobą stało? — z takim bólem, z takim szczerym żalem nad nią, że Krasnowska przestaje pleść swoje baśnie o chorobach i spuszcza głowę:

— Nic — odpowiada wolno, niechętnie i bardzo cicho — to tylko tyle, że mąż pije... bardzo pije.

Ludwika Woźnicka

LUBELSKI LIPIEC

I

Przez wioski koło Chełma,
 przez wioski pod Krasnymstawem,
 wzgórzami w zielonych hełmach
 lasów, gdzie bitwy — krwawe,
 jechali aż spod Lenino,
 z nad Oki szerokiej jak Wisła;
 lubelską jechali krainą.
 I oto naprzeciw im wyszła
 Ojczyzna.

A wyszła w makach czerwonych,
 których bukiety brali;
 i szła tu z każdej strony:
 z chat, których tyle mijali,
 z serc, które jak sygnaturki,
 z rąk ku nim powiewających
 i nawet ze srebrnej chmurki
 pod złotym lubelskim słońcem.
 W ranach wyszła i w bliznach.

Matka im wyszła naprzeciw.
 A oni tu nieśli wolność.
 I każdy od niej świecił,
 jak kwiat nad ścieżką polną.

Jechali tą ziemią świętą,
 krwawiącą jak rana jeszcze,
 — szosą lejami pociętą,
 wstrząsaną wybuchów dreszczem,
 skrzydlaci od krzyków radości,
 które — na wszystkich drogach...
 I wołali żołnierze wolności:
 „Na wroga, bracia! Na wroga!”

II

A oto za Piaskami,
 gdzieś niedaleko Majdanka,
 podniosło się zorzy ramię
 w chmur purpurowych firankach.
 I zaśniło na dachach z daleka,
 jak uśmiech nadziei na twarzy.

Wtedy szosy stanęła rzeka
 i wysiedli z aut: robociarze,
 prości chłopci, artyści, poeci...
 szarzy, skromni wolności żołnierze.
 Wczoraj oni — jak ptaki po świecie,
 których skrzydła wiatr historii mierzył,
 a dziś oto na progu Lublina,
 sami jak wiatr na śladach Gestapo.
 To przed nimi wolno kark nagiął
 potwór wojny ze strzaskaną łapą.

III

Potem szli przez miasto żołnierze:
 ci z orłami, tamci z gwiazdą — po społu.
 I nie bój ich tak tylko sprzymierzył,

nie krew nawet, i nie głos popiołów,
wołający z obozów zagłady,
lecz los wielkiej wszechludzkiej gromady:
czas roboczy, wschodzący, jak z gniazda
głuchej nocy wschodzi słońca gwiazda.

A ulice dymily po boju,
jak w dni klęski, — a przecie inaczej.
Przez zwycięstwo do wieku pokoju
ten czas drogę im bowiem wyznaczył.

Więc w tych domach, w tych gruzach na drodze,
po raz pierwszy od wichury wrześnie!..
O, żołnierze! O, żołnierze drodzy,
zwiastowani w niepodległych pieśniach...
Niech was każdy tu dom sercem wita,
niech was sercem, i chlebem, i solą...
I niech w mieście tym Rzeczpospolita
znów z was wstanie za narodu wolą.

Stefan Wolski

HELENA PLATTA

NA ROK KOPERNIKOWSKI

Oczy wznosił ku planetom lecącym w bezmiary,
liczy gwiazdy dalekie — słucha grania zegarów
gdzieś na wieżach Fromborku, Dłoń na księżde wsparta,
myśl się waży na czole, drży od wiatru karta
biała papieru. Gra noc astronomiczna
symfonię nowej treści — i nowych obliczeń.

Porwał wicher myśl żywą jak pochodni żagiew,
szerzy się w mózgu jako płomień nagi,
prawdą rewolucyjnie bije w rację bytu,
logiką oczywistą porywa i chwytą!

— Nie może być inaczej! Suche wiedzy księgi
martwe głowy zamknęły przed ludzkości kręgiem,
lecz kiedy świt za chwilę oknem zacznie świecić,
słońce wszędzie w purpurze minionych stuleci
i ziemia słońcu przydaną potoczy się drogą!

— Ludzie, ludzie słyszycie?!

Nie było nikogo.

Tylko płynął wiatr ciepły, tylko gałąź drzewa
zaszeleściła blisko.

Już świt się przelewał

jak tętniąca świeżością i solą mój fala:
na horyzoncie tarczę słońca dzień zapalał.

Helena Platta

KONRAD EBERHARDT

WOBEC POŻARU

(notatki do artykułu)

I

Montaigne zastanawiał się: „Co do wojny,
która jest największą i najuroczystszą z czyn-
ności ludzkich, radbym wiedzieć, czy mamy

się nią posługiwać jako dowodem naszej wyż-
szości, czy też przeciwnie, brać ją na świadec-
two naszej niedorzeczności i niedoskonałości?
Sądziłbym raczej, iż owej sztuki wzajemnego

tepienia się i mordowania, niszczenia i rujnowania własnego rodzaju, nie ma co tak bardzo kazać zazdrościć zwierzętom, które jej nie posiadają". (Essais, II Apol.). Aby poprzeć swą myśl, Montaigne przytoczył cytaty z Juwenalisa, który twierdził, że nigdy słabszy lew nie zginął w pazurach silniejszego lwa, a dzik pod kłami większego dzika. Zdanie to wydaje się nieco ryzykowne, niemniej panu de Montaigne, który z okien swojego zamku był świadkiem panoramy najbardziej krańcowych zdziczeń wojen religijnych, łatwo przyszło uwierzyć w wyższość obyczajową zwierząt w tej dziedzinie. Nie był zresztą osamotniony w swoim sceptycyzmie. Leonardo da Vinci, ów największy z humanistów, był podobnego zdania i w „Kodeksie Atlantyckim” znajdujemy liczne tego dowody. Stosunek Leonarda do takiego zjawiska, jakim jest wojna, objawia się nam po czterech wiekach, jako jeden z najdziwniejszych paradoksów.

Jakie pojęcie powźmie o genialnym mistrzu Odrodzenia ktoś, komu w rękę wpadnie list — oferta do księcia Lodovico Moro, w którym Leonardo obiecuje skonstruować dziesiątki rodzajów broni i machin wojennych do rozbijania murów, miotania pocisków i ognia. Znajduje się tam zarówno prototyp czołgu, jak i wyrzutni bomb gazowych — cała wojna współczesna w proroczym skrócie! I to wszystko oparte o ścisłe plany, obliczenia, wykresy... A jednak Leonardo w jednym tylko wypadku tak dogłębnie gardził człowiekiem: gdy oglądał go w bitewnym szale.

Subtelny i wnikliwy humanista, któremu nic z rzeczy ludzkich nie było obojętne, nie wahał się w jednym z fragmentów „Kodeksu Atlantyckiego”, który nosi tytuł „o srogości człowieka”, posługiwać się wyłącznie terminem „dzikie zwierzęta”. Te nie będą miały granic w swej złości — pisze Leonardo — a potem, gdy się napasą, karmić będą pragnienie swe śmiercią i męką i trudami; wojną i szaleństwem, którymi będą dręczyć wszelką rzecz żywą”. (C. A. 370 r.). Jak głęboko ten konflikt między działalnością praktyczną a przekonaniami przeorywał świat twórczości mistrza z Vinci, dostrzec można w pozostałych po nim papierach: obok doskonałych rysunków machin wojennych, których realizację przyniosła dopiero nam współczesna technika wojenna, znajdują się takie szkice do obrazów, jak np. „Bitwa pod Anghiari”, na którym artysta ge-

niałnie uchwycił ślepe szaleństwo i dzikość walczących, nie rozumniejszych od kąsających się pod nimi koni.

Wątpliwe, aby Montaigne znał pisma Leonarda da Vinci, zostały one bowiem zebrane znacznie później, niemniej posługuje się podobnymi określeniami. Gdy Leonardo pisze o człowieku jako o „okrutnym i bezecnym potworze”, Montaigne zdaje się podejmować jego myśl, ale sprowadza ją równocześnie na inne tory: „Otóż to wielkie ciało o tyłu twarzy i ruchach, które zdaje się zagrażać niebu i ziemi — ów wściekły potwór o tyłu ramionach i głowach, toć to zawsze człowiek, słaby, mizerny i żałośliwy — to jeno owo rozgrzane i oszalałe mrowisko” (Essais II). W tonie Montaigne’a wydaje się kryć mniej oburzenia i pogardy, natomiast więcej wnikliwości i analizy. Ostatecznie gest oburzenia lub zniechęcenia artysty problemu nie rozwiązuje; należy wysledzić siły działające w zjawisku wojny, jej wielorakie podłoża i oblicza. Czyż człowiek wzięty jako jednostka jest istotnie owym tytanicznym potworem, o jakim pisał Leonardo? Wydawałoby się wręcz przeciwnie, jest przecież istotą słabą, niedoskonałą, „przeciwny podmuch wiatru” — jak pisze Montaigne — „zakrakanie kruków, złe stąpnienie konia”, — wszystko może go obalić, obezwładnić. Przeciwny człowiek wzięty pojedynczo pragnie szczęścia dla siebie, dla rodziny, pragnie mieć dom, pomnażać swój dobytek, posiada zmysł towarzyski, szuka przyjaznego kontaktu z innymi ludźmi, odczuwa powagę nabrzmiałego pokojem zmierzchu i pełnego nadziei świtu. Oczywiście kryją się w nim moce nieznanne i ciemne, wewnętrzna „nox atra”, z której wyłonić się mogą człowiekowi samemu nieznanne bodźce, pobudki, instynkty. Z drugiej strony miniaturą wojen toczonych przez olbrzymie armie mogą być starcia w łonie najmniejszych nawet środowisk społecznych. Są to argumenty prawdziwe, ale zagadnienie, czy wolno wszystkich ludzi w jednakowym stopniu obciążać za wywołanie tych sił, za rozpętanie wojennego szaleństwa, dla wielu pozostawało nierozwiązane. Leonardo nie czynił tego rozróżnienia, posługiwał się symbolem „człowiek”, jako reprezentantem całego rodzaju, ale Pascal, który zbyt głęboko przejrzał naturę człowieka rozdartą sprzecznościami, aby nie natrafić na ukrytą żyłę niszczycielskiego popędu, znajdującą swe pełne ujście w wojnie, — ina-

czej podchodzi do tego zagadnienia. W prostocie tego podejścia jest prawdziwie genialny. W pełni dowiódł, że właśnie dla świadomego i rozumnego człowieka wojna jest zjawiskiem tragicznie nonsensownym. Dochodzi do tego stwierdzenia nie poprzez obserwacje wojennego spektaklu: szcęk oręża, hałas trąb, okrucieństwa żołnierzy, — ale przez konfrontację dwóch ludzi z wrogich obozów, wyrwanych ze zgiełku bitwy, pozbawionych broni, postawionych naprzeciwko siebie, przez to zwykłe, wstrząsające prostotą pytanie: „czemu mnie zabijacie?”. „Alboż nie mieszkasz z tamtej strony wody? — odpowiada drugi — mój przyjacielu, gdybyś mieszkał z tej strony, byłbym mordercą, ale skoro mieszkasz z tamtej strony, jestem zuch i wszystko w porządku”. W tym uświadomieniu sobie przez dwóch ludzi, że zamierzają się na siebie tylko dlatego, że dzieli ich woda lub jakaś umowna granica, kryje się ziarno racjonalnego buntu przeciwko wojnie, jaki podziemnym nurtem żłobić będzie kulturę europejską, wyrażać się będzie „filozofią pokoju” księdza Irenée Castel de Saint-Pierre, płótnami Goyi, czy poezjami Wiktora Hugo. W tym zbliżeniu twarzą w twarz dwóch ludzi „zza rzeki” kryje się ogromna siła. Gdy w trzy wieki później Henri Barbusse każe dwóm żołnierzom francuskim z okopów zastanowić się właściwie dla czego i dla kogo siedzą w tej rozkopanej jamie, pozbawieni wszelkich ludzkich przywilejów, efekt będzie podobny. Dojdą wówczas do wniosku, że tkwią w nich dlatego, że są w rzeczywistości niewolnikami, którym kazano walczyć za swych panów wygodnie i bezpiecznie ukrytych za murami mocnych banków. Oczywiście w epoce Pascala myśliciele dalecy byli od podobnych wniosków.

II

„Czy może być coś pociesniejszego — pisze z ironią Pascal — niż to, że jakiś człowiek ma prawo mnie zabić, ponieważ mieszka z tamtej strony wody i ponieważ jego władca jest w zwadzie z moim, mimo, że ja nie mam zwady z nim samym?” (Pensées, 293). Montaigne, którego rozważania nad zjawiskiem wojny nie prowadzą do jednolitych wniosków, wyraził podobny pogląd i mocno podawał w wątpliwość prawdę cytowanego przez siebie fragmentu „Georgiki” Vergiliusza: „Często między dwoma królami powstaje wśród wielkiego poruszenia niezgoda i natychmiast można z daleka poznać usposobienie tłumu i serca rwące

się do boju...”. Czy rzeczywiście serca poddanych rwą się do boju, gdy władcy ogłaszają wojnę? Nikt ich wprawdzie nigdy o to nie pytał, ale radość mężczyzn oderwanych od pług, czy od warsztatu, od domu, wydaje się mało prawdopodobna. Montaigne, opierając się na wielu przykładach z historii, dowiódł, iż wojny wybuchały zazwyczaj z przyczyn bardzo błahych, nieraz impuls do nich dawały zupełnie śmieszne spory między królami, a porwanie Heleny, jako zarzewie wojny trojańskiej, wydaje się być owocnym przykładem dla całej historii. Od najdawniejszych czasów wojna nie leżała w interesie ludzi bezpośrednio walczących, prostej masy żołnierzy siłą pognanych na pole walki, wynaturzających się w atmosferze mord i usankcjonowanego rozboju. Tomasz More rozumiał doskonale dramat tej sprzeczności i w swojej kapitalnej „Utopii”, wśród uwag o strukturze społecznej państwa, pozostawił liczne ślady swoich rozważań naten temat. Otóż mieszkańcy jego fantastycznej wyspy nienawidzą wojen i nie szczyć się sławą zdobytą na wojnie. Walczą jedynie w obronie własnego kraju lub też celem oswobodzenia jakiegoś uciśnionego narodu od tyranii i przemocy wroga. Gdy jednak działania wojenne już się rozpoczęły, mieszkańcy wyspy zastosowują uświęcony przez tradycję środek: mianowicie wywieszają w nieprzyjacielskim kraju odezwę obiecującą wielką nagrodę temu, kto zgładzi księcia owego kraju. Przybyłym, dziwiącym się temu procederowi, utopijczycy tłumaczyli, że unika się przez to rozlewu krwi i przewlekłej wojny, a czyż nie lepiej zabić jednego człowieka, niż miałyby z jego rozkazu zginąć tysiące? Polski humanista Andrzej Frycz-Modrzewski jeszcze trafniej wyraził tę myśl pisząc: „Bo co się dzieje w inszych rzeczach, to widzimy, że i wojny przynoszą, iż jako jeden powiedział: czego królowie nabroją, to się na ludzi zwiezie. Królom i innym zwierzchnym panom tak bitwą jako i dobrowolnym poddaniem zwyciężonym albo folgują, albo wzdry mniejszej srogości nad nimi używają, niżli zasłużyli, chocia przyczyną wojny byli, a niewinni, którzy tego nie zasłużyli, którzy żadnej przyczyny wojny nie dali, srodze tego przepłacają”... (De republica emendanda, ks. III, cz. II, przekład C. Bazylika z r. 1577).

Dopiero dzisiaj, w perspektywie czterech wieków, znakomite dzieło Modrzewskiego

objawia nam swe pełne proporcje. Ta część księgi „O naprawie Rzeczypospolitej“, którą autor poświęcił problemowi wojny, jest jednym z najdoskonalszych wykładów na ten temat, jakie można odnaleźć w literaturze europejskiej jego wieku. Nie tylko najdoskonalszych, również — najodważniejszych. Andrzej Frycz-Modrzewski, ku oburzeniu znudzonej i pobrzękującej od wieków szabelką szlachty, pozostał nieczułym na łopot sztandarów, dźwięki surm i szumne hasła. Pomiął całą zewnętrzną scenerię i pragnął dotrzeć do istotnego sensu wojen oraz wyjaśnić komu właściwie służą.

Odpowiedź jego jest bardzo śmiała: każda wojna, oprócz obronnej, sprzeczna jest z interesami ludu, który nie tylko sam swoją pracą, daninami i podatkami, musi wojnę opłacić, ale również jest w niej głównym „materiałem“ i ma dla pańskich zamysłów przykładnie w niej ginąć. „Co na ostatek nam mówić o poddanych twoich, na któreś często pobór wkładał, wielokroć strach zadawał, aby się nie przeciwili chęci twojej, którzy od żołnierzy tak własnych jako i postronnych nieskończone nędze cierpieli...?“ zapytywał Modrzewski magnatów.

Już od wielu wieków nadęta frazeologia bohaterstwa wojennego jest posłusznym narzędziem w rękach klasy panującej, podobnie zresztą jak i sama wojna. Różne osiągnąć cele. Wojny Ludwika XIV, liczne, krwawe i najzupełniej bezowocne, służyły zarówno jako podkreślenie potęgi absolutnego monarchy, jak również odciągały uwagę od przeróżnych konfliktów wewnętrznych, których król nie chciał rozwiązać. Stąd wszelka myśl pacyfistyczna równała się nieoficjalnej obrazie majestatu. Nie dość dobrze zdawał sobie z tego sprawę poczciwy i mądry ksiądz Irenée Castel de Saint-Pierre, który szereg lat spędził na rozmyśleniach nad trwałym zapobieżeniem dalszym wojnom i wreszcie ogłosił swoje poglądy w słynnym „Projet de la paix perpétuelle“ (1717). Pełny tytuł tego traktatu brzmi: „Projekt traktatu o zachowaniu pokoju między chrześcijańskimi władcami, aby utrzymać wolny handel między narodami, aby utrwalić domy panujące na tronach — proponowany uprzednio przez Henryka Wielkiego, przez królową Elżbietę, Jakuba I — króla Anglii — wyjaśniony przez księdza de Saint-Pierre“. Mimo tak zrecznie zredagowanego tytułu,

traktat wywołał głębokie oburzenie w kołach dworskich. Jakiś ksiądz śmiał targnąć się na święte misterium wojny. Oburzenie stało się jeszcze głębsze, gdy ksiądz de Saint-Pierre ogłosił następny traktat: „Traité sur la Polysynodie“, w którym domagał się ograniczenia władzy absolutnej monarchy, głównie w tym celu, aby nie mógł on wypowiadać wojen według własnego widzi mi się. Wówczas miara cierpliwości Dostojnych przebrała się i na jednym z zebrań Akademii (w r. 1718) uroczyście wykluczono księdza de Saint-Pierre z grona nieśmiertelnych. Ksiądz co prawda nie przejął się tym faktem zbyt i nie ustawał w zabiegach o realizację swego projektu, Biskup z Fréjus, późniejszy kardynał z Fleury, powiedział mu: „Zapomniał ksiądz dołączyć najważniejszego artykułu do swego projektu: aby wysłać misjonarzy dla zmiękczenia serc książęcych i skłonić ich do wejścia w twoje poglądy“. Biskup reprezentował realne stanowisko w tej sprawie, niemniej projekt księdza de Saint-Pierre doczekał się realizacji w XX w., gdyż pomysł owego senatu narodów, który by ustalił pokój między narodami, a następnie strzegł go, jest prototypem dzisiejszej ONZ i Rady Bezpieczeństwa.

III

W życie artystów wojna prawie zawsze wносиła dramat rozczarowania. Młodziutki markiz de Vauvenargues, jeden z największych moralistów francuskich, przed którym ctwierała się — jako jedyne wyjście — kariera wojskowa, przeżył ten dramat w całej pełni. Liczne kampanie — włoska, rumuńska, wreszcie tragiczny odwrót spod Pragi (r. 1743) — pozbawiły go nie tylko zdrowia, ale również „kolorowych“ złudzeń. Zobaczył stado ludzkie gnane batem na rzeź z rozkazu dość bezpiecznie ukrytych wodzów i ów „powszechny entuzjizm“ okazał się fikcją. Napisał po powrocie w swoich maksymach to krótkie, ale jakże wymowne zdanie: „Żołnierze maszerują na wroga tak, jak kapucyni idą na jutrznię. To ani sprawa wojny, ani ukochanie sławy, ani ojczyzny — to jedynie werbel ich wiedzie („Refl. et Maximes“ 467). Podobnego rozczarowania doświadcza w wiek później Stendhal — wierny sprzymierzeniec napoleońskich kampanii. Wprawdzie na całe życie zachował wspomnienie momentu, gdy cesarz ujął go za kłapę munduru pod Görlitz, ale później, wcie-

lony w Fabrycego del Dongo, każe bohaterowi „Pustelni Parmeńskiej”, szukającemu pod Waterloo owej wojny ze sztychów, owej posuwającej się ściany grenadierów z wyprężoną pierśią i oczami roziskrzonymi pragnieniem śmierci za cesarza — odnaleźć chaotyczne kłębowisko skąpane w dymie, w którym dławią się ludzie i konie; wielką jatkę, w której niesposób rozpoznać uwiecznionego wielokrotnie w sztuce „teatrum napoleońskiej bitwy”. Również Alfred de Vigny zawarł w swojej wzruszającej „Servitude et grandeur militaires” szereg interesujących wspomnień. A oto jego słowa: „U schyłku Cesarstwa byłem roz-targnionym uczniem... Werbel wypierał z moich uszu słowa nauczycieli i głos książek przemawiał do mnie językiem suchym i pedantycznym...”. Wówczas to młody de Vigny zawarł znajomość ze starym wojakiem i często wieczorami przechadzał się z nim wokół garnizonu, wysłuchując opowieści o bitwach minionych, o bohaterstwie żołnierzy. Lecz wyznania swoje Alfred de Vigny kończy zastanawiającą uwagą: „Mój zachwyt dla niego (tj. dla owego wiarusa) był pierwszą oznaką mojej zbędnej miłości dla armii, przyczyną jednego z najbardziej kompletnych rozczarowań mojego życia”...

Na czym polegało ściśle to rozczarowanie poety wiernego do końca dynastii burbońskiej — nie wiemy. Ale zarówno z tego, jak i z innych wyznań, wyłania się nam podwójne oblicze wojny: z jednej strony — porywające widowisko, wielkie pole do popisu, szereg okazji dla wykazania swej odwagi i brawury i zdobycia zaszczytów, a z drugiej — rzeczywistość cuchnąca potem i krwią, niepodobna do poetyckich wizji czy młodzieńczych marzeń. Każda klasa panująca, każdy reżim trzymał się kurczowo pierwszego wizerunku wojny i starał się jak najrzędniej ją reklamować. W czasach obu Ludwików — XIV i XV — gdy na przewlekłej, choć urozmaiconej, wojnie padły już tysiące chłopów zwerbowanych uprzednio, wówczas wyjeżdżała „w teren” bunda na kołach, a specjalny „naganiacz” zachwalał rzemiosło wojenne: „la patrie, le roi, la gloire, le trésor vous attend!” (Patrz chociażby „Mémoires” duc’a de Saint-Simon). Zjawisko klasowego sensu wojny znalazło swe odbicie w literaturze. Spójrzmy na wielkich bohaterów literatury światowej. Don Kichot, spóźniony rycerz, tęskni za wojenką,

na której mógłby popisać się brawurowymi czynami w stylu swojej minionej już epoki, ale bohater ludowy z Damm — Dyl Sowizdrzał (ucieleśniony w powieści de Costera), walczący od pierwszej strony do ostatniej, jest — jak powiedział Romain Rolland — tragicznym profilem wojny, jej oskarżeniem; wojny, na której „najmężniej biją króle, a najgęściej giną chłopcy”.

Los żołnierza przyczynił się do powstania wspaniałych kart literatury światowej, a pisarze różnie określali jego dziwną postać. Alfred de Vigny nazwał go wyznawcą najwyższej religii honoru i odnalazł w jego pozycji szereg bolesnych sprzeczności. Broniąc narodu — jest jednocześnie z niego wydzielony, mundur staje się barierą między nim a społeczeństwem. Żeromski dojrzał w pełni ów tragiczny los człowieka, przechodzącego w bitwach próby najwyższego poświęcenia i bohaterstwa, z którego jednak nie zdejmują one więzów niewoli społecznej. Powrót chłopskiego bohatera do pańszczyźnianej wsi w popularnej i przerabianej dzisiaj w każdej szkole nowelce „O żołnierzu tułaczem” — jest dramatem, który nadaje tej rzeczy trwałe życie w literaturze. Georges Duhamel, będąc lekarzem w czasie pierwszej wojny światowej, pochylając się w czasie wielu dni i nocy nad ludzkimi strzępami przyniesionymi z pola, nazwał żołnierzy męczennikami i pozostawił trudną do zapomnienia książkę „Vie de martyrs” („Życie męczenników”). „Drewniane krzyże” Dorgelès’a są również pomnikiem wystawionym bohaterstwu nieznanego żołnierza, znoszącego bez protestu grozę nieustannego umierania.

Kim jest właściwie? Zdobywcą? Ale przecież nie zdobywa ziem dla siebie. Zwycięzcą? Ale przecież nawet broń i mundur do niego nie należą, zaledwie ma prawo przyznać się do swego kraju, w którym — tak bywało za zwyczaj — oczekują go te same okowy społeczne, lub dola żebraka.)

Dopiero w powieści pisanej niemal pod dyktando rozrywających się pocisków i jęku konających, w słynnym, historycznym już „Feu” Barbusse’a, budzi się bunt, głuchy pomruk milionów niewolników wpędzonych

*) Rozważania na ten temat snuje Berthold Brecht w swoich szkicach „Opowiadania z kalendarza” („Kalendar-geschichten”) — „Żołnierz z la Ciotat”.

w błoto okopów, stratowanych, miażdżonych żelazem. Prosty żołnierz zaczyna sobie uświadamiać grozę nonsensu imperialistycznej wojny; grozę faktu, że oddając swoje jedyne życie, w znikomej mierze oddaje je za swoją ojczyznę, że za jej kulisami kryją się siły trudne do objęcia, ale wrogie i obce. To już nie rządy kierują wojnami — to „gigantyczne interesy, finansiści wielcy i mali, interesiarze opancerzeni w swoich bankach i domach, którzy żyją z wojny... Ci uwielbiają rozgrywane się daleko bitwy, marzą i krzyczą jak kobiety na widok barwnych mundurów wojskowych”... (Barbusse „Feu”). Ale nad poszarpanym okopem, gdzie grupka ocalałych z rzezi ludzi czeka nowej nawałnicy stali, wydaje się unosić mgła przedświt, noc grozy zdaje się pierzchać... „30 milionów niewolników, rzuconych jeden przeciw drugiemu, wznosi swe ludzkie twarze, w których nareszcie kielkuje wola. Przyszłość jest w rękę niewolników, widać dobrze, że cały świat zmieni się przez ich przymierze”. Głos ludzi z okopu utknął jednak w mroku, bowiem w dwadzieścia lat później przetoczył się znowu walec drugiej wojny światowej, operujący znacznie skuteczniejszymi środkami masowego mordy. Przepowiadał jej nadejście katolicki

budzieli sumienia, Jerzy Bernanos, pochylający się nad faszystowskimi cmentarzami w Hiszpanii i Abisynii. („Les grands cimetières sous la lune”). Ale ów głos protestu nie ucichł: podchwyciła go literatura, wiarna towarzyska ludzkości. Nadeszły książki Mailera, Hema (wstrząsająca „Inwazja”), Erenburga...

—O—

Szkoda, że na ostatni wielki Kongres Obrońców Pokoju do Wiednia nie mogli przyjechać również wszyscy pisarze dawno zmarli, którym w ciągu wieków nabrzmiwał pod piórem tragiczny problem wojny. Na nadzwyczajnej, zwołanej specjalnie sesji, usiedliby obok siebie: Frycz-Modrzewski obok Barbusse'a, Montaigne obok Bertholda Brechta. Reprezentowałyby różne poglądy i stanowiska, ale łączyłaby ich wspólna myśl, która i dzisiaj każe intelektualistom zbierać się i zastanawiać nad oddaleniem grozy przyczajonego w głębi nocy pożaru.

I wówczas, w ciszy zawistej nad salą, dobry ksiądz Irenée de Saint-Pierre wygłosiłby referat o prawidłowym funkcjonowaniu ONZ.

Konrad Eberhardt

MAREK ADAM JAWORSKI

WISŁA W KAZIMIERZU

Tu nawet słońce przechyla się niżej
i spija wodę wiślańską. Tak lato
przemija — jakbyś słowo wyrzekł
niepostrzeżenie. A dzień tak bogato
dzieli się z tobą uśmiechem, zielenią
i coraz mniej go. Wśród wzgórz się rozplywa,
wśród drzew kwitnących, co pachną przestrzenią —
jabłoni, gruszy... I tak dnia ubywa.

Pofruną płatki. Rozzółci się jabłoń,
pokryje śliwa żalobnym fioletem.
Dojrzały owoc na ziemię opadnie
jak kwiaty białe, strącone już przedtem.

I tylko Wisła tak samo popłynie,
odbije w lustrze swym słońce i błękit.
Tak samo w lecie, jesienią czy w zimie
zachwyci oczy spokojem i pięknem.

Marek Adam Jaworski

Z WIERSZY O KAZIMIERZU

Ciągle się cofam wpół drogi,
 Nic nie mogę doprowadzić do końca.
 Za wiele jest tutaj kwiatów,
 Za dużo słońca.

Nocą gwiazdy sypią się przez okno,
 Księżyc przeciął szyby srebrną szpadą.
 Małe domki w mgłę błękitnej mokną.
 Ludzie spać się wcześniej kładą.

Dzień cały noszę w sobie
 Mnóstwo wierszy i fragment powieści.
 Chciałbym to wszystko napisać
 W tym małym mieście.

Lecz zaledwie tłoczyć się zaczął
 Asonanse i aliteracje —
 Zawsze wtedy jest pora na obiad,
 Lub na kolację.

A zapachy róż, bzu i jaśminu
 Przenikają na przestrzał, na wylot
 I akacji zdradliwe muśliny
 Ponad głową kusząco się chylą.

Znowu chwytam za pióro, od rana,
 I już strofa jest pełna i bliska,
 A tu nęcą zalewy wiślane
 I urocze zamku rumowiska.

Małe ptaszki drą się wniebogłosy —
 Jakżeż można pracować w tej wrzawie —
 Przepióreczki uciekają w proso,
 Milion świerszczów oszalało w trawie.

Łamię pióro. Wiatr zrywa firanki
 I arkusze zapisane strzępi.
 I już piję wonie macierzanki
 W zwariowanej modrzewiowej kępie.

Zegar wiosny godziny odmierza,
 Gdy dzień kończę słońcem przepalony,
 W pastelowy wieczór Kazimierza
 W ramionach żony.

Konrad Bielski

WACŁAW GRALEWSKI

KLIMASZEWSKI

Od dworca kolejowego do ulicy Nowej jest parę kilometrów. Drogę tę przebyłem pieszo. Jazda dorożką, aczkolwiek wygodniejsza, miała swoje ale... No bo gdyby np. jakiś szwendający się patrol, widząc wehikuł i samotnego w nim pasażera, zapragnął przeprowadzić re-

wizję, wtedy, no to wtedy... choć lepiej o tym nie myśleć... A tak zagubionemu wśród przechodniów łatwiej dostrzec mundury i dać nurka w jakąś pierwszą lepszą bramę. Szansa zniknięcia i ukrycia się bez zwracania uwagi zwiększa się znacznie. Natomiast w razie cze-

go skok z dorożki i próba ucieczki równałyby się samobójstwu i całkowitemu przekreśleniu zadań, jakie należało wypełnić.

Szedłem powoli. Powietrze i mury przesycone były światłem. Godziny popołudniowe sunęły leniwie w stronę zmierzchu. Dzień lipcowy ciągnął się i złościł niby miód pszczeleli. Ulice Lublina wypełniał skwar zastygły i znieruchomiały w swym bezszelestnym oddechu.

Marszruta była prosta. Należało przejść ulicą Nową a dalej Lubartowską do punktu, którym był dom oznaczony numerem... W tym momencie zorientowałem się, że nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam numer. Może postąpiłem zbyt lekkomyślnie nie notując go sobie, choć instrukcja tego zabraniała. No ale można było w jakiś trudny do odszyfrowania sposób zrobić notatkę. Wątpliwości jednak nie trwały długo. Właściwy numer wyłonił się jasno i bez zastrzeżeń z chwilowo przyćmionej pamięci. To tak jakby zachwianie na moment równowagi na wąskim i trudnym przejściu. Odzyskanie jej daje tym większą pewność.

Uspokojony przyspieszyłem kroku, beztrako spojrzałem przed siebie i raptem zatrzymałem się. Na pograniczu ulic Nowej i Lubartowskiej widniał łańcuch zielonych i szarych mundurów. Poszczególne jego ogniwa poruszały się szybko, spędzając przechodniów na środek jezdnii. Część ich uniknąwszy widocznie otoczenia szła prędko w moją stronę, wpadając do bram, w boczne uliczki, lub usiłowała wejść do zamykanych na czyjeś polecenie sklepów. Również targowisko, rozłożone pomiędzy ulicami Nową i Świętoduską, choć zazwyczaj ruchliwe aż do zmierzchu, opustoszało.

Najwidoczniej hitlerowcy zorganizowali nagle łapankę. I to właśnie w dzielnicy, do której zamierzałem dotrzeć.

Nie było chwili do stracenia. Należało zawrócić i to szybko. Postanowiłem wyjść na Krakowskie Przedmieście i udać się do rezerwowego punktu, który był mi wskazany na wszelki wypadek. Nim jednak zdołałem ująć kilkanaście kroków, gdy właśnie od strony Krakowskiego Przedmieścia zawarczały motory i w ulicę Nową wtoczyły się trzy ciężarówki. Trwało to sekundy. Zatrzymały się nagle i na jezdnię zaczęły wyskakiwać SS-mani w hełmach i w pełnym uzbrojeniu. Na chodnikach zapanowała panika. Przede mną o kilka kroków zamajaczyła brama. Skoczyłem ku niej.

Widocznie jednak SS-mani spostrzegli manewr, gdyż dwaj z nich zaczęli biec w moją stronę wołając — halt! halt! Jeszcze dwa susy i znalazłem się w bramie, po czym szybko wbiegłem na schody. Byłem już w połowie drugiego piętra, gdy na dole rozległ się tupot ciężkich butów i przekleństwa. Jeszcze kilka stopni i w półmroku małego kurytarzyka dostrzegłem drzwi. Nie było wyboru. Zapewne mieszka tu ktoś; jeśli szybko otworzy i wpuści do środka, no to szansa uratowania się będzie realna.

Szybko nacisnąłem guzik dzwonka.

Te kilka czy kilkanaście sekund oczekiwania wydłużyły się niepomniernie, choć wydawało się, że SS-mani jakby zatrzymali się na dole, nie wiedząc dobrze, czy ten, którego gonili, wbiegł na podwórze, do suteryny, czy też na górę. Ich niezdecydowanie stawało się dla mnie atutem. Nim myśli moje znalazły jakiś punkt oparcia, na którym mogły się zatrzymać, drzwi się raptem otworzyły. Spojrzałem i znieruchomiałem. Przede mną stał mężczyzna w butach, w ciemnym na wzór wojskowy skrojonym ubraniu i ze swastyką w klapie. Był zlekka szpakowaty i miał przenikliwe spojrzenie.

Słowa ugrzęzły mi w gardle.

Nieznajomy bacznie przyglądał mi się spod ściągniętych brwi, jak gdyby chciał przejrzeć mnie na wylot.

Na schodach rozległy się kroki. Widocznie SS-mani zdecydowali się iść na górę.

— Do kogo? — zapytał po polsku, w sposób, jak mi się wydało, dość ostry, mężczyzna ze swastyką.

— Czy tu mieszka Klimaszewski? Nazwisko, które wymieniłem, spłynęło mi z języka niczym przysłowiowa ślina.

Nieznajomy patrzył na mnie nadal przenikliwie. Czas wymierzały ciężkie stąpania, które stawały się coraz bliższe.

— Klimaszewski — powtórzył przeciągle — tak, tutaj, to ja, proszę wejść!

Zdumienie, jakie mnie ogarnęło, było tak wielkie, że odsunęło na plan drugi obawę przed SS-manami.

— Klimaszewski to pan? — chciałem krzyknąć głośno — co za przypadek! — ale w porę stłumiłem odruch, wydając z siebie piskliwe chrząknięcie.

Nie było wyboru. Wszedłem. Drzwi zamknęły się.

— Proszę do pokoju — posiadacz swastyki mówił dość dobrze po polsku, choć z wyraźnym obcym akcentem.

— Jeśli to volksdeutsch — zacząłem gorączkowo rozumować — no to zawsze uda się coś nablagować, skomponować jakąś historię o człowieku, co nazywał się Klimaszewski i którego adres mi tu wskazano.

Tylko co za szatański zbieg okoliczności z tym nazwiskiem!

Być może rozmowa się przeciągnie, a SS-mani przestaną myszkować i wyjdą na ulicę.

A jeśli nie?! Jeżeli nadal będą szukać uparcie zbiega?! Jeśli zadzwonią tutaj do mieszkania, wejdą i zobaczą mnie? Co wtedy? Przecież ten przeklęty volksdeutsch na pewno mi nie pomoże — przeciwnie odda w ich ręce! I co mam teraz powiedzieć?! Żaden pomysł nie przychodził mi do głowy.

— Proszę — powiedział po raz drugi — otwierając drzwi. Głos jego brzmiał jakby łagodniej. Postąpiłem naprzód i nagle zatrzymałem się na progu. Przy stole siedziało dwóch mundurowych Niemców. Pili piwo i grali w szachy. Jeden z nich nachylony nad szachownicą zastanawiał się nad ruchem — drugi podniósł głowę i popatrzył na mnie z ciekawością.

— Meine Bekannte — powiedział do mnie „Klimaszewski” wskazując ręką na mnie. Obaj szachiści wyciągnęli ręce na powitanie. Byli to zwykli wermachtowcy. Jeden z nich wstał i zapytał, czy gram w szachy.

— No bo mój kamerad partaczy niemożliwie — rzekł i machnął z rezygnacją ręką.

Spojrzałem na gospodarza, który szybko wtrącił się do rozmowy: — Jeżeli pan gra, to proszę uciąć sobie partyjkę, zrobi to Hansowi — tu wskazał żołnierza — wielką przyjemność.

Grałem, skinąłem więc głową i usiadłem przy szachownicy.

Partner Hansa przeistoczył się w kibica, niezwykle zaabsorbowanego grą, który już na pierwsze typowe posunięcie pionkami żywo zaczął reagować, klepiąc mnie po kolanie.

Jego odruchy zdetonowały mnie. W kieszeni oprócz paczki z ważnymi dokumentami miałem dwa granaty i pistolet. Niemiec mógł w swej dziecinnej żywiołowości chwycić za udo w okolicach kieszeni i natrafić na broń.

Usiłowałem przybrać więc pozycję, która by mnie od takiego odruchu zabezpieczyła. Nie

była to jednak sprawa łatwa, gdyż kibic wiercił się jak urzeczony. Musiałem więc uwagę dzielić tak, by zabezpieczyć się od nagłego a niespodziewanego dotknięcia a jednocześnie nie dać po sobie poznać, że jestem z tego powodu zdenerwowany. Grałem powoli zastanawiając się dość długo nad każdym najprostszym nawet ruchem.

W momencie, gdy robiłem rozsadę, rozległ się dzwonek. Ostry i podrywający.

Gospodarz wyszedł do przedpokoju.

— Haj Hitla! — zaskowyczało za drzwiami i ugrzęzło w przytłumionym stęknięciu obcasów. Słysząc było pytanie i odpowiedzi. Nie było wątpliwości, że to SS-mani.

Pochyliłem głowę nad szachownicą i brodę podparłem ręką, zasłaniając twarz. Myśl pracowała gorączkowo.

Jeśli wejdą i zażądam dowodów, co wtedy?

Wyjąć pistolet i strzelać — dałoby to szansę ucieczki przez zaskoczenie.

Ale co dalej? Ulice obstawione. Wybiec na nie to skoczyć w paszczę wilka.

Niespokojny kibic poderwał się nagle i zrobiwszy szybko kilka kroków wyjrzał do przedpokoju, po czym podniósł rękę i wymamrotał zwykłe powitanie.

Widocznie wyjaśnienia gospodarza i widok munduru stały się dla przybyłych wystarczające, bo drzwi wyjściowe otworzyły się i usłyszałem stuk oddalających się kroków. Kibic szybko wrócił na swoje miejsce.

— Hinde — wycedził przez zęby, charakterystycznie zniekształcając słowo, po czym z niepokojem spojrzał na mnie, skarcony wzrokiem towarzysza.

Ale ja roześmiałem się swobodnie, bijąc jednocześnie pionkiem lauffra, którego mi partner podstawił niebacznie.

— Aj, aj! — wykrzyknął Hans.

Gra potoczyła się żywiej.

Czułem wyraźnie, jakby ciemna ściana, która przyciskała mnie do muru, odsunęła się w bok. Zamajaczyło wyjście.

Po godzinie gry, która ostatecznie skończyła się moją porażką (postanowioną z góry), zacząłem się orientować nasłuchując odgłosów płynących zza okien, że łapanka zapewne skończyła się. Hitlerowcy często przeprowadzali takie błyskawiczne akcje. Trzeba było pomyśleć o wycofaniu się.

Zdecydowałem się. Wstałem i mimo protestów Hansa, który koniecznie chciał zagrać jeszcze jedną partię, oświadczyłem, że muszę pójść.

Co jednak powiedzieć na odchodnym owe-
mu „Klimaszewskiemu”? Ale on sam wybawił
mnie z trudności.

— Proszę przyjść jutro — powiedział — za-
pewne zechce pan pomówić ze mną szczegó-
łowo, a dziś mam gości.

— Tak, tak — podchwyciłem — mam do
pana parę spraw natury handlowej, jeśli więc
można, to wpadnę jutro.

Po schodach szedłem z uczuciem człowieka,
który postawił hazardową stawkę i aczkol-
wiek nie ma jeszcze całkowitej pewności wy-
grania, ale widzi, że sprawy biorą dobry
obrót.

Przypuszczenia moje się urzeczywistniły.
Na pustej ulicy nie było już hitlerowców. Po-
jedyńczy przechodnie przesuwali się szybko
jakby w obawie, że za chwilę łapanka może
się zacząć na nowo.

Szedłem w dół ulicy rażnym krokiem
z uczuciem radości, które towarzyszy nieod-
miennie wszystkim szczęśliwym trafom i oko-
licznościom.

W ciemnej niecce ulicy Lubartowskiej od-
nalazłem dom i mieszkanie, które mi wskaza-
no. Zadanie zostało wypełnione.

Gdy po wykonaniu wszystkich zleceń wra-
całem do śródmieścia, wolny od obaw, myśl
moja wróciła do „Klimaszewskiego”.

Czyżby rzeczywiście tak się nazywał?! Je-
śli tak, to zbieg okoliczności był rekordowy.
Dlaczego nie zadawał w ciągu całej przymu-
sowej wizyty pytań i traktował mnie jak na-
prawdę dobrego znajomego.

Rozmyślenia te zrodziły postanowienie pój-
ścia do niego.

— Ot na przykład — myślałem — powiem
mu, że chcę kupić partię skóry i że to była
przyczyna, dla której wstąpiłem do niego. —
Przecież Niemcy handlują i mają kontakty w
mieście. Nic nie będzie niezwykłego w tej
propozycji. Jeśli oświadczy, że nie handluje,
no to zawsze można będzie wycofać się wska-
zując na pomyłkę wynikłą z niewłaściwego
podania adresu i na zbieg okoliczności wyni-
kły z podobieństwa nazwisk.

Ale postanowienia nie zrealizowałem, bo
następnego dnia musiałem wyjechać z Lubli-
na.

Wróciłem dopiero po upływie kilku mie-
sięcy.

Tym razem mając wolny czas udałem się
na ulicę Nową i wszedłem na schody. Spotka-
ła mnie niespodzianka. Drzwi były zamknięte,
najwidoczniej nikogo nie było w mieszkaniu,
bo ani na stukanie, ani na dzwonienie nikt nie
odpowiadał.

Dozorca domu, którego zaindagowałem, od-
powiedział krótko: — A te Niemce, z drugie-
go piętra, wyjechały, wszystkich ich zaczy-
nają piec podeszwy!

Tak, niewątpliwie, „pieczenie w podeszwach”
mogło być przyczyną wyjazdu. Był to koniec
1944 roku. Sytuacja na frontach stała się wy-
rażna, a bardziej przewidujący likwidowali w
GG, szczególnie w jego wschodniej części,
swe interesy i wyjeżdżali na zachód nie chcąc
zetknąć się z „czerwonym niebezpieczeń-
stwem”.

Dalsza rozmowa z dozorcą niewiele wyja-
śniła. Nazwisk lokatorów niemieckich nie
znał. Mimo zajmowania mieszkania nie meldo-
wali się, mając widocznie w tym względzie
instrukcje swych władz. Inni lokatorzy też
niewiele o nich mogli powiedzieć.

I być może nigdy bym nie wyjaśnił zagad-
kowej dla mnie sprawy, gdyby nie inny przy-
padek. Ale aby nadać mu właściwe tło, trzeba
wykonać skok w przyszłość, skok długości...
dziesięciu lat. Tak, dziesięciu lat.

Jest rok 1952, rok podobnie jak i inne in-
tensywnej i radosnej pracy w Polsce w ogóle
a w Warszawie w szczególności. Oczy całej
Polski ujrzały nowe, wielkie osiągnięcia od-
budowy stolicy: Marszałkowska Dzielnica
Mieszkaniowa.

Wielu mieszkańców prowincji pojedynczo
albo gromadnie jechało do Warszawy, aby
ujrzeć i podziwiać architekturę świetnie za-
projektowanych bloków. W liczbie przyjezd-
nych i ja się znalazłam. Stałem na Placu Kon-
stytucji i usiłowałem ogarnąć wzrokiem całą
sylwetkę dzielnicy, gdy raptem uwagę moją
odciągnęła postać stojącego opodal mężczyz-
ny. Było w niej coś znajomego. W ciemnym
ubraniu, w butach, z czarnym kaszkietem na
głowie, spod którego wylaniały się szpako-
wate włosy. Coś mi się zaczęło kojarzyć, przy-
pominać i nagle zaświtało. Aha, ten człowiek
przypomina mi... Postąpiłem naprzód kilka
kroków. W tym momencie nieznanomy odwró-
cił się w moją stronę. Spojrzeliśmy sobie w

oczy. Nie, to nie złudzenie. Nie ma wątpliwości, to on, choć trochę posunął się w latach.

— Klimaszewski! — zawołałem głośno.

Patrzył na mnie chwil kilka bez słowa i nagle jakby ze snu zbudzony zawołał po niemiecku: — Guten Tag, mein Freund! — A potem dodał po polsku: — A to spotkanie, nigdy bym się nie spodziewał, myślę, żeś zachował mnie dobrze w pamięci!

To jego szczerością i bezpośredniością tchnące zawołanie poruszyło jakąś nutkę serdeczności — wyciągnąłem doń rękę. Po wymienieniu uścisków zaproponowałem pójście na kawę.

— Wolę zimne piwo, upał niewąski — odrzekł, jakby usiłując wpaść w ton warszawskiego potocznego języka.

Gdy siedzieliśmy przy stoliku, przeszłość zaczęła się wyłaniać z tego, co opowiadał.

Nazywa się Walter Jenicke i mieszka stale w Berlinie. Był komunistą, czynnie pracującym w ruchu konspiracyjnym. Do Lublina przyjechał jako wybitny specjalista technicz-

ny. Hitlerowcy na szczęście nie mieli w stosunku do niego podejrzeń.

Tak, wtedy odrazu zorientował się w sytuacji. Postanowił pomóc i obronić mnie przed łapanką, dlatego na zapytanie o Klimaszewskiego odpowiedział twierdząco. O żołnierzy goszczących u niego był spokojny. Obaj byli antyhitlerowcami. Hans zginął na froncie, a ten drugi, który wówczas kibicował, Kurt, dostał się do niewoli radzieckiej. Wrócił do domu i pracuje w Berlinie. On sam przyjechał obecnie do Warszawy, którą widzi po raz pierwszy w związku z montażem wielkich maszyn w Domu Słowa Polskiego.

Gdy z kolei, nawiązując do wspomnień, powiedziałem mu, że wówczas u niego byłem uzbrojony i że bliski byłem decyzji strzelania do SS-manów, zawołał żywo: — „Dobrze, że nie doszło do strzelaniny. Inaczej nie pilibyśmy dziś piwa i nie patrzyli na te naprawdę piękne domy!”

Wacław Gralewski

ADOLF SOWIŃSKI

S K A Ł A

(FRAGMENT ZE WSTĘPU DO OPOWIEŚCI)

Strofo, coś była taktem, nie wędzidłem
poecie, który Beniowskiego dzieje
powrócił życiu pod twoim prawidłem,
opowiedz książki z dzieciństwa koleje,
czytanej w ziołach pod nawisłym skrzydłem
skały. W tyrolskich górach ledwo dnieje
i jak nade dniem w takich stronach bywa,
zielen jest czarna, a reszta gór siwa.

W tyrolskich górach są lasy w dolinie
z wnętrza swej czerni tchnące teraz lodem,
Rzeka w nie wpada, droga ich nie minie,
człowiek przejść musi, wąż lubi mknąć spodem,
a za nim zbójca. Szeroko tu słynie,
zbój Jerzy Hartmann. Pod jego przewodem
garstka straceńców napada klasztor,
szturmuje zamki, by znów zapaść w bory.

Białe mundury ma wojsko cesarza
Austrii. Zbój Hartmann wypowiedział wojnę
białym mundurom. Odtąd strach poraża
kolumny w marszu przez ciemne i znojne
wąwozy, odtąd każdy załom stwarza
niebezpieczeństwo, odtąd niespokojne
spojrzenia toczą po górach żołdacy,
gdy pędzą chłopów z górskich wsi do pracy.

Zbój Jerzy Hartmann swych bogactw nie liczy,
ani nie chowa w grotach pod korcami.
Szaty, i złoto, i chleb ze zdobyczy
sypie góralom pełnymi garściami.
Na but opata klątwą żmija syczy,
gdy drwał ją spłoszy nogą, a czasami
góralskie dzieci bawią się w potyczki
o safianowe, księżęce trzewiczki.

W tyrolskich górach zamek się wynurza
jak cień ciemniejszy od najgłębszych cieni,
chmura przechodzi w głaz, a głaz w przedmurza
oślizgłych lochów, gdzie gniją stłoczeni
ludzie Hartmanna. W głuszach u podnóża
szczytu Hochkönig, gdy zorza się mieni,
wpadli w zasadzkę. Pod ciężarem stropu
skute gnąc ciała, czekają na topór.

Że sen nade dniem przemaga zazwyczaj
tych, co czuwają, więc na blankach strażę
głucho posnęły. Wtedy z pogranicza
lasów i turni, kryjąc broń w oparze
nie tak wysokim, by piana zwodnicza
zdołała schować i barki i twarze,
zbójcy na zamek pędzą niezdojdy,
niższy od szczytów, groźniejszy niż szczyty.

Zygzakiem szczelin stromo szli po murze,
jakby się pięli śladem błyskawicy,
a gdy stanęli na blankach, na górze,
bez jęku marli w ich garści strażnicy.
Wtem z wieży zagrzemiał róg i zaraz duże.
światło zabłysło, z najwyższej strzelnicy,
bo tam ostatni strażnik pozostawał,
a ten się przecknął i alarm podawał.

Sen prysnął z zamku, zagrały wierzeje
pchniętych od wewnątrz furt, na pół odziani
sypią się knechci, duch w nich już wątłeje,
nim za broń chwycą, głos im głuchnie w krtani
przy słowie: „Hartmann!” Tymczasem nadzieje
zyskują tamci w lochach połamani,
bo taki łoskot spod skał się wyrzywa,
jakby pękały w kajdanach ogniwa.

Z blanków runęła zwarta salwa na dół
w głęboką studnię dziedzińca. Dym lata
tam, gdzie się pierwsi knechci trupem kładą.
Dziesiąta salwa do furt knechtów zmiata
albo w zaułki murów, gdzie twarz bladą
zwykł chować podstęp. I nagle armata,
wtoczona po coś za próg arsenału,
wyciąga lufę, celuje pomału.

Celuje w blanki. Szuka paszczą smoka
już strzelających teraz w tyralierze
— wyżej i niżej — zbójców, aż z wysoka
nieruchomieje, cel ostatni bierze.
W ogniu i huku wspięła się opoka,
jakby wstrząsała z siebie mury, wieże,
lecz tylko słońce, co już wzeszło nisko,
przez wyrwę w blankach czerwono zabłysło.

Niejeden zbójca legł tam poszarpany,
ale już inni — a Hartmann na czele —
spadli w dziedziniec. Jak gliniane dzbany
brzmia czaszki knechtów, gdy ich kolba ściele
ciosem na ziemię lub tłucze o ściany.
Zbój Hartmann wszędzie przewodniczy w dziele.
Każe podsypać wielkie garście prochu,
aby roztopić drzwi strzegące lochu.

Na jego rozkaz jeden zbójca z młotem,
drugi z płonącą pochodnią już zbiega
w głąb kazamatów czarnych, gdzie wnet potem
szczęk rozkuwanych kajdan się rozlega.
Krzyki, stąpania. Wywiedli istotę,
w której wzrok ludzki z trudnością dostrzega
kształt człowieczeństwa: postać w pół złamana
kołaczę głową o kości w kolanach.

Był to sędziwy ojciec herszta, z hali,
gdzie kóz pilnował, porwany w odwecie
synowi. Inni, w pół oskorupiali
w krew skrzepłą z błotem, szkielet po szkielecie
o własnych siłach z jamy wypelzali,
więc zaraz któryś, rad z walki na świecie,
chwytą i dusi, gdy go gniew podbechta,
ratującego się ucieczką knechta.

Walka dogasa, lecz pożar wybucha.
Najwyższa baszta — olbrzymie wrzeczono —
zda się wirować w ogniu. Tam bez ducha
skrył się kasztelan przed nieposkromioną
zemstą Hartmanna. Drży już belka sucha
pod jego stopą, odrzwia suche płoną,
łomot zwiastuje, że się coś zapada,
grzebiąc wśród zgliszczy cesarskiego gada.

W tyrolskich górach dym wirem się wspina
z pustego zamku. Czadem czuć i smołą
po okolicznych lasach, gdzie drużyna
zbójców zapada. Nim wstało znów ziolo.
przygięte butem na ścieżce, nim cyna
z dymiącym jadem dźwięknęła wesoło,
góralskiej nędzy od hali do hali
zbójcy bogate łupy rozესlali.

Adolf Sowiński

MARIA SZCZEPOWSKA

W A L K A T R W A

Pagórki powstałe z gruzów spalonych chat
pokryły stada ciemnozielonych pokrzyw o brą-
zowych łodygach i płowym kwiecie. Zielska te
pasły się próchnicą z gnijących belek, wgry-
zały w ziemię mocnymi jak szpagat korzeniami.

Poczwarne jak cielska jaszczurów, obłe,
podługowate okopy i wyrwy pozarastały
w krwawniki, osty, piołuny. Gdzieniedzie
strzelała w górę gromnica dziewanny okryta

żółtymi niby płomyki świec kwiatkami. Ślaz
otwierał swoje okrągłe, różowe pyszczki, a cza-
sem w tym zbitym, żalrocznym gąszczu błysnęł
nagle mak. Ale nie ten mak łagodnego mako-
wego koloru — ten o barwie krwi.

Zielska i chwasty gryzły się o lepsze z dzi-
ko rozrosłymi krzewami. Bez narastał wzgó-
rzami nieprzebitego gąszczu, olchy i leszczy-
ny wyciągały ostatnie soki spod korzeni szla-

chetnych drzew owocowych, które ginęły w opłotach dzikiego wina i chmielu.

Gdzieniegdzie sterczał kikut murowanego domu, którego nie dogryził ogień, ani nie rozniosły pociski.

Na polach mietlica, lebioda i perz.

Ziemi tej, w okolicach Uhnowa, Bełzca i Lubyczy Królewskiej, nie spustoszyła wojna. Okupacja, a nawet działania wojenne nie przyniosły jednej czwartej tych zniszczeń, jakich w ciągu kilku miesięcy dokonał wróg wewnętrzny. Bandy ukraińskie, bulbowcy, UPA wycinały ludność w pień, mordowały dzieci, puszczały z ogniem wsie, grasowali eneszetowcy, włoczyły się watahy opryszków różnego kalibru.

Władza ludowa dostała puściznę iście hitlerowską — dzikie pola. Ugory twarde jak kamień, wzgórza łopianów i pokrzywy rosnące na rumowiskach, które świadczyły o tym, że tu kiedyś były osiedla ludzkie.

Na niezaludnionych prawie obszarach liczących nieraz ponad dziesięć tysięcy hektarów postanowiono wybudować twierdzę socjalizmu — państwowe gospodarstwo rolne.

Ktoś, kto nie ma młotka, gwoździa, cegieł ani drzewa a mimo to chce postawić dom — jest w trudnej sytuacji.

W tak samo trudnej sytuacji był młody PGR Machnów, gdy zaczął się organizować. Ci, co w samych początkach przystąpili do pracy, znaleźli tu ogromne szmaty leżącej odłogiem ziemi i ludzi o silnej wierze w to, że forma PGR jest najsluszniejszą formą gospodarki rolnej. Właściwie jeszcze nie tak. Nie wszyscy ludzie, którzy przyszli tu do pracy, wierzyli.

Do PGR w Machnowie, od razu, w początkach jego istnienia licznie napływali chłopci. Byli to właściciele morgowych, nieraz i półmorgowych gospodarstw z przeludnionych, najbiedniejszych dzielnic: z biłgorajskiego, kraśnickiego, rzeszowskiego. Byli wśród nich i tacy, którzy zrosli się z partią w jednej walce o sprawiedliwość społeczną, byli i tacy, którzy za diabłem w ogień by poszli, byle odzegnać upiora głodu, co jednakowo za czasów sanacji czy okupacji hitlerowskiej z każdym przednówkiem kołatał do drzwi. Właśnie ci sami, co z Polski przedwrześniowej odpłynęliby do Ameryki, teraz szli kolonizować rodzime dzikie pola. Ten chłop przedsiębiorczy a nieufny, sto razy oszukany, a mimo to cią-

gle szukający lepszego, szedł do PGR, bo i tak nie miał nic do stracenia.

Kto by wierzył w to, że Polska będzie robotnicza i chłopska! Ho! Ho! Znali się na pięknych słowach, ale mimo to szli, bo z jednego hektara, zwłaszcza jeżeli jeszcze piaski, ze skóry wyłaż, a z rodziną nie wyżyjesz.

Razem z nimi, a może trochę później przyszedł czternastoletni, piegowaty smarkacz Władek Białowolski — sierota. Rodzice zginęli w czasie okupacji, więc był u ciotki, tylko że jak synowie ciotki wrócili z wojska, to on już nie był potrzebny. Przyszedł do PGR — przyjęli. Dlaczego nie mieli przyjąć? Ręk do pracy trzeba — będzie krowy paść.

Władek paść krowy. Nie bardzo mu to szło i zootechnik nieraz się wściekał, że krowy głodne wracają do obory, to jest właściwie obory jeszcze wtedy nie było — tylko szopa. Brygadzysta też mu nieraz coś powiedział i dojarki od siebie niejedno dodały, a mimo to wszyscy go lubili. Leniem na pewno nie był, tylko tak jakoś pasanie krów nie szło mu składnie. Z czasem okazało się, że Władek potrafi pracować, ale o tym później.

Tymczasem w ogóle było ciężko.

Ludzi do pracy napłynęła gromada, ale na tych płachtach ugorów, które rozciągały się tysiącami hektarów, gromada okazała się garstką. Z mieszkaniem było gorzej niż źle. Gnieździli się po namiotach, po byle jak skleconych barakach, które zaciekały w czasie deszczu, po chatkach poukraińskich czort wie jak budowanych, z paleniskiem tylko i kominem, a bez pieca i płyty. Pola ogromne, ludzi mało, maszyn rolniczych brak, ot, takie gospodarstwo bez gwoździa i młotka.

Mimo to powoli, z trudem, a wrastał przecież PGR w dusze ludzi i w ziemię Machnowa, Deniski, Wólki Wierzbickiej i innych gospodarstw. Nie zostawiono PGR-u samopas. Nadchodziła pomoc.

Przyjechała na stalowych koniach pykających dymem brygada traktorzystów z Lublina. Wesole to było bractwo, pyskate i zawadiackie, naszpikowane wiadomościami, widać świeżo po kursie.

Między sobą kłócili się jak tam jakieś Mutterki dokręcać, motor zapalać i tak dalej, skrzynki z kluczami i klapczkami zamykali na kłódkę, bo wiadomo, że narzędzia przed najlepszym kolegą lepiej chować. A na zebra-

niu, kiedy zabrali głos, to jakby jeden z drugim z gazety czytał.

— Zbliża się akcja siewna. Do walki o jej sprawne przeprowadzenie muszą stanąć wszyscy, nikogo nie może zabraknąć. Ani jedna pięćdziesiątka ziemi nie może leżeć odłogiem, wszystko musimy zaorać i obsiać.

Wtedy wstał jeden z gospodarzy i powiedział:

— Wam to się łatwo mówi: wszystko zaorać i obsiać. Myśmy się tu już dobrze obrobili. A wiecie, ile tego wszystkiego jest: 10.000 hektarów! — po czym usiadł, bo ile razy pomyślał, jaki to szmat ziemi, to mu się w głowie kręciło.

— Phi! tylko tyle — odpowiedzieli.

Wiadomo — zielone to i niedowarzone. Co oni mieli: tych szesnaście traktorów no i prawda — nie więcej niż po dwadzieścia lat na głowę.

Było tak, jak powiedzieli. Wiosną 1948 roku wszystkie pola zostały zaorane i obsiane. Gorzej za to przedstawiała się sprawa ze żniwami. Brakowało i ludzi i maszyn. Napływali jeszcze wprawdzie chłopcy, ale wielu z nich, kiedy zobaczyło, że nie ma gdzie mieszkać, odchodziło z powrotem.

Z roku 1948 na 1949 ciężką zimą przeżył Machnów. Na horyzoncie przejaśniło się dopiero pod wiosnę 1949 roku. Ożywiła się linia kolejowa Bełżec — Uhnów. Transport z materiałami budowlanymi walił za transportem. Wyładowywano cegły, drzewo budulcowe, żelazo, cement i wapno. Ludzie z okolicznych wiosek, a także specjalne brygady robotników, bo miejscowych nie wystarczało, dobrze zarabiali na rozładunku.

Wreszcie w maju czy czerwcu 1949 roku przyjechał do Machnowa tato Kowalski z całym pułkiem inżynierów, techników, brygadzystów, murarzy i robotników.

Tacie Kowalskiemu i jego zespołowi należy się specjalny rozdział w dziejach Machnowa.

58 budynków mieszkalnych, tyleż gospodarczych, 4 wielkie obory i 3 mniejsze stajnie pobudowano w ciągu niespełna półtora roku. Ci, co z nim pracowali, opowiadają dzisiaj, że ani w Świdniku, ani w FSC nie widzieli już więcej tak przedsiębiorczego łamania trudności, tak świetnej organizacji pracy, takiego rozmachu i tempa.

Chłopcy pracujący w PGR-ze aż gęby rozdziewiali ze zdziwienia. Zdarzało się, że gdy

rano wychodzili w pole, na gładkim placu kilkudziesięciu ludzi kręciło się z łopatami, gdy wracali z roboty, w tym samym miejscu, gdzie rano trawa rosła, stał świeży, czerwony mur wysokości człowieka. Domy rosły na wierzchołku płaskiego, machnowskiego wzgórza dosłownie jak grzyby po deszczu. Czerwone domki typu polskiego, o wysokich spadzistych dachach pokrytych wesołą dachówką, naprawdę trochę przypominały jędrne rydzyki. Wyłaziły spod ziemi jeden obok drugiego w przepisowej odległości, regulowanej przez przepisy budowlane o prawidłowej urbanistyce zespołu PGR.

Z daleka ślicznie to wyglądało. Nawet kiedy z Ministerstwa Rolnictwa przyjechał inspektor na kontrolę budowy, nie mógł się nachwalić. Pogoda była wtedy pierwszorzędna, stołówka funkcjonowała sprawnie, rzeczka blisko, ptactwa moc, robotnicy jak na plaży, rozebrani do pasa, opaleni na brąz.

— Ech, to wy tu macie wczasy! Nie to co w zakurzonej Warszawie — powiedział inspektor.

— Aha! wczasy! — mruknął inżynier Kowalski.

Świeże powietrze przestało smakować, jak zaczęły się deszcze. Ci, którzy budowali wspaniałe domy dla wsi polskiej, domy, jakie odkąd ta ziemia ziemią nie były jeszcze nigdy przeznaczone dla chłopca czy robotnika, gnieździł się w zatłoczonych barakach, w przeciekających namiotach. Spali wszyscy pokotem, jeden obok drugiego na pryczach z desek, równym pokładem ciągnących się wzdłuż całego baraku. Grunt rozjeżdżony na budowie, rozmiękły w czasie deszczu stawał się nie do przebycia. Na rozmokłych, gliniastych drogach traktory i ciągniki grzęzły, tak że ledwo im było widać kominki.

Tej olbrzymiej budowie rosnącej w piorunującym tempie wszystkiego ciągle było mało: ludzi, środków transportu, materiałów. Gdy przychodziła do Uhnowa cegła czy cement, tato Kowalski chodził po całym Machnowie.

— No, chłopcy. Transport przyszedł. Trzeba rozładować!

Murarze odrywali się od swojej roboty, blacharze od swojej i wszystko szło na rozładunek, byle na stacji nie przetrzymać wagonów, byle wykorzystać chwilę, gdy jeszcze można było zwieźć materiał ciężarówką lub traktorem. Deszcz nie deszcz przy roz-

ładunku nikogo nie brakowało: inżynierowie, technicy, szoferzy rozładowywali cegły aż miło. Każda chwila czasu była droga, każdy moment należało wykorzystać. Zresztą tak tata Kowalski sobie życzył.

Inżynier Zbigniew Kowalski cieszył się ogromnym poważaniem, co nie przeszkadzało, że mało kto nazywał go inżynierem. Przeważnie mówiło się — tata.

Naprawdę był jak ojciec. Kiedy stołówka nawalała, wystarczyło, żeby tata Kowalski rozstawił kierownictwo po kątach, a na drugi dzień wszystko się poprawiało. Zresztą na stołówkę w ogóle nie można było narzekać, wyżywienie było bardzo dobre. Kiedy ktoś opuszczał się w pracy, inżynier potrafił go zbesztać od ostatnich, na budowie dojrzał każdą krzywo położoną cegłę, zmęczonego robotnika odsyłał do domu, a na jego miejsce miał zawsze nowego, tak by robota nie stała, zasypiającego nad kierownicą szofera potrafił sam zastąpić, wiedział, jakie materiały są na budowie, jakie na bazie, a jakie trzeba sprowadzić. Słowem inżynier Kowalski posiadał te wszystkie cechy, które wodzom zjednują miłość żołnierzy, a kierownikom budów — miłość robotników; dbał o ludzi jak o własne dzieci, był sprawiedliwy, energiczny, znał się na robocie i umiał sobie zorganizować pracę. A że do tego wszystkiego miał jeszcze dobry humor i lubił pozartować, więc przepadano za nim.

Deszcz lał, ziemia rozkisała jak ciasto w dzieży. Przyjechał znów inspektor z Ministerstwa. Tym razem nie mówił już o wczasach. Elegancki Buick zagrzął w błocie, tak że go traktorem ledwie wyciągnęli. Pan inspektor zdjął zamazane kamasze i nylonowe skarpetki, spodnie podkasał do kolan i dobrnął jakoś do kolejki wąskotorowej, która pykając flegmatycznie wozila cement z Bełżca do Machnowa. Niebo wisiało pochmurne, ale ani jedna kropla deszczu nie spadła tego dnia na ziemię. Dał za to rozhukany wiatr jesienny. Pan inspektor przyjechał popielaty od cementu. Wiele było z tego powodu radości na budowie, bo robotnik nie lubi, gdy ktoś lekceważy jego pracę.

Praca szła dalej w tym samym zwariowanym tempie.

Dzieniewscy, ojciec Jan z synem Kazimierzem, wyciągnęli na tynkach 400% normy. To

ci sami Dzieniewscy, co później pracowali razem z zięciem Jana — Stecem przy budowie Fabryki Samochodów Ciężarowych, ci sami, co do dziś dnia na Czwartym Zarządzie Budowy FSC utrzymują zaszczytne miano przodowników pracy.

Chojnowscy z krakowskiego, także ojciec z synem, nie bardzo dawali się wyprzedzić, grupa rzeszowskich robotników z Frysztaka, pow. Jasło przy betonowaniu stropów dochodziła do 500% normy.

Mimo trzydziestu stopni mrozu robotnicy kryli dachówką dachy. Taki zapał, taka wydajność pracy może istnieć tylko w ustroju socjalistycznym, który zapewnia klasie pracującej dobre warunki egzystencji i pełne prawa człowieka.

Osobną kartę trzeba poświęcić pracownikom transportu. Diabeł by tam nie doszedł, gdzie dojeżdżał szofer swoim Starem, albo traktorzysta Ursusem. Mimo niekończących się sporów o wyższości zawodu szofera nad zawodem traktorzysty lub odwrotnie, pokumali się traktorzyści z szoferami. Razem też jeździli po cegłę, cement i wapno do Uhnowa czy Bełżca, choć jak to mówią, żółw jeleniowi nie towarzyszy. Razem rozładowywali nadchodzące transporty, razem ładowali cały ten materiał na ciężarówki i przyczepy, razem wyładowywali w Machnowie.

Spali po trzy, cztery godziny dziennie, a czasem i wcale nie, śpiewali piosenki, klęli i pili wódkę, jak się nadarzyła okazja, ale z powodu transportu nigdy nie było przestoju.

Taki był Lucjan Marczak, Ryszard Łuczak i wielu, wielu innych, których nazwiska można by jeszcze dziś odgrzebać, ale za parę lat może je pokryć fala czasu.

Inżynier Zbigniew Kowalski nie dokończył budowy, odwołano go do Warszawy.

W sierpniu 1950 roku młody inżynier Roman Żywar zdał PGR-owi 58 budynków mieszkalnych, 58 gospodarczych, 4 obory i 3 stajnie:

* * *

Skończył się jeden etap rozwoju — budownictwo, zaczął się następny — zagospodarowanie ziemi, kształtowanie psychiki socjalistycznego człowieka pracy.

Opuszczam cały ten okres wytężonej pracy i ciągłych szamotań, okres montowania stałych brygad robotniczych, poszukiwania fa-

chowców, uzupełniania inwentarza żywego i martwego, ściągania maszyn rolniczych, których wciąż było mało. Opuszczam, by z perspektywy czasu lepiej ocenić wyniki pracy jednego etapu.

Latem 1953 roku jesteśmy znów w Machnowie.

Może ktoś sobie przypomni piegowatego smarkacza — Władka Białowolskiego, który swego czasu pasł krowy w PGR-ze. Dziś zważywszy na jego lat siedemnaście i wysoką funkcję gospodarza świetlicy w żadnym wypadku nie można by go już nazwać smarkaczem. Nawet piegi ma trochę mniejsze, tylko oczy po dawnemu poczciwie patrzą na świat, ale teraz już trochę weselej.

Instruktor kulturalno - oświatowy Kazimierz Krymer odkrył, że chłopak trochę rysuje, czyta książki i chętnie bierze udział w przedstawieniach amatorskiego zespołu teatralnego. Awansowano więc Władka z pastucha na gospodarza świetlicy. Zły pastuch okazał się dobrym materiałem na pracownika kulturalno - oświatowego. Biega po tej świetlicy od rana do wieczora wesoło brzęcząc kluczami, wypożycza książki z biblioteki, wydaje warcaby robotnikom, którzy po pracy przychodzą tu na partyjkę, wyświetla filmy i robi takie plansze i dekoracje, jakich nie powstydziliby się nie jeden dom kultury.

Teraz Władek Białowolski pracuje z zapałem, bo znalazł robotę, która nie tylko zapewnia mu utrzymanie, ale odpowiada jego zdolnościom i zamiłowaniom. To, że świetlica w Machnowie dobrze prosperuje, to, że stała się ogniskiem życia kulturalnego, promieniującym na okolicę, oczywiście nie jest zasługą Władka. Jest to rezultat pracy kierownika kulturalno - oświatowego Kazimierza Krymera i całego aktywu świetlicowego. Wśród aktywu świetlicowego wyróżnia się jeszcze wiele osób, a między innymi, Jugosłowianin z pochodzenia, Alojzy Welencyk, instruktor zespołu tanecznego i orkiestralnego, a przy tym zootechnik PGR-u.

Ten przemiły człowiek w okularach, o zabawnej, cudzoziemskiej wymowie jest jednocześnie doskonałym gospodarzem. Dzięki niemu obora Machnowa licząca 200 krów dojnych i 300 sztuk opasowego bydła rogatego stoi na jednym z pierwszych miejsc w powiecie tomaszowskim. Właściwie nie tylko dzięki niemu. W równej chyba mierze jest to zasłu-

gą dojarek, które naprawdę troszczą się o oddane pod ich opiekę krowy. A troszczyć się trzeba, bo krowy czerwonopolskiej rasy nie są jeszcze całkowicie zaaklimatyzowane na gruncie Machnowa.

W ubiegłym roku dotkliwie dawał się czuć brak paszy, w tym roku już tego nie będzie. Na łąkach stoją równe rzędy stogów siana. Prócz tego dołuje się w ziemi zielone kiszonki, które zimą razem z wytlókami buraczanymi i makuchem będą stanowić treściwy pokarm.

Obok pewnych osiągnięć widać w Machnowie i znaczne niedostatki. Stołówka dla pracowników, ta sama, dawniej świetna stołówka, dziś zupełnie źle funkcjonuje. Na całą okolicę słynna jest marmolada machnowska, którą stołówka przez cały rok raczy pracowników na śniadanie. Od trzech miesięcy nie widać było ziemniaków, a chleba nieraz po trzy dni brakowało. Nic dziwnego, że robotnicy sezonowi mimo dobrych zarobków nie chcieli zostać na takim wyżywieniu. Opuścili PGR. A przecież ręk do pracy ciągle w Machnowie jeszcze mało. Wiosenne siewy wykonano za ledwie w 87^o/. W czasie sianokosów pracownik PGR Stanisław Kuna postawił sobie stertę liczącą 35 metrów siana, chociaż na jedną krowę przysługuje tylko 8 metrów, a Kuna w ogóle krowy nie ma. W Żurawcach rzepak zaczęto żąć z trzydniowym opóźnieniem i połowa ziarna się wysypała.

Oto garść faktów, świadczących o tym, że w Machnowie nie dzieje się jeszcze dobrze. Wprawdzie jeżeli porównać dzikie pola, jakie w dziedzictwie powojennym otrzymała władza ludowa, z obecnym gospodarstwem rolnym, musi uderzyć w oczy kolosalna poprawa. Trzeba pochylić czoło przed ogromem pracy, jaki włożono w zagospodarowanie tego kawałka ziemi. Trzeba przyznać, że robotnik rolny ma doskonałe warunki mieszkaniowe, dobre zarobki, wahające się od tysiąca do dwóch tysięcy złotych miesięcznie, że są ludzie, którym PGR umożliwił pełny rozwój zdolności, że są odcinki gospodarstwa, które zdały egzamin, ale niestety jest jeszcze dużo „ale”...

Kiedy popatrzymy na pola Machnowa, obok zabudowań gospodarczych widzimy złote łąny dorodnej pszenicy obrzeżone po skrajach wąziutką wstążeczką czerwonych maków i miodrych bławatków. Pszenica wybujała wysoko

i łodygi jej miękko schylają się pod ciężarem grubych kłosów.

Scieżką pomiędzy polami idziemy w dół w kierunku rzeczki. Żółte pole pszenicy ustępuje plantacji buraków, obok widać ściernisko za późno zżętego rzepaku. W zielone rzędy buraków wgrzają się wysokie badyle lebiody i kolczastych ostów. Chwasty wypłenione ze środkowych pól Machnowa na okopach ciągnących się wzdłuż rzeczki utrzymały dotąd swoje dzikie twierdze. Stąd atakują słabiej strzeżone pola.

Walka trwa.

PGR Machnów jest jednym ze słabszych PGR-ów powiatu tomaszowskiego. Nie wygrał jeszcze całkowicie walki o uprawne pola, o właściwy stosunek człowieka do mienia społecznego, o sprężystą i energiczną organizację pracy. Dużo już zrobiono na odcinku Machnowa, ale nie wszystko i resztę trzeba wykonać jak najszybciej.

Maria Szczepowska

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Z CYKLU „GÓRY I LUDZIE”

WSPINACZKA

Listwa. Nie. Pozór listwy. Powierzasz jej stopę,
nad przepaścią się wczepiasz w chropowatą nyżę;
metr za metrem pod nieba obojętnym stropem,
myląc śmierci pułapki, pniesz się coraz wyżej.

I gdy nad krawędź wzniesiesz głowę swą i tułów,
a śmierć wstydlivy odwrót skryje wśród kamieni,
każdy mozół rąk twoich, każdy trud mięśni
w radość oczu olśnionych nagle się przemieni.

Ten obraz gór na zawsze utrwali się w oku
i myśl twa nieraz z huty pomknie ku tym graniom,
gdy walczyć o socjalizm będziesz i o pokój
ku jasnym szczytom pnąc się nad życia otchłanią.

POCHWAŁA SPORTU WYSOKOGÓRSKIEGO

Tu jest toczydło woli. Tutaj młodość brusi
miecz zuchwalstwa swojego, zaciętości topór,
co na boisku ścian tych przewyciężyć musi
minerałów podstępnych, chociaż martwych, opór.

Najwspanialszy ze wszystkich, bohaterski sporcie,
gdzie w zawody się idzie z śmiercią wszystkokrotną,
kiedy krew dzwoni w uszach i szumi w aorcie,
a palce szpar szukają nad bezdnią zawrotną.

Cóż ze śmiałek niejeden padnie w tym turnieju
(Kościelec i Kościełek... Ostry i Zamarła...),
gdy na szczycie z zachwyty człowiek oniemieje,
a wolny wiatr swą radość wleje mu do gardła.

O potęgo strzelista, wniebowstępne mury!
O pionie symboliczny, niedostępna ściana!
Wyżej, zawsze wciąż wyżej przez życie do góry
z duszą trudów rozkoszą i zwycięstw pijaną.

Kazimierz Andrzej Jaworski

LIST KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO DO REDAKTORA „KAMENY”

(pisany w maju 1939 r.).

Drogi Panie!

Chory jestem i straszliwie zapracowany. Toteż nie zdołam napisać niczego nowego. Może jednak przyda się Panu ten drobiazg. Drukowany był przed 5 laty (zdaje mi się — może nieco wcześniej) w „Warszawskim”. Poza Warszawą „Kurjer W.” jest mało czytany, więc będzie to gdzie indziej nowość. Utwór jest zabawny i „górski”. Pewnie Panu takiego brak. Nie da się — niestety — skrócić. Jest tego 200 wierszy. Można by jeszcze opuścić początek i zacząć od słów „Widząc jak...”

„Widząc jak...”

Utworek ten ukaze się za miesiąc w książce

Bardzo, bardzo Drogiego Pana przepraszam, że tyle tylko najmilszej „Kamienie”. O honorarium nie ma mowy

Z uściskiem Nowe

K. Makuszyński

Drogi Panie!

Chory jestem i straszliwie zapracowany. Toteż nie zdołam napisać niczego nowego. Może jednak przyda się Panu ten drobiazg. Drukowany był przed 5 laty (zdaje mi się — może nieco wcześniej) w „Warszawskim”. Poza Warszawą „Kurjer W.” jest mało czytany, więc będzie to gdzie indziej nowość. Utwór jest zabawny i „górski”. Pewnie Panu takiego brak. Nie da się — niestety — skrócić. Jest tego 200 wierszy. Można by jeszcze opuścić początek i zacząć od słów „Widząc jak...”

Utworek ten ukaze się za miesiąc w książce.

Bardzo, bardzo Drogiego Pana przepraszam, że tyle tylko najmilszej „Kamienie”. O honorarium nie ma mowy.

Z uściskiem dłoni
K. Makuszyński

TADEUSZ BOCHENSKI

KORNEL MAKUSZYŃSKI W ZAKOPANEM

Głośne kiedyś i gorliwie czytane „Listy z Zakopanego” drukował Kornel Makuszyński najpierw jako felietony w prasie, potem ogłosił je razem z listami sopockimi w książce „Moje listy” (rok 1922).

Czy to była pierwsza bytność Makuszyńskiego w Zakopanem i pierwsza na nią reakcja literacka? Długoletni dobry znajomy przyjaciel pisarza, góral i zakopianin, p. Franciszek Pawlica, informuje mnie, że tak. Ale

rozmowa z „Frankiem” Pawlicą — pełna szczegółów i wspaniałej serdeczności znaczy więcej niż wywiad. Dlatego ją przytoczę.

Odwiedziłem p. Franka w „Staszczkówce”, którą kieruje. Bo „Staszczkówka” dziś — to schronisko, noclegi wycieczek, mnóstwo spraw.

— Przychodzę do pana — rzekłem — po wiadomości o Makuszyńskim.

Odpowiedź zaczyna się błyskiem serca. Pawlica mówi:

— Makuszyński! Człowiek słoneczny! Kochany! Strasznie mi go żal.

— I mnie go żal, panie Franku. Tak nieoczekiwanie zmarł, że trudno się z faktem oswoić. Przecież go niedawno widział na Krupówkach i właśnie pogodnego, uśmiechniętego! Pozdrowił mię, jak zwykle, ruchem ręki i okrzykiem „Serwus, drogi Tadzium”:

Siadamy, pytam:

— Znał pan Kornela od lat?

— Od lat. U nas mieszkał. W „Oazie”.

— Więc niech mi pan powie: wtedy, gdy dowcipne „Listy z Zakopanego” pisał, był w Zakopanem po raz pierwszy?

— Po raz pierwszy.

— W Tatrach chodził?

— Chodził. Każdego roku. Bo przyjeżdżał owymi czasami tylko na lato. Najpierw ze Lwowa, potem z Warszawy.

— Sam w góry ruszał? Z przewodnikiem?

— Chyba z przewodnikiem. Ze Staszkiem Byrcynem, jeśli się nie mylę. Były to raczej krótkie wycieczki w towarzystwie. Na noc przeważnie wracał do Zakopanego... Opowiadał przeżycia wspaniałe. Entuzjastycznie. Tatrę naprawdę pokochał. W naszej „Oazie” — zazwyczaj po kolacji — tak się niekiedy rozgadał, że to już nie było dzielenie się wrażeniami, ale powieści. Świetne powieści słowne, improwizacje. Słuchaliśmy godzinami. Mówił o Tatrach, ale kojarzył z tym wspomnienia inne. Włochy, morze. O Wenecji czego nam nie opowiadał.

— A kiedy osiadł w Zakopanem?

— Początkowo przyjeżdżał tu dorywczo. W roku 1945 zamieszkał na stałe w „Opolance” przy ulicy Tetmajera. Obłężenie, potem powstanie przeżył w Warszawie.

— Jakże się urządził na gruncie zakopiańskim? Kiedy to było? Latem?

— Nie. Zimą. Zima trwała sroga, śnieg setny, mróz. A on, biedaczysko, węgla nie miał. Przyszedł — pamiętam — do mnie i mówi: „Słuchaj, Franku (bo byliśmy na ty), dajże mi trochę węgla, bo umarznę”. I zabrał węgiel furką z „Oazy”. Widzę Kornela, mam go tu w oczach, jak się zrazu trapi, a później tym zdobytym węglem cieszy.

Zapytałem, czy był członkiem Związku Górali.

— Długo przed wojną nadał mu zarząd Związku tytuł członka honorowego. Jeździłem wtedy z delegacją do Warszawy i doręczyliśmy mu w jego mieszkaniu dyplom. Dyplom piękny, artystycznie w stylu podhalańskim wykonany. Sam dyplom i puszka. Taki rulon. Kornel się po swojemu kontentował, wyściskał nas i zaraz, bez chwili namysłu, podarował nam do biblioteki związkowej sto książek. Były to nie tylko książki jego, Kornelowe, ale różne: Sienkiewicza i innych.

— Podobnoście go kiedyś bardzo hucznie w Zakopanem witali. Górale.

— O, było tak, było! Jeszcze przed członkostwem honorowym. Dobrześmy już wtedy wiedzieli, jak on góralom sprzyja, jak dzieci góralskie lubi. Zakopane, Podhale i Tatry. Więc zrodziło się to powitanie żywiołowo. Samo. Bo nie delegacja wyszła witać, ale tłum. Zima właśnie była. Wyjechało na stację kolejową mnóstwo strojnych sanek. Jak na wesele. Byli na koniach „pytacze”, taka gwardia honorowa. Cieszył się Kornel okrutnie! I wieźliśmy go z paradą przez miasto do „Oazy”. Bo i wtedy w „Oazie” zamieszkał.

— Po góralsku gwarzyć umiał?

— Jak umiał! Gwarą naszą mówił znakomicie i chętnie. Na weseliska chodził. Na wieczornicach góralskich moc razy był. Ej, złoty jak słońce Kornel, kochany.

Nie tylko Związek Górali, ale i miasto Zakopane czuło i ceniło życzliwość i gorące przywiązanie Makuszyńskiego do Podhala i Tatr. Grubo przed wojną otrzymał honorowe obywatelstwo Zakopanego. Tekst uchwały brzmiał:

„Oceniając wielkość zasług, które położył dla rozwoju Zakopanego wybitny pisarz polski Pan Kornel Makuszyński, Rada Miejska — w celu wyrażenia Mu swej głębokiej wdzięczności oraz w celu zwią-

zania jego nazwiska z Zakopanem i Tatrami — uchwała nadać Panu Kornelowi Makuszyńskiemu, wielkiemu Miłośnikowi i Przyjacielowi Zakopanego i Tatr, godność honorowego obywatela miasta Zakopanego”.

Ze szkołami, w szczególności z dziećmi i młodzieżą — łączyły Makuszyńskiego węzły chyba najmocniejsze.

Masz, Czytelniku, ostatni rocznik „Kameny” przedwojennej? Jeśli masz, to zobacz! Numer w roczniku końcowy, z kwietnia, maja i czerwca 1939 r., poświęcony górcom. I w numerze opowiadanie samego Makuszyńskiego pt. „Czarnooki opryszek”.

Cała cudacka i rozdokazywana, a przecież tak bardzo ludzka i tak bardzo makuszyńska przygoda Kornela z dziećmi góralskimi. Rozdawnictwo nart. Dlatego właśnie, że ją Kornel — i to w „Kamenie” — sam opisywał, nie będziemy dziś tej części jego życia zakopiańskiego omawiali.

. . .

Sport. Sportowcy Zakopanego pamiętają Kornelowi wiele.

Oto informuje mię znany, wieloletni działacz i opiekun sportu zakopiańskiego, p. Wagner:

— Towarzystwo sportowe „Wisła — Kraków” miało w Zakopanem autonomiczny oddział. Oddział uprawiał narciarstwo.

Makuszyński zdobywał nam szturmem nowych członków. Czując, że jego popularna osoba działa atrakcyjnie, że sprzyja popularyzowaniu się „Wisły” i że „Wisła” nawet bez słów pomóc może w opinii, w duszach społeczeństwa, bywał nie tylko na rozgrywkach, ale i na wszystkich niemal zabawach, które „Wisła” urządzała dla wzmacniania kasy.

— Obdarzyliście go — wtrącam — honorowym członkostwem.

— Czyż mogło być inaczej? Członkiem honorowym „Wisły” zakopiańskiej był od roku 1930 lub 1931. Od roku zaś 1933 honorowym prezesem. Honorowego prezesostwa nie ograniczał do tytułu. Przeciwnie: uczynność jego była wręcz olbrzymia. Wszędzie wejrzeć, jak najwięcej zdziałać — tak brzmiało hasło Makuszyńskiego. I przyjemnie było obserwować, jak nasz prezes honorowy władał sercami publiczności. Kiedy się zbliżał, rosły głosy: „Makuszyński idzie!” Kiedy już siedział między

nami, raz po raz ktoś nowoprzybyły spostrzegł go i objawiał radość: „Jest Makuszyński!”

— Z wojną działalność wasza chyba ustała? — pytam z kolei.

— Ustała. Hitlerowcy wszystkie kluby sportowe rozwiązali, a sprzęt rozgrabili. Kiedy w roku 1945 „Wisła” zmartwychwstała, sprzętu nie mieliśmy wcale. Makuszyński rzucił się w działanie. Wzywał społeczeństwo do składek, zbierał sprzęt i dał nawet pieniądze. Sprzęt zaś zbierał nie samej tylko „Wisły”, lecz także szkołom. Ocalała (i mam ją dotychczas w domu) wierszowana odezwa Makuszyńskiego, bardzo serdeczna i owocna. Pokażę ją panu. Ileż tam pod nią podpisów, ile deklaracji pieniężnych!

I przynosi mi tę odezwę. Wielki oprawiony i oszklony arkusz papieru rysunkowego, na arkuszu zaś wymalowano taki tekst:

TOW. SPORTOWE „WISŁA — ZAKOPANE”

Po pięciu latach okupacji wznowiliśmy działalność sportową na pożytek młodzieży i społeczeństwa, ku chwale Odrodzonej

Ojczyzny.

1945

Odezwa Prezesa Honorowego
Towarzystwa Sportowego „Wisły”
Pana Kornela Makuszyńskiego:

Zacni ludzie! Treściwy pragnę być i ścisły i w dwu słowach zakrzyknąć, o co się rozchodzi. Szeroko grzmiała sława przedwojennej „Wisły”, gdy nartami na śniegu pisali ją młodzi, gdy „Ode do młodości” śpiewali na wietrze, a srebrna gwiazda lśniła na czerwonym swetrze.

Głośnie były, promienne naszej „Wisły” czyny, a nurt jej rwał ze sobą i serca i dusze. Na najwyższe się szczyty pięła po wawrzyny i szalała radośnie w śnieżnej zawierusze. Lecz kiedy krwawa chmura nad Polską zawisła, w głąb ziemi się zapadła nasza droga „Wisła”.

Dziś znowu spod niej jasnym promieniem wybucha, szumna, harda, wspaniała, dzielna i radosna. Z dna serca wygrzebała hart dawnego ducha i cieszy się jak młodość, zakwita jak wiosna, i na śnieżystej karcie w swej przestawnej księdze zaczyna pisać nowy swój hymn o potędze.

Lecz jak Łazarz, co z ciemnej swej wyszedł mogiły, odarta z wszystkich blasków, biedna jest i naga. Jakże nabierze pędu, skąd zaczerpnie siły i czym się karmić będzie młoda jej odwaga? Bo nic jej nie zostało po złej poniewierce, tylko duch nieugięty i niezłomne serce.

Więc wielkim głosem wołam, ja wasz wiślak stary;
„Pomóżmy jej, niech w nową świetność się przystroi.
Nie żałujmy jej dobrej, serdecznej ofiary:
grosza, nart, — co kto może, zacni bracia moi!
Niech się dźwignie, siłami wzmoże się nowymi
jak Anteusz, gdy dotknął się ojczystej ziemi.

Więc w imię tej cudownej, braterskiej wspólnoty,
co umie działać cudy, uczynmy to dla niej,
by dzisiaj rozpoczęła nowy wiek swój złoty,
by w słońcu dokonała się jej zmartwychwstanie.
Czynmy to na gorąco, precz długie namysły, —
a to wszystko na chwałę naszej srebrnej „Wisły”.

Tuż pod sześcioma sekstynami mnóstwo
pomników ofiarności. Nagły poczet „członków
wspierających” i tysiące złotych — powstałej
do działania „Wisła”.

P. Wagner kończy informacje:

— Makuszyński był przewodniczącym Komitetu Uczczenia 30-lecia „Wisły” i otrzymał za te czynności pierwszą odznakę honorową. Makuszyński był najżyczliwszym, najserdeczniejszym patronem „Wisły”. On spowodował, on powodował stale rozwój klubu, on zyskiwał nam członków, zawodników i — zasługa wielkiej wagi — sprzęt. Bez jego pomocy nie byłaby „Wisła” zajmowała przed wojną i po wojnie stanowiska w narciarstwie polskim przodującego.

Szkoły. Wracam do nich, bo to jedna z miłości Kornela. Nie tylko młodzież miłowała jego, ale miłował młodzież i dzieci on.

Lubił szkoły odwiedzać. Lubił do młodzieży mówić, lubił jej osobiście czytać urywki swoich książek. W czasach powojennych bywał w liceum pedagogicznym (w „Maratonie”), w gimnazjum i liceum ogólnokształcącym im. Balzera, w sanatorium dzieci i młodzieży na Bystrem.

Kiedym się po jednej z pogadank swoich, w tym właśnie sanatorium wiosną ostatnią wygłaszanych, wpisywał miłym, umiejącym się pięknie skupiać, a przeważnie ogipsowanym chłopcom i dziewczętom do napływających poprzez łóżka pamiątek, natykałem się na podpisy nieco dawniejsze — Makuszyńskiego. I nie tylko młodzież, lecz także starsi, pielęgniarki, wychowawczynie, nauczycielki — zasykali mnie wspomnieniami: że kochany Makuszyński u nieletnich pacjentów był, że go z ogromną radością witano.

Ale oto fakt inny, też sanatoryjny. Z Rabki. Taka tam wśród dzieciarni namiętna była po-

czytność książek Makuszyńskiego, że musiano wprowadzić losowanie — ono rozstrzygało, komu z kolei przypadną upragnione tomy.

W roku 1947 lub 1948 poproszono Makuszyńskiego — jakże celnie! — o rozdanie nagród harcerskich w szkole „na Wilczniku”. Rozdał.

Sport, młodzież i piękne dopełnienie: wojsko. Poszedł Kornel ze sercem i ze słowem żywym także między żołnierzy. Do sanatorium wojskowego w Kościelisku. Opowiadał mi potem, jak tam było, że dobrze. W jego zaś ustach słowo „dobrze” miało sens osobliwie ciepły i etyczny.

Zakopane to nie tylko podnóże Tatr, nie tylko gniazdo narciarzy, nie tylko stolica góralszczyzny. Zakopane to także miasto lecznic gruzliczych.

Któż nie wie o sanatorium nauczycielskim, kto nie słyszał o „Odrodzeniu”? Ale czy wiecie, że to „Odrodzenie” wiele zawdzięcza Makuszyńskiemu?

W chwili, gdy się Kornel „Odrodzeniem” gorąco zainteresował i gdy zbratany z młodziwą już kierowniczką „Odrodzenia” p. Jelską (zmarła podczas wojny) o rozbudowę szlachetnej instytucji zaczynał właśnie walczyć, istniał jedynie drewniak sanatoryjny „Litwania”.

Ruszyły w polski świat artykuły, ruszyły odezwy Makuszyńskiego. Rozwinięto energiczną zbiórkę pieniędzy. Główną sprężyną była niewątpliwie pani Jelska, ale niemało grosza przysporzył akcji Makuszyński. Gmach, który stanął na wiele lat przed wojną i wspinał się przyćmił macierzystą „Litwanię”, będzie „szturmówką serca”, będzie długo przypominał — Kornela Makuszyńskiego.

Lecz oto leży Makuszyński, snem ujęty żelaznym, na cmentarzu zasłużonych — obok Chałubińskiego, Witkiewicza, Orkana. W swoim Zakopanem.

W tym Zakopanem, które pokochał i do którego się przywiązał, z którym się zrosł i w którym każdy do postaci jego, do uśmiechu, do towarzyskości, dobroci i złotego humoru przywyknął. W Zakopanem, gdzie przed dwudziestoma i sześcioma laty zaślubił Janinę Gluzińską. W Zakopanem, które umiało uczcić swego pisarza, swego obywatela honoro-

wego dostojnym i godnym pogrzebem w dniu 3 sierpnia. Takiej gęstwy żałobników, takiej powagi na twarzach i zaprawdę — łez tyłu w oczach — nie widuje się często. Na serce odpowiedziano sercem.

Zachorował i położył się był do łóżka dnia 1 lipca. Zrazu nie wydawało się, że to choroba śmiertelna. Nie odgadnięto skrzepu.

Dni ostatnie: porażenie, brak przytomności. Lecz u samego końca świadomość wróciła. Umierał najzupełniej przytomny 31 lipca rano.

Zanim umarł, zaszło wzruszające zdarzenie: Nieznany chłopiec zapukał do drzwi mieszkania. Otwarto mu. Spytał, czy może widzieć pana Kornela Makuszyńskiego. Odpowiedziano, że pan Kornel Makuszyński jest ciężko chory i że nikogo nie przyjmuje.

Wtedy chłopiec wy dobył białą różę i poprosił, by ją oddano choremu pisarzowi.

Ta róża spoczęła w trumnie Kornela Makuszyńskiego.

Róża od czytającej młodzieży .

Tadeusz Bocheński

ANATOL FRANCE

przełożyła ANNA JAKUBISZYN

O FRANCISZKU RABELAIS

(W 400-LECIE ŚMIERCI)

(Anatol France, znakomity pisarz-erudyta, żywo interesował się dziełem Franciszka Rabelais i wysoko je cenił. Dowodem tego był m. in. cykl wykładów, wygłoszonych w 1909 r. w Argentynie, wykładów, które złożyły się na interesujące studium. Poniżej zamieszczamy w przekładzie fragment, poświęcony latom studiów Rabelais'go).

Brat Franciszek był nad podziw pilny. Wiemy od niego samego, iż w Ligugé^{*)} pracował w swoim pokoiku w łóżku. Nie była to gnusność, lecz pokój nie był ogrzewany. Ludzie ówczesni dla ochrony przed zimnem mieli tylko zasłony łóżka i okap kominka. Franciszek Rabelais zdobył wiedzę, która zdumiewała najcuźniejszych ludzi jego czasów. Był filozofem, teologiem, matematykiem, prawnikiem, muzykiem, arytmetykiem, geometrą, astronomem, malarzem i poetą. Dorównywał w tym względzie Erazmowi i Budému. Pod jednym zaś względem był unikatem lub przynajmniej okazem nader rzadkim w swym stuleciu: wiedza jego nie była tylko książkowa; dotyczyła natury; nie liter, lecz ducha, nie słów, lecz rzeczy i była to wiedza żywa.

Nic też dziwnego, że pomyślał o studiowaniu medycyny, jako nauki, która najgłębiej wnika w tajemnice życia — tak przynajmniej

można było oczekiwać w wieku wielkich nadziei. Fakultet medycyny w Montpellier był bardzo stary. Przynieśli tam swą naukę Arabowie i Żydzi. Fakultet słynął ze swych profesorów, przywilejów i doktryn. Franciszek Rabelais udał się do Montpellier; lecz nie udał się tam ani prostą, ani najkrótszą drogą. Nie taka była jego metoda. Miał on słabość do pięknych podróży i jak mówił Ulises — długotrwałych tułaczek. Podobnie jak Jan de la Fontaine, który miał naśladować go w tej mierze zarówno jak i w sztuce opowiadania, chętnie chadzał najdłuższą drogą. Przy okazji wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zwiedził miasta i uniwersytety Francji, Paryż, Poitiers, Tuluzę, Bourges, Orlean, Angers. Nakoniec 17 września 1530 r. zapisał się tymi słowami w rejestrze fakultetu medycznego w Montpellier: „Ja, Franciszek Rabelais z Chinon, diecezji tureńskiej, przybyłem tu, by studiować medycynę, i wybrałem sobie na patrona znakomitego mistrza Jana Schryona, doktora i regenta w rzeszonym uniwersytecie. Obiecuję przestrzegać wszelkich statutów pomienionego fakultetu, jakie zwyczajnie przestrzegane bywają przez tych, co po dobrej woli podali swe imię i złożyli przysięgę wedle zwyczaju, com własną ręką podpisał. Siedemnastego dnia września, roku pańskiego 1530”.

Że Franciszek Rabelais odbył znakomite studia medyczne — nie ulega wątpliwości.

^{*)} Miejscowość, w której Rabelais przebywał u jednego z protektorów.

Wiemy, iż zdobył zwłaszcza głęboką wiedzę w dziedzinie anatomii i botaniki. Jego żądza wiedzy i zapal były niepożyte. Lecz nie stronił również od rozrywek. Znalazłszy w Montpellier wesołą kompanię brał żywy udział w zabawach, jakim oddawała się młodzież szkolna. Wiemy od niego samego, iż zabawił się znakomicie grając komedię, a raczej farsę ze swymi współuczniami Antonim Saporta, Witem Bouguier, Baltazarem Noyer, Toletem, Janem Quentin, Franciszkiem Robinet i Janem Perdrier. Była to jedna z owych fars w rodzaju „Pathelina” ,tak miłych ludowi francuskiemu za czasów Ludwika XI, pełnych konceptów i zdrowego komizmu. Rabelais sam podaje jej tytuł: „Moralna komedia o tym, co poślubił niemowę”, i daje nam streszczenie, wystarczające najzupełniej dla poznania akcji. Żona była niemową. Poczciwy jej mąż zapragnął, by mówiła. Kobieta zaczęła mówić dzięki sztuce lekarza i chirurga, którzy podcięli jej wiązadełko. Gdy tylko odzyskała mowę, mówiła tyle, iż udręczony mąż zwrócił się po raz wtóry do lekarzy, prosząc, by zapobiegł tej klęsce i skłonił ją do milczenia.

— Sztuka moja — odrzekł lekarz — daje mi środki, by przywrócić kobiecie mowę. Lecz nie ma środków, by ją odjąć. Jedynym lekarstwem na gadulstwo żony jest głuchota męża.

Biedaczysko mąż zgodził się i na to lekarstwo, skoro nie było innego. Lekarze nie wiadomo jakim czarem uczynili go głuchym. Żona widząc, iż mąż nie słyszy ani słowa i że na próżno doń mówi — wściekła się ze złości, że nie może się z nim dogadać. Lekarz zażądał zapłaty. Mąż odrzekł, iż nie słyszy. Lekarz posypał go proszkiem, od którego mąż oszalał. Oszalały mąż i rozwścieczona żona zgodnie zbili lekarza i chirurga, którzy na pół żywi pozostali na placu boju. Tak kończy się komedia. Rabelais mówi, iż nigdy się nie uśmieł jak na tej patelinadzie. Nie ma się co dziwić. Rabelais miał słabość do fars, a ta jest wymienita. I, co nie mogło nie podobać się humaniście, odnajdujemy w niej Terencjusza. Zakończenie wzięte zostało z przepysznej farsy o Pathelinie. Molier w swym „Lekarzu mimowoli” zaczerpnął obficie z analizy, danej przez Rabelais. Ileż znamienitych epok teatru w tej szkolarskiej rozrywce!

Do przyjemności, jakich zażywał Rabelais w czasie studiów medycznych, zaliczyć trzeba

przechadzki na Îles d'Or, które zwano wówczas Stoechadami, a które my nazywamy Îles d'Hyères. Kąpią się one w błękitnym morzu, spowite kwieciami pomarańczowym, winoroślą, pinią, palmami i oleandrami. Rabelais tak upodobał sobie owe wyspy, iż później mienił się tamtejszym kalughierem^{*)}, co jest tytułem religijnym w użyciu u chrześcijan wschodniego obrządku.

Promowany na bakałarza Rabelais wygłosił zgodnie z obyczajem wykład publiczny, komentując *Aforyzmy Hipokratesa* oraz *Ars Parva Galena*, i opuścił fakultet nie uzyskawszy doktoratu. Rabelais nie umiał długo zagrzewać miejsca.

Kusił go Lyon. Miasto to, bardziej jeszcze niż Paryż, było miastem drukarzy. Uczni plynęli tam, pewni, iż uzyskają pracę i stosunki. Rabelais udał się tam z początkiem 1532 roku. Od listopada tegoż samego roku pełnił funkcję lekarza w szpitalu miejskim w zamian za opłatę czterdziestu liwrow rocznie.

Widzimy, jak w medycynie dzieli się między dwie doktryny: autorytet starożytnych, który był wówczas przemożny (przysięgano na Hipokratesa) i studium natury, ku któremu skłaniał się nieustannie duchem. Dokonywał sekcji, co było praktyką potępioną przez Kościół i osądzoną przez obyczaje; uczeni nie zwykli byli się jej oddawać. Andrzej Valsalius, nazbyt młody, nie rozpoczął jeszcze polowania na trupy pod szubienicami i na cmentarzach. Rabelais w szpitalu w Lyonie dokonał publicznej sekcji wisielca. Étienne Dolet, który wyrobił już sobie imię wśród humanistów, sławił ów fakt jako niezwykły i godny pochwały w przemowie wierszem łacińskim, którą odważnie włożył w usta skazańca. Kazał mu mówić: „Zduszony fatalnym węzłem zwiśnię nędznie na szubienicy: O niespodziana fortuno, o którą ledwo śmiałybym błagać wielkiego Jupitera. Oto zwracają się na mnie wejścia licznego zgromadzenia; otom krajany przez najmędrszego z lekarzy, który sprawi, iż w machinie ciała mego podziwiać będą nieporównany ład, szczytne piękno struktury ciała ludzkiego, najcelniejsze dzieło Stwórcy!... Tłum spoziera w skupieniu... Jakiż nieporównany zaszczyt, jakiż nadmiar chwały! I pomy-

^{*)} Linde podaje ten wyraz jako nazwę mnicha w dialekcie dalmackim i ragusańskim.

śleć, iż stać się miałem igraszką wichrów, pa-
stwą kłębiących się żarłocznych kruków! Ach!
Los może znęcać się teraz nade mną! Opty-
wam w chwałę!”

Rabelais przyjaźnił się z Étienne Dolet, młodszym od siebie o cztery lata; w trakcie swych prac zaobserwował małą rybkę, w której jak mu się zdawało rozpoznał garum, rodzaj serdeli, których starożytni używali do nader poszukiwanej przyprawy. Po wielu próbach doszedł do radosnego wniosku, iż odtworzył formułę starożytnego preparatu i ujawszy go łacińskim wierszem posłał Doletowi wraz z słoikiem garum. Patrzymy z podziwem, jak encyklopedyczne zainteresowania humanistów rozciągały się na łacińską gastronomię i zabytki starożytnej kuchni. Zacni uczeni, co z piórem w rękę uczestniczyli w ucztach Lukullusa, w rzeczywistości zaś raczyli się skromnie w traktierni kiszka i półłokciem kaszanki! Na dobytek przeważnie musieli zadowolnić się śledziem...

W Lyonie Franciszek Rabelais dzielił się między szpital a sklep Sebastiana Gryfa. Erudycja walczyła o niego z medycyną. Erudycja wzięła górę, przynajmniej na razie. Rabelais bez zwolnienia opuścił szpital, gdzie za karę wyznaczono natychmiast zastępcę. Wówczas to, by utrzymać się, zaczyna płodzić książki, które sprzedawano w sklepie przy ulicy Norymberskiej, gdzie jako wywieszka widniał gryf. Gryf ten był godłem Sebastiana Gryfa, drukarza i księgarza, który w 1524 przybył z Szwabii do Lyonu, a w cztery lata później zasłynął tekstami greckimi i łacińskimi, które wychodziły spod jego prasy. Rabelais wydał u Sebastiana Gryfa w 1532 roku *Epistola e Medicinales Manardi*, dedykowane sędziemu Tiraqueau oraz *Aforyzmy Hipokrata* z listem do biskupa Geoffroy d'Estissac. Nie zapomniał dni spędzonych w Fontenoy-Le-Comte i Ligugé. Pisarz nasz uważał za obowiązek wypuszczenie tego wydania *Aforyzmów*, chociaż było już kilka innych, posiadał bowiem piękny rękopis tego dzieła, z licznymi glosami. Czerpał z nich z większym zapalem niż krytycyzmem i nie wahał się wyjaśniać rzeczy, które same przez się były dostatecznie jasne. Jeśli wierzyć Janowi Plattard, tęgiemu znawcy tych spraw, Franciszek miał się jeszcze niejednego nauczyć w dziedzinie erudy-

cji, by zająć miejsce wśród wielkich humanistów swej epoki.

Równocześnie wydał z listem wstępnym na wpół greckim, na wpół łacińskim do obrońcy kobiet Aymeryego Boucharda, który został tymczasem rajcą królewskim i „maitre de requête” — dwa rzymskie dokumenty prawne, testament Luciusa Cuspidiusa oraz pewien kontrakt sprzedażny. Na początek Franciszkowi nie poszczęściło się. Obie rzeczy były fałszywe, bardzo fałszywe, najzupełniej fałszywe. Testament Cuspidiusa był sporządzony w poprzednim stuleciu przez Pompeiusa Lacusta, zaś kontrakt sprzedażny był dziełem Jovianusa Pontanusa, który uczynił zeń prolog do komicznego dialogu pod tytułem *Actius*. W jaki sposób tak rozsądny człowiek mógł strzelić takiego bąka? Kochał starożytność; miłość zaślepiła, zapał zaś szkodzi krytycyzmowi. Wiedzę naszą o starożytności zawdzięczamy wielkim ludziom Odrodzenia. Nie zwracajmy przeciw nim tego, czego nas nauczyli. A skoro współcześni Rabelais'go nie zdają się nazbyt powszechnie przeczyć autentyczności owych dwóch dokumentów, nie wyrzucajmy wydawcy nazbyt ostro błędu, który epoka jego zaledwie dostrzegła. Jeśli wreszcie wielki tureńczyk był nazbyt ufny wobec rodaków Poggia, nie wpadajmy w drugą ostateczność i nie przypisujmy Poggiowi dzieł Tacyta.

Humanisci tworzyli w XVI wieku jakoby światowe państwo, republikę sztuk i nauk. Określenie pochodzi z epoki. A staruszek Erazm z Rotterdamu był księciem tej republiki ducha. Rabelais, który niegdyś pragnął gorąco listu od znamienitego Wilhelma Budé, gorliwie wyzyskał sposobność, jaka nastąpiła się w 1532 roku w Lyonie — nawiązania korespondencji z wielkim Erazmem. Pewien prałat, przyjaciel sztuk i nauk, jakich było wówczas wielu, Jerzy d'Armagnac, biskup Rodez, z którym Rabelais zawarł znajomość, polecił mu przekazać Eramowi egzemplarz dzieł Flawiusza Józefa. Rabelais dołączył do przesyłki list po łacinie do wielkiego człowieka, który dokonywał wówczas w Bazylei pracowitego i chlubnego żywota. Z powodów, które — o ile wiem — nie zostały dotychczas wyjaśnione, list nosi w nagłówku nieznanie imię Bernarda de Salignac, lecz nie ulega wątpliwości, iż adresatem był Dezyderiusz Erazm.

Oto w dosłownym przekładzie najciekawszy fragment listu:

„Skwapliwie jałem się tej sposobności, pater humanissime, by wyjawić ci w dziękczynnym hołdzie głęboki mój szacunek i miłość synowską dla ciebie. Ojcze, rzekłem? Mieniłbym cię matką, gdyby dobroć twoja na to zezwoliła. Jako matki bowiem, które żywią owoc żywota swego, zanim go ujrzą, zanim wiedzą, czym będzie, które troskają się oń i osłaniają przed srogością niepogody, tak tyś dla mnie uczynił, dla mnie, którego oblicze było ci nieznane i którego marne imię nie mogło zjednać twej łaskawości. Tyś mnie wypiąstował: tyś mnie nakarmił przeczystą piersią swej boskiej wiedzy; wszystko, co wiem, wszystko, com wart, tobiem jednemu winien. Gdybym nie głosił tego wszem wobec, byłbym najostatniejszym z niewdzięczników. Raz jeszcze ślę ci pozdrowienia, ojcze ukochany, chlubno ojczyzny, podpora sztuk i nauk, niewyciężony szermierzu prawdy”.

List ów wyraża pod szumnymi słowami, właściwymi wówczas sztuce epistolarnej, uczucia bardzo szczerze i bardzo prawdziwe. Rabelais przykładał się do pism Erazma; czytał zwłaszcza nie raz *A p o f t o g e m y* i *A d a g i a*; i częstokroć pisząc powtarzał ten czy ów wyjątek z tych dwu dzieł. Czynił to tym chętniej, iż naśladowanie było wówczas rzeczą chlubną, a popisywanie się lekturami — godną pochwały.

Dopełniając prac z dziedziny erudycji, które przynosiły mu zaszczyt wśród humanistów, Rabelais od czasu do czasu poświęcał parę godzin dziełom innego rodzaju, pogardzanym przez uczonych, które jednak dziś uważamy za nader godne uwagi. Układał przepowiednie i almanachy w języku ludowym dla ogółu czytelników i wkładał tam znacznie więcej z siebie niż do uczonych publikacji. Nie szczędził tam konceptów i rubasznych facecji, a także maksym wzniosłej mądrości. Przepowiednie jego były to drwiny i przycinki pod adresem astrologów i jasnowidzów. Wyszy-

dzał w nich autorów horoskopów i dawał doskonałe powody swej niewiary względem nich: „Największe to szaleństwo w świecie — mówił — myśleć, jakoby były gwiazdy dla królów, papieży i wielkich panów łacniej niżli dla biedaków i mizeraków, jakoby od czasów potopu lubo Romulusa i Faramonda nowe gwiazdy tworzone były przy tworzeniu nowych królów”.

W roku 1532 Rabelais wypełnił zadanie jeszcze skromniejsze, które jednakże doprowadzić go miało do najosobliwszej, najprzedziwniejszej, najniezwykłej książki świata. Opierając się na ludowym motywie napisał historyjkę dla zabawienia nieuczonych i prostaczków, historyjkę o olbrzymach „Wielkie i nieoszacowane kroniki Gargantuy”. Ów Gargantua nie był postacią wymyśloną przez Rabelais. Sława jego ginęła w pomroce czasów; popularność jego wielka była szczególnie na wsi: po wszystkich dzielnicach Francji wieśniacy opowiadali sobie o niewiarogodnych wyczynach jego siły i cudach apetytu. W tysiącnych miejscach pokazywano olbrzymie głazy, odłamy skał, które przeniósł, wzgórze, pagórek, które wypadły mu z kosa. Opowieść Rabelais'go „Wielkie i nieoszacowane kroniki” jest zlepkiem popularnych i od dawna znanych facecji. Zaniósł ją nie do uczonej drukarni Gryfa, lecz do księgarza lugańskiego, imieniem Franciszek Juste, który sprzedał więcej egzemplarzy „Gargantui” w ciągu miesiąca niż Biblii w ciągu dziewięciu lat.

Jak się to stało, iż wkrótce potem Rabelais stworzył o tym samym Gargantui i synu jego Pantagruelu najdziwniejszą, najucieszniejszą, najniezwykłą powieść, dzieło niepodobne do żadnego innego i które porównać można chyba tylko do *Satyriconu* Petroniusza, *Gran Tacano* Francisca de Quevedy, *Don Kichota* Cervantesa, *Gulivera* Swifta i powiastek Woltera?

przełożyła Anna Jakubiszyn

TADEUSZ KLAK
(*Koło Młodych*)

KARTKA ZE ŻNIW

Zbóż dojrzałość przelewa się przez murawę miedzy
I wrze już kołysząc się w ukłonach obłokom
W takt przygrywki koników polnych i polnych gotębi.

Patrzysz —

wiatraki żniwiarek żeglują trajkocząc
I torują gościniec szeroki przez pole.
(Trzeba szybciej zboże na chleby przerobić,
tutaj przyjdzie traktor — czołg pokoju).

Ludzie w pocie schylają się po powróseł końce —
Snopy żyta na rękach jak dziecię kołyszą;
Słońca promień się kładzie na słomę —
Jak powróstem wiążcie snopy — słońcem!

Tadeusz Klak

WOJCIECH KIEŁCZEWSKI
(*Koło Młodych*)

GOŁĄBEK

Gołąbek mały,
bezbronny, biały —
jak głowa matki mojej,
jasny — jak zorza,
nic go nie zmoże —
żywego symbolu pokoju.

Patrzą nań dzieci:
nad dachem leci,
pod chmury wdzięcznie się wzbija,
potem opada,
na rynku siada,
gruchając wodę pije.

To jego siła
ludzi karmiła
przez dziewięć lat odbudowy,
z jego pomocą
we dnie i w nocie
powstawał kraj nasz nowy.

Wojciech Kiełczewski

ALINA RYBICKA

CZYN FESTIWALOWY

(Z ŻYCIA KOŁA MŁODYCH)

— Więc co będzie z waszym czynem festiwalowym? — pyta opiekunka naszego lubelskiego Koła Młodych.

Podjęliśmy dwa zobowiązania: przygotować program literacki na wieczornicę organizowaną przez ZSCH w którejs z przodujących wsi

oraz dostarczyć własne prace do dodatku „Kultura i Życie” przy „Sztandarze Ludu”. Prace nasze miały zapełnić jedną kolumnę pod jakąś wspólną nazwą „Kolumna młodych”, czy coś w tym rodzaju. Napisałyśmy. Przedyskutowaliśmy na zebraniach. Poprawiliśmy co

było do poprawienia. Przepisywaliśmy go-
rączkowo na maszynie. Cieszył nas niewielki
stos maszynopisów — nasz festiwalowy czyn.
Ostatecznie lubelskie Koło Młodych ma nie-
najlepszą opinię. Wlecze się gdzieś tam w
ogonie. A jakim dopingiem do dalszej pracy
jest własny wydrukowany utwór, mocny Bo-
że, o tym wie chyba tylko ten, co taką emo-
cję przeżył!

A w redakcji „Sztandaru” powiedziano nam
nagle: nie. Nie wydrukujemy!

— Dlaczego? — rzuciliśmy się na kolegę,
który referował nam swoją wizytę w „Sztan-
darze” w sprawie naszej kolumny.

— Pytacie dlaczego, więc powtórzę wam
dosłownie: mój felieton nie idzie, bo jest o lu-
belskim teatrze, a redaktorka dodatku ma
właśnie zamiar zamówić u kogoś artykuł na
ten temat. Reportaż kol. Rybickiej z puław-
skiego Domu Kultury nie pójdzie, bo atmo-
sfera jest „taka jakaś”, wiersz kol. Falatyc-
kiego... a wiersz kol. Steszuka mogą wydru-
kować, ale tylko dwie zwrotki.

— Co? Przecież to bez sensu! Jak można
urywać w połowie zdania a resztę wyrzucić.
Przecież nikt nie zrozumie tego wiersza.

Zmartwienie nasze było tym większe, że w
grę wchodził kol. Steszuk. Mamy z nim dość
dziwną historię: przed rokiem złożył swoje
utwory z prośbą o przyjęcie do Koła. Był
wówczas robotnikiem w FSC. Koło w tym
czasie znajdowało się trochę w rozsypce.
Straciliśmy z nim kontakt. Z chwilą, kiedy
praca u nas ruszyła, postanowiliśmy za wszel-
ką cenę odnaleźć Steszuka. W FSC powie-
dziano nam, że już nie pracuje. Gdzie jest te-
raz — nie wiedzą.

Zbierając materiały do „Kolumny” wygrze-
baliśmy jakiś wiersz Steszuka — adres na
Chełm:

„...W moim miasteczku, cichym Chełmie,
Kominy fabryk podpierają niebo...”

Postanowiliśmy go dać. Dokonaliśmy kilku
drobnych poprawek: zwymyśla nas. — Żeby
zwymyślać, musi się odezwać. Marzyliśmy: na
pewno czyta prasę codzienną, zwłaszcza w
niedzielę. Otwiera dodatek... Wiersz. Jego.
Skąd? Dziwi się. Cieszy. Pisze do redakcji. Re-
dakcja przekazuje nam list.

Albo inaczej: Steszuk zmęczony (na pewno
gdzieś pracuje), przed wyjściem do domu,
podchodzi do kolegi, który zajmuje się kol-

portażem prasy na terenie fabryki. Z daleka
już woła do niego grupa kolegów:

— Steszuk! Ty piszesz wiersze? Patrz, o tu!
Wiersz. Jego. Skąd? itd. jak wyżej.

I nagle okazało się, że nasze marzenia... Bo
jak? Głowę przylepić do nóg? Któż pojmie ta-
kiego potworka !

— A co z wieczornicą?

— ZSCh zrezygnowało z niej. Organizują
teraz wycieczki chłopów z Lubelszczyzny do
szczecińskich spółdzielni produkcyjnych. Nie
mają czasu.

Drugie nasze zobowiązanie leży. Program
gotowy: część stanowią nasze utwory, część
ze współczesnej literatury, zwłaszcza satyry
polskiej. Jest także bojowy „Korespondent
wiejski” Majakowskiego.

I dlatego pada pytanie:

— Więc co będzie z naszym czynem festi-
walowym?

— Wiesz, Teresa, mamy poważne trudności
w Kole Młodych z realizacją naszych czynów
festiwalowych.

Turkocze ulica za oknem. Upał rozchyła
pąki róż i doprowadza do brzęczącej pasji mu-
chę zaplątaną w gęstej sieci firanki. Teresa
Czyżowna jest przewodniczącą Koła ZMP
Nr 1 przy MRN. Opowiadam jej o wieczorni-
cy, która się nie odbędzie, o „Kolumnie Młó-
dych”, która się nie ukáže.

— Więc macie materiały przygotowane na
wieczornicę na wsi. A może pojechalibyście
z tym programem na „naszą wieś”?

— Czy pojechalibyśmy?

„Nasza wieś”, to znaczy Borkowizna koło
Bychawy. Tam właśnie powstało koło ZMP.
Bardzo słabiutki noworodek. Jak dotarli do
Borkowizny nasi zetempowcy — tego nie
wiem, bo to było jeszcze nie za moich cza-
sów. Wiem tylko z opowiadań, że na począt-
ku, poza kilkoma członkami tamtejszego ko-
ła, nie witał ich nikt. Dosłownie nikt. Chłopi
zamykali się w chałupach, wieś była jak wy-
marła. Wiatr tylko szumiał w zaroślach na
zboczach wąwozów i chude wiejskie koty
wyrzewały się na wysokich progach. Rozru-
szać taką wieś ociężałą w zacofaniu było nie-
zmiernie trudno, ale młodzież z miasta wraz
z młodzieżą wsi potrafiła jednak dotrzeć do
starszych. Zainteresowanie dorosłych nie zaw-

sze było życzliwe. Cechowała je nieufność pomieszana często z lekką niechęcią. Obecnie sytuacja poprawiła się o tyle, że chłopcy nie zamykają się już w chałupach. Porozmawiają, czasem poczęstują mlekiem, nieraz nawet przyjdą na niedzielną imprezę.

Nasi zetempowcy, jeżdżąc do nich w każdą niedzielę, przywożą ze sobą sportowców, zespoły artystyczne itp. Pomagają w pracy organizacyjnej, zdobywają nowych członków. Pracują nad wielkim dziełem: stworzeniem w Borkowiznie spółdzielni produkcyjnej.

— Tereniu, to może i moje dzieci pojechałyby. To też byłby ich „czyn festiwalowy”.

— Które „twoje dzieci”?

— Chcesz tak „pleno titulo”, no więc dziecięcy aktyw czytelniczy z Biblioteki im. H. Łopacińskiego, filia Nr 1 przy ul..... recytują jak zadaną lekcję, a wszystko fruwa we mnie z radości.

Ranek niedzielny jest słoneczny, chłodny i pełen niepokoju. Idę szybko pustymi o tej porze ulicami. Z daleka już, w perspektywie ulicy, widzę Janusza Terakowskiego — pierwszy z „młodych literatów”. Stawił się punktualnie.

— A reszta?

„Reszta”, tzn. kol. Kapusta, biegnie właśnie Lipową.

Słońce wędruje ulicą i zmienia cienie drzew na szarej kostce jezdni. Gdzież te dzieci?

Są, są. Wybiegają zza rogu. Granatowe

spódniczki, białe bluzki, czerwone, harcerskie chusty...

Jedziemy. Wiatr bije w twarz. Dookoła płynie piękna, podlubelska okolica. Samochód kiwa się niemiłosiernie na jakichś fantastycznych wybojach bocznej drogi. Dojeżdżamy.

— Jak tu ślicznie!

— O! Patrzcie! Młyn! — krzyczą dziewczynki.

— O! Patrzcie! Krowa ogonem ruszyła! — przedrzeźniają koledy.

Witamy zetempowców z Borkowizny. Lokujemy się w świetlicy. Impreza ma się odbyć na tzw. „boisku”.

Ostatnie przygotowania. Szybko mija czas.

— Gdzie moja korona?

— Chłopcy, nie ruszajcie fortepianu!

— Baśka, gdzie moja chustka?

Przez okno zagląдают wiejskie dzieci. Za przyjaźnimy się potem, po przedstawieniu.

No już. Zaczynamy.

Cała piątka maszeruje na środek boiska. Wiatr podwiewa czerwone chusty. Piątka sprawnie obraca się do publiczności, która obsiadła wzniesienie dookoła boiska. Pięć par stremowanych oczu patrzy na mnie. Uśmiecham się uspokajająco. Podchwytują uśmiech. Lekki ruch głową. Już! Zaczynajcie!

...Hej od miasta do wioski,

hej droga nas prowadzi.

Witajcie kochani, witajcie kochani

i bądźcie nam tu radzi...”

Alina Rybicka

ZJAZD NAUKOWY STOWARZYSZENIA HISTORYKÓW SZTUKI

W dniach od 15 do 18 września 1953 r. odbył się na terenie Lubelszczyzny Zjazd Naukowy zorganizowany przez Stowarzyszenie Historyków Sztuki, poświęcony problematyce renesansu lubelskiego i połączony z objazdem terenu.

Już ogólnopolska konferencja naukowa w sprawie badań nad sztuką, która odbyła się w Krakowie w grudniu 1950 r., wysunęła potrzebę wydobycia narodowego dziedzictwa artystycznego epoki renesansu.

W roku 1951 Państwowy Instytut Sztuki zorganizował konferencję terenową połączoną z objazdem zabytków Kielecczyzny.

Rok 1952, w którym obchodziliśmy 500-lecie urodzin największego mistrza renesansu Leonarda da Vinci, nasycony był konferencjami i wystawami, które przyspieszyły znacznie wiedzę o sztuce Odrodzenia w Polsce. W Muzeum Narodowym w Poznaniu zorganizowano

wielką wystawę malarstwa doby renesansu, a w Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto wystawę polskich Leonardianów. W lipcu tegoż roku odbyła się w Kielcach konferencja naukowa poświęcona problematyce renesansu, z udziałem wszystkich ośrodków historii sztuki; wytyczono sobie zakres i kierunek badań nad sztuką, podkreślając potrzebę wydobycia nurtu rodzimego w renesansie i jego wartości dla rozwoju współczesnej sztuki monumentalnej.

Wrześniowy zjazd roku bieżącego miał za zadanie zapoznanie uczestników konferencji z najwybitniejszymi zabytkami epoki Odrodzenia na terenie Lubelszczyzny i przedyskutowanie w szeregu referatów zagadnienia wpływu sztuki regionu na kształtowanie się jej ogólnonarodowego oblicza.

Pierwszy dzień obrad rozpoczął się zwiedzaniem zabytków Kazimierza Dolnego i Gołębia oraz Opola

i Końskowoli. W kościele parafialnym w Gołębiu zwrócono uwagę na współzależność dekoracji rzeźbiarskiej detali architektonicznych z dekoracją występującą w kamienicy pod św. Krzysztofem w Kazimierzu i kamienicą Sobieskich w Lublinie. W Końskowoli, w kościółku pw. św. Anny obejrzano ciekawy renesansowy ołtarz wypełniony rodzimymi malowidłami sygnowanymi datą i nazwiskiem malarza cechowego, Polaka — Stanisława Szczerbica (1618).

W drugim dniu, w Lublinie, w sali posiedzeń Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, odbyło się oficjalne otwarcie Zjazdu z udziałem przedstawicieli władz, partii politycznych i organizacji kulturalnych. Programowy referat wygłosił prof. dr Wł. Tomkiewicz, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Referent starał się sprecyzować odpowiedzi na pytania: czy można mówić o specyfice renesansu lubelskiego i jaką rolę odegrał Lublin w dziejach naszej sztuki renesansowej? Specyfikę terenu widzi on w typie budowli sakralnej pierwszej połowy wieku XVII, a w szczególności w odrębnym wyrazie dekoracji rzeźbiarskich w architekturze. W rzeźbie nagrobnej dopatruje się specyficznej dla Lublina właściwości w nagrobku mieszczańskim ze zmarłym w postaci kłęczącej.

W godzinach wieczornych, po dalszym zwiedzaniu Lublina wygłoszone zostały referaty: dr M. Szymański: „Renesansowe portale w Stężycy i ich związek z dekoracją naproży wawelskich”, prof. dr B. Guerquina „Zagadnienie obronnych rezydencji feudalnych początku wieku XVII” oraz dr Z. Świechowskiego „O kościołach kodeńskich”.

Szczególnie interesujący był referat prof. Guerquina, który temat swój omówił na przykładzie dwóch zamków Lubelszczyzny — Krupego i Czemiernik. Niezmiernie ciekawe były dwa zupełnie nieznanne rysunki pałacu w Czemiernikach, wykonane przez Ceglińskiego przed przebudową pałacu w połowie XIX wieku.

Trzeci dzień obrad rozpoczęło zwiedzeniem ruin zamku Samuela Zborowskiego w Krupem. Następnie obejrzano kościół parafialny w Uchaniach, podziwiając jego charakterystyczną bryłę, doskonałą dekorację stiukową wnętrza i bogate renesansowe nagrobki.

Po przybyciu do Zamościa kontynuowano obrady w sali zebrań Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Wygłosili referaty: mgr I. Iskrzycka „Wytyczne do organizacji działu historycznego Muzeum w Zamościu”, mgr inż. A. Klimek — „Konserwatorskie problemy architektury Zamościa”, dr J. Miłobędzki — „Szesnastowieczna urbanistyka Zamościa” oraz prof. dr M. Morełowski — „Grafika Tomasza Makowskiego a Tempesta i Leonardo da Vinci”.

Uczestnicy ożywionej dyskusji zgodnie poparli postulat wyrażony w pierwszym referacie a dotyczący powiększenia liczby sal wystawowych w muzeum w Zamościu.

Wniosek mgr inż. Klimka o rekonstruowanie attyk kamienic rynku głównego wzbudził wątpliwości z powodu braku dostatecznych materiałów ikonograficznych. Natomiast prof. B. Guerquin uważał za istotniejszą potrzebę konserwatorską miasta jak najszybszą odbudowę urządzeń obronnych: murów wałów, fos.

Interesujące były wywody dr Miłobędzkiego dotyczące pierwotnego oblicza miasta. Wnioski dotyczące pierwotnego wyglądu ratusza, zabudowy rynku i głównych kierunków komunikacyjnych wzbudziły żywe zainteresowanie.

Na zakończenie trzeciego dnia obrad prof. Tomkiewicz odczytał rezolucję, która wpłynęła do Prezydium Zjazdu. Treścią jej był apel o podjęcie pracy naukowo-badawczej nad renesansem lubelskim, w szczególności przez historyków sztuki naszego regionu.

W następnym dniu obrad obejrzano zabytki Zamościa oraz wysłuchano i przedyskutowano w Kolegiacie zamojskiej referat dr J. Białostockiego „Obrazy Tintoretta w zbiorach Zamojskich”. Referent postawił jako kwestię otwartą sprawę autorstwa czterech obrazów z życia św. Tomasza, wiszących na ścianach prezbiterium.

W drodze powrotnej do Warszawy uczestnicy zjazdu zwiedzili renesansowy pałac Firlejów w Czemiernikach oraz obejrżeli ciekawy podwójny nagrobek Mniszchów w kościele parafialnym w Radzynie Podlaskim.

Zjazd naukowy, chociaż nie dał ostatecznej odpowiedzi na pytanie, jaką była rola Lubelszczyzny w rozwoju sztuki polskiej doby renesansu, dzięki objazdowi terenu włączył szereg zabytków regionu do ogólnopolskich rozważań nad tym tematem.

Henryk Gawarecki

RECENZJE

„JESZCZE POLSKA” *)

Spośród książek odznaczonych tegoroczną nagrodą literacką na jedno z czołowych miejsc wysuwa się utwór Stanisława Zielińskiego pt. „Jeszcze Polska”. Jest to powieść interesująca, o własnym odrębnym klimacie i szerokim, epickim rozmachu. Autor przedstawia nam w swojej książce rzeczywistość polską w pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy z chaosu zaczęło się wyłaniać nowe życie.

*) St. Zieliński „Jeszcze Polska”, Czytelnik, Warszawa, 1953.

W jednej chwili wyrosły przed narodem tak ważne, tak palące problemy, jakich nie notują dzieje. By sprostać tym wielkim zadaniom i dobrze wypełnić obowiązki, Rząd Ludowy musiał zmobilizować wszystkich ludzi dobrej woli bez względu na przynależność polityczną czy pochodzenie. Wielkie dzieło odbudowy mógł stworzyć tylko naród jednolity i pełen płomiennego patriotyzmu.

Nie wszyscy jednak zrozumieli swój obowiązek, nie wszyscy też zrozumieli wielkość i całą „osobliwość” chwili. Dlatego niejednym z Polaków zamiast pójść pro-

stą drogą, wiodącą do ojczyzny, tkwił w negacji, roz-
siewając niewiarę i defetyzm. A źródłem tego stosun-
ku, źródłem zgorzknienia stały się reakcyjne koła
emigracji, wyczekujące za granicą wybuchu nowej
wojny, konfliktu, który pozwoliłby zbankrutowanym po-
litykom zrobić błyskotliwą karierę.

Bohaterami powieści Stanisława Zielińskiego pt.
„Jeszcze Polska” są właśnie tacy gracze, ciemne typy,
wykolejenci i przedstawiciele obcych agentur. Emigra-
cyjni politycy, frymarzczący ziemią praojców nad Odrą
i Nysą, ludzie bez czci i honoru, żyjący w zaduchu
zdrady i intryg. Jad ten przesiąka do kraju, i wtedy,
gdy gen. Jedlicki walczy z bandami, gdy młody, dziel-
ny Andrzej rwie się do wojska, by bić niemieckich
faszystów, gdy chłop Jaskółka razem z innymi buduje
nowe życie wsi polskiej, a robotnicy w pocie czoła
wznoszą mury spalonej stolicy, w luksusowych pod-
warszawskich willach kryją się podli geszefciarze, han-
dlarze żyjący z szabru, brudnych transakcji i szpiegost-
wa.

Stanisław Zieliński z talentem i z ogromną pasją od-
słania przed oczami czytelnika to bagno skrajnej pod-
łości. Spod pióra autora powstaje kłębowisko upiórów
ginącej przeszłości, kanaliz bez wstydu i sumienia, dla
których pieniądź jest jedynym i ostatecznym celem.
To jakby makabryczna parada zbirów, łotrów spod
ciemnej gwiazdy, handlarzy przemycanej pszenicy i na-
rodowych świętości. A rejestr ten jest bardzo pokaź-
ny: Ceresikowie, Lipowicze, Szopiscy, Dahomejscy,
Szulawka, Kusiak itp.

Większa część powieści pt. „Jeszcze Polska” ma cha-
rakter doskonałej groteski. Ludzie i zdarzenia jak gdy-
by się odbijają w krzywym zwierciadle. Charaktery
i wypadki są tak zdeformowane i przerysowane, jakby
wyszły spod ręki zręcznego karykaturzysty. Takie po-
dejsie do tworzenia literackiego kryje w sobie pew-
nego rodzaju niebezpieczeństwo. Książka St. Zielińskie-
go jest niejednolita. Rozdziały o zacięciu groteskowo-

satyrycznym graniczą z partiami powieści podanymi
„na serio”, wnosząc stały dysonans. Zaraz obok boha-
terskiej walki gen. Jedlickiego, śmierci i poświęcenia
dla sprawy, napotykamy taką scenę: „syn bez muzyki
nie może, mówiła gospodyni do pani Szopiskiej, daw-
niej grywał na skrzypcach, ale teraz ojciec mu zabro-
nił. Flet bardziej pasuje do dzisiejszych czasów. Adam,
pokaż pani instrument! Już gdzieś poleciał! Pewnie
przepatruje nuty. Trochę łobuz, jak każdy artysta. Po-
czuje w nim pani bratnią duszę. Flet dostał od pana
Kuby”... Moment przyjęcia u Ceresików jest świetny.
Kipi szczerym humorem, bawi swoją groteskową dra-
pieżnością, ale w zestawieniu z następnymi partiami
powieści, zawodzi.

Akcja powieści St. Zielińskiego nie jest specjalnie
bogata, chociaż autor nie unika łatwej sensacji. Kon-
strukcję książki rozsadza nadmiar wątków. Czytelnik
musi bardzo uważnie śledzić rozwój fabuły, by nie zgubi-
ć się w tym chaosie. Jest to raczej wielka parada
charakterów, groteskowy pokaz ludzkich kukielek na tle
epopei dzisiejszej rzeczywistości. Dlatego „Jeszcze Pol-
ska” nie należy do książek łatwych, komunikatywnych.
Trzeba bowiem pewnego znawstwa, by poznać jej war-
tość i jej specyficzny smak.

Podnosząc zalety książki St. Zielińskiego należy jed-
nocześnie podkreślić, że jest to powieść na ogół smut-
na, cierpka. Za wiele w niej bowiem zła, podłości,
kłamstwa i zdrady, a za mało światła i wielkości dzi-
siejszych czasów. Wrażenie to jest tak silne, że nie po-
mogą nawet takie przeblęsy, jak epizod z gen. Jedlic-
kim, dzieje rodziny Coków, historia chłopca Jaskółki.
Trzeba przyznać, że typy ujemne udały się autorowi
najlepiej.

Wkrótce ukaże się dalszy tom tego cyklu pt. „Mi-
nimum strategiczne”. Może tam właśnie znajdziemy ca-
ły patos i romantyzm epoki wielkiej odbudowy.

J. N. Kłosowski

„PAPIEŻ I BUNTOWNIK” *)

Jana Wiktora znaliśmy dotąd jako pisarza wsi, au-
tora „Wierzb nad Sekwaną” i „Orki na ugorze”, ksią-
żek, w których najmocniej i najpełniej zabrzmiał głos
krzywdy chłopskiej w czasach sanacyjnego ucisku, w la-
tach głodu i faszystowskiej przemocy. Toteż najnow-
sza jego powieść pt. „Papież i buntownik” jest dla nas
pewnego rodzaju niespodzianką, tak ze względu na te-
mat, jak i na nowe środki wyrazu, jakimi operuje
pisarz.

Akcja „Papieża i buntownika” rozgrywa się podczas
soboru w Konstancji, który powołano dla „odrodzenia
kościola” szarpanego wewnętrznymi walkami i schiz-
mą. Na soborze tym mieli zmierzyć się z sobą dwaj
najwięksi potentaci ówczesnego świata: papież Jan XXIII
i cesarz Zygmunt Luksemburski. Pod pretekstem dobra
chrześcijaństwa i dźwignięcia puścizny Piotrowej rozgo-
rzała zaciekle, barbarzyńska i nie przebiegająca w środ-
kach walka o władzę. Papieża tak charakteryzuje autor:

„przewijały się przed nim rozliczne postacie w spelun-
kach i pałacach. Rozpościerały się łądy, które on
z braćmi swymi przebiegał w poszukiwaniu bogactw.
Jako korsarz, pirat napadający na okręty, jako opry-
szek na czele dobranej gromady dawał się we znaki
karawanom kupieckim i łupił, ile tylko można było.
Przez miecz, przez truciznę, przekupstwo odbył uciążli-
wą drogę do stolicy apostolskiej”. Nie lepiej wygląda
też przeciwnik papieża, Zygmunt Luksemburski: zły,
okrutny, chytry, pyszny i krwiożerczy, żądny wyuzda-
nych uciech i złota.

Ale głównym bohaterem „Papieża i buntownika” jest
syn plebsu, arcybiskup Mikołaj Trąba, stojący na czele
delegacji polskiej wysłanej przez króla Władysława
Jagiełłę na sobór w Konstancji, gdzie ma zapaść wy-
rok w sporze Polski z Krzyżactwem, niedawno rozgro-
mionym pod Grunwaldem. Arcybiskup, mając przy sobie
świątłego Pawła Włodkowica, czyni wszystko, by uzy-
skać sprawiedliwość, by znaleźć zrozumienie w Waty-
kanie, ale batalia ta kończy się klęską. Polacy odjeżd-
żają z niczym, nie znalazłszy poparcia, ni zrozumie-

*) Jan Wiktor „Papież i buntownik”, P.I.W., Warsza-
wa, 1953.

nia dla polskiej racji stanu. I cóż z tego, że głos delegacji z nad Wisły rozbrzmiewał donośnie i szeroko, że zebrani na soborze podziwiali mądrość Pawła z Włódkowic i bogactwa arcybiskupa Mikołaja Trąby, kiedy w rezultacie Polska poniosła klęskę? Samolubność Watykanu, frymarczącego godnością ludzką i religią, zadecydowała o sprawie. Z bólem i goryczą powraca delegacja króla Władysława Jagiełły z Konstancji.

Tylko jeden Grajek, syn pańszczyźnianego chłopca, jadący razem z delegacją, wierzy, że „odgłosy zwycięskich cepów rozbiegną się daleko na najdalsze krańce skrzywdzonej ziemi i rozlegną się tak donośnie, aż pobudzą wszystkich uciemżonych, spragnionych wolności. Z łun stosów zrodzi się zorza zwiastująca świt”. A z nim jest Jan z Radomyśla, Jakub z Chwałowic i Paweł, chluba Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lecz sobór w Konstancji jest w „Papieżu i buntowniku” tylko tłem, na którym rozgrywają się wypadki, rysują wielkie i ważne problemy. Śwąd stosu, na którym spłonął Jan Hus, rozchodzi się daleko po całej Europie, po całym ówczesnym świecie, budząc bunt i pragnienie wolności w duszach wielu milionów poddanych, w sercach tych, co giną w czeluściach strasznych więzień, w lochach lub pod batem bezlitosnego pana. Wstrząsające wrażenie sprawia obraz chłopca w dybach, konającego z męki i pragnienia. To żywy trup w łachmanach, straszny głos krzywdy uciemżonego ludu, ludu przykutego do roli i skazanego na powolne konanie. „Jarzmo wrosło w ciało. Powrozy werżnęły się do krwi. Na zawsze. Ino śmierć sprawiedliwa dla każdego. Ona jedna nie wie, co to król, co to pacholek”.

Symbolem i żywym ucieleśnieniem krzywdy chłopskiej w powieści Jana Wiktora jest Pietrek, grajek przybłąda. Patrząc na kaźń ojca, poprzysiął zemstę. Podsyca w sercach ludzkich zarzewie buntu, budzi nienawiść do ciemiężców oraz chęć ostatecznego porachunku. A głosu jego słucha Jakub z Chwałowic, Jan z Radomyśla, a nawet sam arcybiskup Mikołaj Trąba, w którego duszy zakiełkowała gorycz. Często przychodzą im na myśl czasy, kiedy to lud siermiężny piersiami swymi odpierał krzyżacką nawałę, by już nazajutrz ginąć w pańskich dybach.

Głównym zagadnieniem „Papieża i buntownika” jest odwieczna walka polskiej racji stanu z machinacjami Watykanu. Jan Wiktor wydobyl spod pyłu historii jeden z mniej znanych momentów, rozprawę z Krzyżactwem na soborze w Konstancji.

Klęska Polski pogrzebała ostatecznie owoc wiekopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem. Nie pomogły dowody zbrodni Zakonu, nie przekonał papieża jęk morderowanych chrześcijan ani krew niewinnych. Zwyciężyli oprawcy i krzywdziciele, deptąc podstawowe prawa ludzkie i zasady wypływające z Ewangelii. Nic więc dziwnego, że źle działo się w królestwie zepchniętym do roli hołdownika Watykanu. W tym fakcie tkwi już m. in. załamek rozkładu i upadku Rzeczypospolitej.

Jan Wiktor z rzetelnym talentem kreśli sylwety swoich bohaterów, doskonale wczuwając się w tamte odległe czasy i epokę. W postaciach jego jest wiele prawdy i życia, tak jak i w opisach uczt, biesiad, uroczystości, wspaniałych pochodów. Do najcelniejszych kart „Papieża i buntownika” należą świetne opisy przyrody, obrazy o mocnym malarskim zacięciu.

J. N. Kłosowski

„RZĘKA CZERWONA” *)

Niedawno otwarto w Pradze interesującą wystawę prac vietnamskiego malarza, absolwenta akademii w Hanoi, partyzanta Diep minh Chau'a. Obrazy i rysunki tego niezwykłego artysty powstały w ogniu zacieklej walki o wolność Wietnamu i dlatego są tak wstrząsające siłą swojego wyrazu. Diep minh Chau maluje portret wodza Ho Chi Minha z trojgiem dzieci, które mają wyrażać niepodległość trzech części Wietnamu, albo obraz umierającego partyzanta. Ale największe wrażenie wywołują dzieła zatytułowane: „Tędy przeszli kolonizatorzy” czy „Polityka wypalonego kraju”. To, co pokazano nam na tej wystawie, ma wagę dokumentu i daleko więcej mówi o bohaterskich zmaganiach Wietnamczyków z francuskim korpusem ekspedycyjnym, niż niejeden artykuł i komunikat.

Podobne wrażenie wywołuje też książka Mirosława Żuławskiego pt. „Rzeka Czerwona”, poświęcona bohaterskiej walce Wietnamu z francuską przemocą kolonialną. „Wszystko w tej książce, pisze na wstępie autor, jest prawdziwe: ludzie, zdarzenia i okoliczności. Prawdziwe są postacie opisane w książce oraz ich rola w toczonej się akcji”...

Akcja powieści M. Żuławskiego zaczyna się w Marsylii, gdzie w momencie strajku dokerów, w chwili, w której wzburzony lud z „Marsylianką” na ustach topi sprzęt wojenny przeznaczony dla korpusu w Wietnamie, policja „werbuję” ochotników, zmuszonych do udziału w „brudnej wojnie” groźbą długoletniego więzienia. W ten sposób na pokładzie statku spotykają się ludzie różnych narodowości: Mohamed Arab Arezki, Polak Wiecki, były esesman Hirsch oraz młody, szlachetny oficer Martin. Jadą, by słumić płomień wolności, rozpalony przez bohaterskiego wodza Wietnamu Ho Chi Minha, by spokojny kraj napełnić wrzawą, krwią i lękiem.

Ze wszystkich stron Francji sypią się protesty, naród żąda zakończenia tej „brudnej wojny”, ale rząd wysłał coraz to nowe bataliony, nowe dywizje, niosące rzeź i zniszczenie. Wojsko francuskie walczące z partyzantami dopuszcza się aktów bestialstwa. A przoduje w tej akcji były esesman Hirsch i jego towarzysze. Kiedy Polak „Whisky” próbuje protestować, zostaje wtrącony do więzienia. Autor maluje teraz drogę odwrotu korpusu spod Cao Bang. Marsz ten niebawem zamienia się w klęskę. Żołnierze brną przez ciemną dżunglę, błądzą po bagnach i bezdrożach. A na każdym

*) M. Żuławski „Rzeka Czerwona” Warszawa, Czytelnik, 1953.

kroku czyha na nich śmiertelne niebezpieczeństwo, czekają wietnamscy bojownicy.

Pewnego dnia do portu przybił okręt przywożący mnóstwo kalek. Młoda bojowniczka francuskiego Ruchu Pokoju, ze łzami w oczach powita dzielnego porucznika Martina, ciężko rannego w Vietnamie. A z nim ofiary francuskiej polityki kolonialnej...

„Rzeka czerwona” kończy się akcentem optymizmu. „Z pokładu ktoś krzyczał. Żołnierz w mundurze piechoty kolonialnej wspiął się na burtę i podnosząc obandażowane ręce wołał: Skończyć brudną wojnę! Niech żyje braterstwo ludów!... „Niech żyje pokój!...” A wtedy dziesiątki zdrowych rąk podniosły się w górę. Profesorowi wydało się, że widzi miliony takich rąk wznoszących się do walki”.

Książka M. Zuławskiego pt. „Rzeka Czerwona” przepełniona jest głęboką wiarą w ostateczne zwycięstwo wolności i sprawiedliwości oraz szczerym umiłowaniem pokoju. I na tym właśnie przede wszystkim polega jej wartość. Poza tym jest to pierwsza w naszej literaturze próba stworzenia dzieła, którego akcja rozgrywa się na terenie dalekiego i mało znanego u nas Vietnamu. Trzeba przyznać, że próba ta wypadła na ogół pomyślnie.

Autor wprowadził w „Rzecz Czerwoną” kilka wą-

ków. Wątki te nie zawsze uzupełniają się wzajemnie. Często występując obok siebie wyłamują się z ram konstrukcji książki, wprowadzając pewien chaos. Ale jest to jedna z nielicznych wad tej ciekawej powieści, napisanej z zacięciem rasowego narratora. Tok opowiadania płynie gładko, rozlewnie, przykuwając przez cały czas uwagę czytelnika. Każdy szczegół jest tutaj starannie przemyślany i przepracowany, co mówi nie tylko o talencie, ale i o sumiennosci autora.

Mirosław Zuławski dał w swojej książce szereg trafnie ujętych sylwet, postaci, takich, jak: prof. Lefebvre, dyplomata Lemay, major Forge, czy interesująca Mohamed. Ale obok ludzi mocno zarysowanych, żywych spotykamy w „Rzecz Czerwonej” jeszcze mnóstwo osób drugoplanowych, potraktowanych nieco zbyt szkicowo. Autor operując tłumem swoich bohaterów, przedstawicieli różnych ras i narodowości, miał trudne zadanie naświetlenia każdej z tych postaci z osobna. Nic więc dziwnego, że nie wszystkie są równie żywe.

Nie umniejsza to jednak znaczenia powieści M. Zuławskiego, która dobrze spełnia swoją rolę, kładąc jeszcze jedną cegiełkę pod gmach wznoszony przez milionowe rzesze Obrońców Pokoju.

J. N. Kłosowski

NOWA ANTOLOGIA CZESKA POWOJENNEJ POEZJI POLSKIEJ

Zainteresowanie literaturą polską w Czechosłowacji jest obecnie niewspółmiernie większe niż u nas piśmiennictwem czeskim czy słowackim. Ogrom pracy przekładowej nad naszą powieścią, dokonany przez samą tylko Helenę Teigovą, jest imponujący, a przecież wymienić należy i innych zasłużonych tłumaczy, np. Beczkę, Minarzikovą, Galasovą czy Heczkovą. Przekłada się zarówno klasyków naszej prozy, jak i wybitnych współczesnych powieściopisarzy. Rejestr tłumaczeń obejmuje dwadzieścia kilka nazwisk. A u nas — Jirasek, Dyk, Czapek, Olbracht, Haszek, Pujmanowa, Majerova, Drda, Rzezacz, Bass, Fuczik — i to chyba wszystko. Ale jednak na tym odcinku pracy przekładowej coś się przecież u nas nobi.

Zupełnie źle natomiast przedstawia się sprawa tłumaczeń z poezji czeskiej i słowackiej. Gdy Czesi w ostatnim dziesięcioleciu pochwalili się mogą takimi wspaniałymi pozycjami, jak „Dziady” (w całości), „Grażyna”, „Konrad Wallenrod w świetnym przekładzie Halasa czy „Anhelli” w pięknym tłumaczeniu Matousza i dwiema już antologiami współczesnej poezji polskiej, — u nas pod tym względem poza ukazującymi się od czasu do czasu a ostatnio dość rzadko spolszczeniami wierszy w czasopiśmie literackim — nic się więcej nie dzieje.

Pierwsza antologia współczesnych poetów polskich ukazała się nakładem Boroego już w r. 1947. Książka miała tytuł „Pochodnie” i zawierała wybór wierszy 27 żyjących i nie żyjących wybitnych poetów polskich w przekładzie entuzjasty naszej poezji Jana Pilarza.

Wydawnictwo było ambitne, a tłumacz, znający Polskę i wielu naszych poetów blisko, potrafił zarówno doborowo autorów i wierszy, jak i dobrą pracą przekła-

dową uprzystępnici czytelnikowi czeskiemu pewną znajomość naszej współczesnej poezji.

Druga antologia pod tytułem „Nowa poezja polska”, objętościowo przeszła dwukrotnie większa od pierwszej, wyszła w r. 1952 nakładem wydawnictwa „Czeskosłowensky Spisovatel”. Jest to już owoc pracy zbiorowej, co umożliwiło zaprezentowanie w wyborze większej liczby autorów i wierszy. Pracowało nad książką sześciu poetów: Adolf Hoffmeister, Jan Pilarz, Zygmunt Skyba, Erich Sojka, Józef Rumler i Jarosław Zavada, który uzupełnił antologię krótkim posłowiem ilustrującym rozwój powojennej postępowej poezji polskiej.

Nowa antologia zawiera 125 wierszy 39 autorów, przy czym największą liczbę tłumaczeń dał Erich Sojka, Jarosław Zavada i Jan Pilarz (ostatni z 34 wierszy — 30 nowych, które nie były zamieszczone w „Pochodniach”).

Jak wynika z posłowania, redakcja założyła sobie uwzględnienie w antologii wyłącznie utworów, które powstały od września 1939 r., zawierających mocny ładunek ideologiczny, związany z tematyką walki o wyzwolenie, pokój i budowy nowego ustroju socjalistycznego w oparciu o pomoc i przyjaźń polsko-radziecką. Dobór autorów ma unaocznici, że poeci od najstarszej generacji, którą reprezentuje Staff, poprzez średnią (Broniewski, Dobrowolski, Gałczyński, Iwaszkiewicz, Jastrun, K. A. Jaworski, Lewin, Pasternak, Pięta, Polak, Przyboś, Putrament, Słobodnik, Słonimski, Szenwald, Śpiewak, Tuwim, Ważyk, Wygodzki) aż do młodych i najmłodszych — oddali swe pióro ideałom Polski Ludowej.

Przekłady wszystkich tłumaczy stoją na wysokim poziomie, a niektóre są nadzwyczaj wierne i w całej pełni oddają wartość oryginałów. Chyba najlepsze wyszły

spod pióra J. Pilarza i J. Zavady. Można by tylko zarzucić pominięcie w antologii kilku wybitniejszych poetów, których utwory tematycznie harmonizowałyby z intencją redakcji książki, a którzy z niewiadomych powodów nie zostali uwzględnieni, że wymienię tu choćby Iłakowiczównę, Kamińską, Koprowskiego, Kurka, Piechala, Rymkiewiczza, Szewczyka, Szymborską, Timofiejewa i in.

Noty biograficzne nie zawsze są ściśle. Książka, jak wszystkie wydawnictwa czechosłowackie, wydana bardzo estetycznie, aż zazdrość bierze.

A teraz pytanie: kiedyż nareszcie zrewanżujemy się naszym przyjaciółom? Kiedy ukaże się antologia poezji czeskiej i słowackiej w naszych przekładach?

kaj

ANTOLOGIA NAJDAWNIEJSZEJ POEZJI ŁACIŃSKIEJ W POLSCE

Zasłużona Biblioteka Narodowa ujęła przed laty w cztery tomiki wybór naszej literatury wieków średnich. Dwa z nich: „Najdawniejsze zabytki języka polskiego” w opracowaniu prof. Taszyckiego (Nr 104) i „Średniowieczna poezja polska świecka” w opracowaniu prof. Wierczyńskiego (Nr 60) zostały po wojnie wznowione. Pożądane byłoby też wznowienie tomików brücknerowskich: „Średniowiecznej prozy polskiej” i „Średniowiecznej pieśni religijnej polskiej”, ale opracowanie tekstu w tych tomikach należałoby poddać rewizji. Do wymienionych tomów przybył niedawno jeden jeszcze: „Najstarsza poezja polsko-łacińska” (do połowy XVI wieku) w opracowaniu prof. Mariana Plezi (Nr 141).

Biblioteka Narodowa zawsze przestrzegała zasady, by każdy temat opracowywał największy znawca przedmiotu i stąd wydawnictwo naukowo-popularne ma w swym dorobku takie arcydzieła edytorskiego kunsztu jak „Beniowski” w opracowaniu Kleinera, „Pan Tadeusz” w opracowaniu Pigionia, Książczyna „Wybór poezji” w opracowaniu Borowego. Tym razem najstarszą poezję łacińską w Polsce powierzono nie tylko najwybitniejszemu, ale jedynemu specjalście, jakiego w tej dziedzinie posiadamy. Dotąd bowiem mediewistyka nasza szła dość dziwnymi torami. Nie brakło nam świetnych znawców tej epoki, lecz zabytki literatury polskiej tego okresu opracowywali przeważnie językoznawcy, łacińskie teksty wyszukiwane były głównie przez historyków. Prof. Bruchnalski — ujmujący wszechstronnie najdawniejszą epokę naszej literatury — należał do chlubnych wyjątków. Filologowie klasycyści polscy, którym nigdy nie zbywało na wielostronności zainteresowań, włączyli od dawna literaturę polsko-łacińską do swych badań, ale głównie zajęli się okresem humanizmu (Morawski, Cwikliński, Sinko), wyjątkowo sięgając też i do wieków średnich (Gansiniec).

Prof. Plezia — wychowanek świetnej krakowskiej szkoły filologicznej i świetniejszej jeszcze mediewistycznej — ukochał szczególnie tę dziedzinę leżącą dotąd odłogiem. Już w roku 1946 przypominał na łamach Meandra szerszym kręgom miłośników naszej kultury „łacinę, której nie znamy”.

Wśród prac naukowych prof. Plezi naczelne miejsce zajmuje monografia o Gallu, nie jedyna zresztą pozycja z tej właśnie dziedziny. Przygotowywany Słownik łaciny średniowiecznej w Polsce (wyd. PAU), tak bardzo pożyteczny, będzie w dużej części dziełem prof. Plezi. Działalność tego filologa-mediewisty jest nowatorska i nowatorski charakter ma tomik wydany przez Bibliotekę Narodową.

Wstęp — liczący 91 stron — daje obszerny wykład o rozwoju poezji polsko - łacińskiej w okresie najdawniejszym literatury naszej. Wykład pisany przez znawcę i miłośnika przedmiotu, którego sąd nacechowany jest subtelnością i umiarem. Wydawca nie przecenia literatury polsko - łacińskiej okresu początkowego, wyznacza pierwocinom właściwe im miejsce w rozwoju historycznym. Uczona rozprawa o najdawniejszej poezji polsko - łacińskiej pisana jest z wdziękiem i poletem znanym czytelnikom licznych już — większych i mniejszych prac prof. Plezi i słuchaczom jego wykładów.

Obfita bibliografia podaje najważniejsze pozycje spośród wydań i opracowań, podkreśla znaczenie niektórych, takich jak: „Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae Latinorum”... (wyd. PAU), Gansincoy „Zbiór pisarzy polsko - łacińskich”, prace Bruchnalskiego i Sinki w pierwszym i drugim wydaniu „Dziejów literatury pięknej w Polsce” (PAU), wskazuje też dobitnie postulat pełnej naukowej edycji poezji polsko - łacińskiej wieku XII — XIV (w oryginale).

Wybór tekstów i przekładów nadzwyczaj staranny. Przegląd popularny najstarszej poezji polsko - łacińskiej w pewnych momentach przynosi nowe fakty literackie; niektóre utwory zostały tu po raz pierwszy przetłumaczone z oryginału lub „odczytane” na nowo.

„Napis na grobie Bolesława Chrobrego” godnie otwiera szereg najdawniejszych zabytków piśmiennictwa. Przytoczenie czterech fragmentów poetyckich z Kroniki Galla Anonima to postawienie kropki nad „i” w recepcji literackiej tego zabytku, wydanego już w całości po polsku (Bibl. Nar. S I n. 59), bo fragmenty te po raz pierwszy weszły do antologii poezji. Podobnie przytoczenie Adama Świnki „Nagrobka Zawiszy Czarnego” (cytowanego w Kronice Długosza) to pierwsze odczytanie tego fragmentu jako osobnego utworu poetyckiego. Jeszcze bardziej prekursorskie jest umieszczenie „Żalów po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego”, bo całość Kroniki Wincentego czeka na wydanie podobne temu, jakie dał Grodecki Gallowi, a ten utwór przetłumaczono specjalnie dla omawianego wyboru.

Poezje znanych sześciu najwybitniejszych poetów polsko - łacińskich z pierwszej połowy XVI wieku po raz pierwszy zebrane zostały w tak obfitym wyborze. Pawła z Krosna „Elegia do Jana z Wiślicy” to interesujący przyczynek dla poznania stosunków wzajemnych między obu poetami nieobojętny dla dziejów „poglądów estetyczno - literackich” tego okresu. Dostojskością epicką przemawiają znane już, ale tu przypomniane w dużych wyjątkach Jana z Wiślicy „Wojna pruska” i Hussowianusa „Pieśń o żubrze”. Werwa satyryczna bije ze „Skargi religii i Rzeczypospolitej”

Andrzeja Krzyckiego, posągowo brzmi Dantyszkowa „Marna służba”, wdziękiem ujmuje elegia Janiciusa.

Można by mieć pewne drobne zastrzeżenia dotyczące doboru tekstów. Wydaje się, że Janicius nie został potraktowany należycie (trzy pozycje, gdy Gall Anonim ma cztery a Krzycki siedem). Wydawca, kierując się pragnieniem pokazania rzeczy najcenniejszych i najbardziej typowych, na ogół doskonale wypełnił ten postulat, ale dla uchwycenia ewolucji poezji polsko - łacińskiej wieków średnich konieczne byłoby pomieszczenie w zbiorze także okruszków Grzegorza z Sanoka, bodaj Epitaphium Władysława Jagiełły — słabego, jak zapewnia wydawca — ale i słabe rzeczy są konieczne w wyborach dających przegląd ogólny; może nawet Kallimachowi i Konradowi Celtisowi także należałby się kąciak. Ewolucję epiki polsko - łacińskiej, da się doskonale wysłuchiwać właśnie dlatego, — że po anonimowej „Pieśni o wójcie Albercie”, wzruszającej zresztą w przekładzie Syrokomli, czyta się Jana z Wiślicy czy Hussovianusa.

Popularny charakter wydania zmusza do liczenia się z istniejącymi przekładami, ale kilka utworów przetłumaczono specjalnie dla tej antologii. W ten sposób „Elegia o sobie samym do potomności” Janiciusa ukłasyfikowana już w chwytającym za serce przekładzie Syrokomli i piękne choć mniej znane tłumaczenie „Pieśni o żubrze” — białym wierszem Kasprowicza — znalazły się obok przekładów znacznie wierniejszych Birkenmajera, Grodeckiego, tłumaczy Gansincowego Zbioru pisarzy polsko - łacińskich. Sam wydawca przełożył cztery utwory, a przekłady pozostałe w sposób bardzo dokładny i bystry zestawiał z oryginałem zaznaczając w przypisach odchylenia — interesujące niekiedy, raz nawet ryzykując (w przypisku, str. 54-55) bardzo prawdopodobną koniunkturę. Szkoda tylko, że we wstępie poskapał wydawca uwag ogólnych charakteryzujących tłumaczenia polskie, a w szczegółowych przypisach nie podał motywów skłaniających go do przyję-

cia tych właśnie, nie innych przekładów. Uwagę „doskonały” przy Kondratowiczowym przekładzie „Marnej służby” Dantyszka (str. 109) powitają miłośnicy Syrokomli z radością, bo przekłady jego dotąd nie miały tak dobrej opinii; ale szkoda, że uwadze tej nie towarzyszy bliższe wyjaśnienie.

Metodę tytułowania utworów przyjął wydawca taką, jaką stosuje się w wydaniach popularnych — na równi traktując tytuły będące własnością autora, tłumacza i wydawcy naukowego, a tylko niekiedy dając w przypisku wyjaśnienie, że np. Elegia Janiciusa „O sobie samym do potomności” jest VII-mą Elegią w zbiorze tego poety. Nigdzie nie są stosowane klamry i przez to traci się świadomość, od kogo pochodzi tytuł utworu.

W nazwiskach dokładniejsze byłoby używanie brzmień łacińskich w tych wypadkach, gdy polskie brzmienie jest nie poświadczane rekonstrukcją, np. Janicki czy Hussowski. Jeżeli już zupełnie nie odrzucać tych — może trafnie, ale może nietrafnie — zrekonstruowanych nazwisk, to należałoby dać jakieś wyjaśnienie. Podobnie Kondratowicza lepiej nazywać Syrokomlą. Dwukrotnie zostały we wstępie zacytowane utwory naszych powieściopisarzy czerpiących ze źródeł średniowiecznych, oba razy mylnie: „Opowieść prawdziwa o Petruku Właście...” Kraszewskiego zamiast „Historia prawdziwa...” i „Opowieść o Udałym Walgierzu” Zeromskiego zamiast „Powieść...”.

Uchybienia te są jednak drobne wobec zupełnie pierwszorzędnych zalet tego wydania. Przynosi ono chlębę Bibliotece Narodowej, która po raz pierwszy przedstawiła syntetycznie poezję polsko - łacińską okresu początkowego. Literatura polska była przez parę wieków dwujęzyczna i o tym fakcie pamiętać należy. W ślad za świetnym tomikiem „Najstarszej poezji polsko - łacińskiej” oczekiwać należy w Bibliotece Narodowej poezji łacińskiej Kochanowskiego, Klonowicza, Simonidesa, Sarbiewskiego...

Jerzy Starnawski

KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY

TWÓRCZOŚĆ WITA STWOSZA W POLSCE

(na marginesie wystawy w Muzeum Lubelskim)

Naukowcy polscy prowadzą w roku bieżącym szereg badań i dyskusji nad zagadnieniami epoki Odrodzenia, zwracając dużą uwagę na sprawy zasadnicze, jakimi są: ustalenie periodyzacji dziejów polskiego renesansu oraz wydobycie walorów rodzimych naszej sztuki tego okresu.

W wyniku badań zamknięto I-szą fazę renesansu w ramach poł. XV do pocz. XVI w., podkreślając następujący w tym czasie rozkwit realizmu mieszczańskiego. Okres ten charakteryzuje się jednoczesnym występowaniem form późnogotyckich i renesansowych przy przeważającej tematyce religijnej. Zjawiskiem najwybitniejszym okresu jest działalność Wita Stwosza przypadająca na lata 1477—1496. Głównym celem wystawy Muzeum Lubelskiego, poświęconej twórczości wielkiego artysty czasów przełomu, jest zapoznanie widza z działalnością Wita Stwosza w Polsce, ze szczególnym podkreśleniem postępowych wartości, jakie zawiera jego naj-

większe i najbardziej dla sztuki polskiej przełomowe dzieło — ołtarz mariacki. W dziele tym obok późnogotyckiej formy, właściwej dla sztuki średniowiecznej, występują nowe wartości wyrażające się przede wszystkim w realistycznym odtworzeniu rzeczywistości i poznawczym stosunku do człowieka i przyrody.

Zadaniem materiału reprodukcyjnego zgromadzonego w sali pierwszej jest ukazanie w syntetycznym skrócie środowiska krakowskiego i genezy sztuki Stwosza. Zaakcentowano tutaj przełom ekonomiczny poł. XV w. powodujący rozkwit miast w Polsce oraz wzrost znaczenia warstwy mieszczańskiej, zorganizowanej w cechy rzemieślnicze i gildie kupieckie, a także dużą rolę, jaką w II-giej połowie XV wieku odegrał Uniwersytet Krakowski skupiający wybitnych przedstawicieli wiedzy medycznej, przyrodniczej i humanistycznej reprezentowanej przez Kallimacha, Celtisa i innych. Humanisci, którzy wywarli wielki wpływ na życie kulturalne Krakowa, wpłynęli pośrednio i na twórczość Wita Stwosza.

Jak wiadomo, rozwijająca się twórczość artystyczna objęta była ramami cechów, a stanowisko społeczne artysty równe było stanowisku rzemieślnika. Sztuka średniowieczna wypowiadała się w temacie religijnym; ulubioną zaś formą były ołtarze trzy- i wieloskrzydłowe, zw. tryptyki i poliptyki. Bogate mieszczaństwo krakowskie przejmując inicjatywę kulturalną w swoje ręce dało impuls do powstania wielu dzieł sztuki jeszcze przed przybyciem Stwosza.

W zachowanych częściowo wielkich malowanych ołtarzach z kościoła Dominikanów i Augustianów w Krakowie, w tryptyku M. B. Bolesnej i zewnętrznych scenach ołtarza św. Trójcy na Wawelu przebijają tendencje realistyczne, przenikające do Polski z Niderlandów.

Przed przybyciem z Norymbergi do Krakowa Stwosz wykształcił swoje rzemiosło odbywając zapewne szereg podróży artystycznych, podczas których zetknął się ze sztuką niderlandzką, zwłaszcza z twórczością braci van Eycków, Rogera van der Weyden i Dirka Boutsy oraz wielkiego rzeźbiarza Mikołaja z Leydy. W roku 1477 przybywa do Krakowa i wykonuje w ciągu lat 12 swoje pierwsze i najwcześniejsze dzieło ołtarz mariacki.

Powyższe ogólnie scharakteryzowane zagadnienia ilustruje mapa ważniejszych miast w Polsce, założonych w czasie od XIII do XV w., mapa dróg handlowych prowadzących przez Kraków, wielka plansza przedstawiająca Kraków z czasów Wita Stwosza wg. drzeworytu z Chronicon Mundi Hartmana Schedla z 1493 r., kolorowe reprodukcje miniatur z kodeksu Behema z 1505 r., szereg fragmentów z ołtarzy wykonanych przed przybyciem Stwosza oraz reprodukcje dzieł artystów niderlandzkich.

Dwie następne sale poświęcone są ekspozycji fragmentów z pentptyku mariackiego. Dzieło to, głęboko związane ze środowiskiem krakowskim, było realistycznym odbiciem otaczającego artystę mieszczańskiego świata, do którego sam należał. W celach dydaktycznych wykonano w zmniejszonej skali model ołtarza ułatwiający widzowi po obejrzeniu umieszczonych w gablotach scen zewnętrznych i wewnętrznych ołtarza zapoznanie się z ich rozmieszczeniem, z ogólną kompozycją ołtarza. Zebrany materiał ekspozycyjny ma na celu wydobycie i podkreślenie wartości realistycznych dzieła Stwosza oraz poznawczej pasji artysty w stosunku do człowieka i przyrody. Pokazano więc szereg figur (i ich fragmenty), odwzorowanych przez Stwosza z dokładnością anatomiczną i bogatym zróżnicowaniem wieku i charakteru. Zwracają uwagę pełne prawdy głowy ludzi żywych, takich, jacy otaczali artystę, zdumiewa wielka skala uczuć i stanów duchowych. Stwosz nie przejawia dążności do uogólnień.

W następnej sali zgromadzono materiał reprodukcyjny, ukazujący niemal kronikarską wierność artysty w odtwarzaniu widoków miast, wewnątrz mieszkalnych i sprzętów, — sumiennosc przynodnika w ukazaniu bogactwa świata roślinnego. Osobne miejsce poświęcono polichromii ołtarza, której bogactwo barw tworzy niejednokrotnie sugestywne obrazy malarskie.

Wystawa obejmuje również fragmenty z konserwacji ołtarza, który zrabowany został przez hitlerowców w 1939 r. i wywieziony do Norymbergi, skąd powrócił do Krakowa dopiero w 1946 r.

Dzięki staraniom Ministerstwa Kultury i Sztuki podano go od razu troskliwej konserwacji w Pracowni

Konserwacji Zabytków na Wawelu pod kierunkiem Mariana Słoneckiego. W wyniku prac restauracyjnych, trwających 4 lata, odkryto dawną polichromię i przywrócono ołtarzowi pierwotny wygląd.

Poza szczegółowym pokazaniem największego z dzieł artysty, ekspozycja obejmuje również jego prace późniejsze, m. in. nagrobek Kazimierza Jagiellończyka, grobowiec Piotra z Bnina, jeden z krucyfiksów mariackich i płytę Kallimacha. W dziełach tych pogłębiają się tendencje realistyczne mistrza.

Wit Stwosz, będący pierwszą wybitną indywidualnością artystyczną w Polsce wyłaniającą się z rzeszy przeważnie bezimiennych twórców cechowych, wywarł wielki wpływ na szereg dzieł późniejszych mistrzów. Z wielu jego uczniów i pomocników znany z nazwiska jest jedynie Jorg Huber rodem z Passawy, który współpracował przy predelli ołtarza mariackiego oraz wykonał szereg kapiteli nagrobka Kazimierza Jagiellończyka. Bezimienna rzesza innych uczniów i naśladowców pozostawiła dzieła, które zaliczamy do tzw. „szkoły” Stwosza. Poza nielicznymi wyjątkami większość twórców tych dzieł nie stanowiła wybitniejszych indywidualności. Przejęli oni ogólny schemat kompozycyjny lub powierzchowne podobieństwo szczegółów, niektórzy, jak np. autor tryptyku z Lusiny, zaczerpnęli motyw tematyczny z miedziorytów Stwosza.

Bogaty materiał związany z tym zagadnieniem eksponowano w 2 ostatnich salach. Punktem wyjściowym jest wspaniały poliptyk śląski z pocz. XVI wieku, wypożyczony przez Dyрекcję Muzeum Narodowego w Warszawie — jedno z najbardziej wartościowych dzieł powstałych w kręgu sztuki Stwosza. Poliptyk ten jest niewątpliwie najcenniejszym eksponatem wystawy. Zasięg oddziaływania sztuki Stwosza ilustruje mapa zawierająca fotografie niemal wszystkich zachowanych dzieł bądź ich fragmenty oraz szereg gablot m. in. z grupą zabytków krakowskich, a zwłaszcza z pracami przypisywanymi Stanisławowi Stwoszowi, synowi artysty.

Znajdują się tutaj: tryptyk św. Stanisława z kościoła Mariackiego, ołtarz z Historią św. Jana Chrzciciela z kościoła św. Floriana w Krakowie i dużo dzieł prowincjonalnych — jak ołtarze w Bodzentynie, w Książnicach Wielkich, Lusinie, Świdnicy i wielu innych miejscowościach. W ekspozycji „szkoły” Stwosza podano jedynie sam materiał bez próby wprowadzenia porządku chronologicznego, który nie zawsze można ustalić, i bez podziału na dzieła wykonane pod okiem samego Stwosza i prace snycerzy ulegających wpływowi artysty — ponieważ jest to jeszcze przedmiotem szczegółowych badań naukowców polskich.

Wystawę opracowały mgr Irena Iskrzycka — dyrektor Muzeum Lubelskiego i mgr Krystyna Postawka — adiunkt Działu Sztuki, oprawę plastyczną wykonano pod kierunkiem prof. Lucjana Pakulskiego.

Przy gromadzeniu materiału ekspozycyjnego wiele życzliwości i pomocy okazały zarówno muzea jak i inne instytucje, a przede wszystkim — Dyrekcja Muzeum Narodowego w Warszawie i kustosz Działu Sztuki Średniowiecznej tego Muzeum mgr Tadeusz Dobrzeńcki, Dyrekcja Muzeum Narodowego w Krakowie oraz Państwowy Instytut Sztuki.

Irena Iskrzycka

W ramach ogólnokrajowych obchodów Roku Odrodzenia i Roku Kopernikowskiego odbyło się w Lubelszczyźnie wiele uroczystości zorganizowanych staraniem Wojewódzkiego Komitetu Obchodów Artystycznych.

W dn. 7 czerwca nastąpiła uroczysta inauguracja Roku Kopernikowskiego, na którą złożyły się odczyty prof. dr. Leona Halbana, prof. dr. Adama Malickiego, prof. dr. Henryka Romanowskiego, prof. dr. Armina Teske i dr. Tadeusza Wilgata.

W związku z Rokiem Odrodzenia specjalne uroczystości poświęcono mistrzowi Odrodzenia Biernatowi z Lublina i arianom polskim. 20 września na Rynku w Trybunale została wmurowana tablica pamiątkowa, której tekst brzmi: „Biernat z Lublina, ojciec piśmiennictwa polskiego, mieszczanin lubelski, wyraził postępowych myśli w epoce Odrodzenia XV/XVI”. Tegoż dnia odbyła się w Domu Oficera uroczysta akademii, której program wypełnił odczyt profesora Uniwersytetu Poznańskiego Jerzego Ziomka o twórczości Biernata, montaż prof. dr. Leona Halbana, składający się z bajek Biernata w wykonaniu artystów Państwowego Teatru im. J. Osterwy (reżyseria Tadeusza Lipszyca), oraz montaż słowno-muzyczny pt. „Wiatr od Czarnolasu”, opracowany przez Wacława Gralewskiego (muzyka Aleksandra Bryka, reżyseria i inscenizacja Wandy Kaniorowej) w wykonaniu chóru ORZZ pod dyrekcją Karola Kuszlika, orkiestry Liceum Muzycznego i zespołu Teatru Młodego Widza.

W dniu 22 listopada odbyło się w Lublinie posiedzenie naukowe poświęcone arianom polskim. Odczyty wygłosili dr Henryk Zins: „Rys historyczny arian na tle stosunków polskich” i dr Stefan Wojciechowski: „Poglądy społeczno-polityczne arian polskich”.

Obecnie Wojewódzki Komitet Obchodów Artystycznych przygotowuje się do uroczystości poświęconych Szymonowi Szymonowiczowi, które odbędą się w połowie grudnia w Zamościu. I. M.

I OGÓLNOPOLSKI KONKURS RECYTATORÓW

Przebieg I Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów, który ma na celu zaznajomienie szerokich mas nowych odbiorców kultury z postępowym i rewolucyjnym dorobkiem dawnej i współczesnej literatury polskiej oraz rozbudzenie zamiłowania do języka ojczystego, wydobycie jego bogactwa i piękna, przedstawia się w Lubelszczyźnie jak następuje:

Po eliminacjach powiatowych, w których wzięło udział około 600 osób, odbyły się w dn. 25 października eliminacje wojewódzkie, do których weszły 102 osoby. Jury zakwalifikowało 6 osób do eliminacji centralnych. Są to Eleonora Frenkiel-Ossowska (pion zawodowy), Maria Żołnierowicz — robotnica Spółdzielczych Zakładów Niewidomych, Regina Możdżeńka — pracownica DOKP Lublin, Józef Chwiejczak — trzynastoletni uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Zamościu, Anna Czarnecka — studentka UMCS i Irena Polak — uczestniczka świetlicy gminnej w Końskowoli (powiat puławski).

Niewątpliwym osiągnięciem konkursu było wydobycie nowych talentów recytatorskich, natomiast rzuca się w oczy zbyt słaby liczebnie udział robotników i chłopów.

I. M.

We wrześniu 1952 r. został ogłoszony w skali ogólnokrajowej wielki konkurs na najlepszą bibliotekę, najlepszą świetlicę oraz dom kultury.

W warunkach konkursu podkreślono szereg punktów i postawiono szereg wysokich wymagań, dotyczących zadania i działalności organizacyjnej tych ośrodków, upowszechniających kulturę wśród mas ludowych.

Konkurs wspomniany był długofalowy: trwał od września 1952 r. do końca marca 1953 r. W maju — na ogólnokrajowym zjeździe czytelnicy ZSCh, po podsumowaniu wyników współzawodnictwa w Ministerstwie Kultury i Sztuki — Lubelska Wojewódzka Biblioteka Publiczna otrzymała II nagrodę Ministerstwa.

Ponieważ pierwszej nagrody w ogóle nie przyznano, tym samym jedna z poważnych lubelskich placówek kulturalnych, przy tym jeszcze bardzo „młoda”, bo istniejąca dopiero od 1951 roku — wysunęła się na przodujące miejsce w Polsce. Dla Lubelszczyzny, która przed wojną była terenem pod wielu względami mocno zaniedbanym, jest to sukces niemałego znaczenia. W uroczystej przemowie przy wręczeniu nagrody wiceminister Wilczek podkreślił, że jednym z zasadniczych punktów decydujących wśród wielu innych o przyznaniu nagrody była pionierska, wynalazcza działalność zespołu pracowników Biblioteki w dziale metodycznym i dobrze obrany kierunek pracy, wiążącej się z terenem.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna mieści się w gmachu Z.O.R.-u przy Al. Raclawickiej Nr 9a, w lokalu zbyt małym i ciasnym dla tej poważnej placówki, a w dodatku wspólnie z jedną z filii miejskiej biblioteki. Taka sama Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie na przykład — posiada jedenaście pokoi pięknie wyposażonych, Toruńska zaś W.B.P. — salony, godne wzorowo urządzonej placówki kulturalnej. Władze lubelskie powinny pomyśleć o umożliwieniu rozwoju Biblioteki przez ułatwienie w uzyskaniu właściwego lokalu.

Na ogół nie wiele wiemy o Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, o jej celach i zadaniach, potrzebach i bolączkach, nie orientując się w zagadnieniach organizacyjnej sieci bibliotecznej.

Dlatego należałoby pokrótce przedstawić tu ich zarys ogólny.

Na podstawie dekretu Rządu R. P. o bibliotekach publicznych z 1946 r. ustanowiono Wojewódzką Bibliotekę Publiczną jako najwyższy szczebel sieci bibliotecznej w okręgu. W.B.P. w założeniu swym jest pomyślana jako ośrodek naukowo-badawczy, instrukcyjny i szkoleniowy. Placówką czytelnicy nie jest w zasadzie, jakkolwiek posiada księgozbiór. (W.P.B. w Lublinie posiada 15 tys. tomów!). Jest to jednak księgozbiór przeważnie fachowy, przeznaczony do pracy i służący pomocą dla bibliotek niższego stopnia

(przesyłanie kompletów dla zespołów czytelniczych, na specjalne żądanie indywidualne itp.).

Takie zadania, jak pogłębianie politycznej świadomości mas, współdziałanie z innymi placówkami w zakresie oświaty i kultury, udzielanie pomocy organizacyjnej i instruktorskiej bibliotekom: powiatowym i miejskim, gminnym i gromadzkim — realizuje się na szeregu odcinków, stwarzając odpowiednie działy tej Biblioteki.

Na terenie naszego województwa mamy poza Wojewódzką Biblioteką Publiczną: 2 miejskie biblioteki, łącznie z Biblioteką Miejską im. H. Łopacińskiego.

Bibliotek powiatowych jest — 14, gminnych — 216, punktów zaś bibliotecznych w gromadach wiejskich jest 2080.

W tej chwili, w punktach bibliotecznych, w gromadach, które poza swoimi stałymi księgozbiorami (około 100 książek) mają księgozbiory płynne w postaci kompletów książek w ilości od 50 do 200, otrzymywanych na pewien okres czasu, praca z czytelnikiem nie stoi na najlepszym poziomie dlatego m. in., że punkty te często prowadzi dodatkowo zajęty szkołą nauczyciel lub zupełnie nieprzygotowany przedstawiciel miejscowego społeczeństwa. Biblioteki gminne mają znów pracowników na niewysokich ryzaltach, zbyt mało jest pracowników etatowych. Nie pozwala to na utrzymanie stałych, potrzebnych dla akcji uświadamiającej kadr pracowniczych. Dlatego też praca na tym odcinku mającym bezpośrednią styczność ze społeczeństwem nie stanęła na właściwym poziomie mimo dobrze zorganizowanego w tym roku przez W.B.P. instruktażu i akcji szkoleniowej. Tak więc płynność kadr staje na przeszkodzie dobremu i celowemu rozwijaniu się podstawowych ogniw bibliotecznych, tych właśnie, które bezpośrednio pracują z czytelnikiem.

Biblioteki gminne m. in. mają za zadanie rozdzielanie kompletów książkowych dla punktów bibliotecznych w gromadach wiejskich, instruowanie doraźne pracowników na tych placówkach oraz rozległą pracę z czytelnikami. W tym właśnie roku dopiero — między różnymi formami współpracy z czytelnikami — postawiona została sprawa szkolenia ideologicznego za pośrednictwem Wszechnicy Radiowej, przy czym W.B.P. stara się o odpowiednie dostarczenie skryptów oraz przeprowadzenie i organizowanie konsultacji i egzaminów.

Biblioteki powiatowe to już poważniejsze pod względem zasięgu zagadnień placówki rozdzielcze dla ośrodków gminnych. Te biblioteki zasadniczo nie mają w swych planach bezpośredniej współpracy z czytelnikami, — te bowiem zadania w pełni przejęły na siebie biblioteki miejskie, lecz poza rozdzielnictwem i segregacją książek oraz księgozbiorów płynnych zatrudniają personel swój przeważnie w dziedzinie instruktorskiej, szkoleniowej i wychowawczej.

Istotną swą działalność W.B.P. w Lublinie rozpoczęła dopiero dwa lata temu. Dyrektorem jej jest ob. Maria Gawarecka, kierownikiem met. - instr. E. Hobotowa.

W pierwszym rzucie zorganizowano Gabinet Metodyczny, który w obecnej chwili rozporządza sporą ilością materiałów dydaktycznych i propagandowych. Jednak mimo, że liczba materiałów tych stopniowo wzrasta, nie zdołano jeszcze nadążyć potrzebom terenu. Mate-

riały te wymagają nieraz dużego okresu przygotowawczego i przemyślenia tak ze względu na swój charakter masowy, jak i ze względu na to, że muszą się stać wzorami. Opracowanie ich nie postępuje tak szybko, jak wzrastają potrzeby życia bieżącego w szeregu akcji społecznych. Ale w obecnej chwili już są porożsyłane montaż informacyjny i literackie w związku z nasileniem zagadnień politycznych, społecznych i kulturalnych (Dni Oświaty, Książki, i Prasy, Tydzień Zdrowia, sprawy spółdzielczości produkcyjnej i in). W dziale tym Gabinet Metodyczny może poszczycić się dobrze opracowanym montażem, popularyzującym literaturę radziecką. „Od Radiszczewa do dni dzisiejszych”. Montaż ten został wydany drukiem w 4 tys. egzemplarzy jako pierwsza publikacja Lubelskiej W.B.P.

Poza tym W.B.P. rozesłała już część zestawień bibliograficznych i wskazań jako pomoce wystaw o różnych tematach, jak: „Kobieta w walce i pracy”, „Walka o nową wieś”, „Przyjaźń Polsko - Radziecka” i in. Szereg haseł i myśli wybranych w formie druków, na powielacz lub elektrokopie, wzory plastyczne i plakaty drukowane lub nawet ręcznie wykonywane, tak zwane „składanki” i „tryptyki” jako tło do wystawek, projekty wystaw książki, symbole z papieroplastyki, wzory gazetki bibliotecznych pt. „Gazetka Biblioteki Gminnej”, instrukcje dla organizowania czytelni czasopism, wskazówki dla urządzających wieczory dyskusyjne w bibliotekach i in. W setkach i tysiącach egzemplarzy rozsyłane wyżej wspomniane pomoce biblioteczne wymagają po niedługim czasie sprawdzenia ich właściwego wykorzystania. W.B.P., która obecnie liczy ogółem 11 pracowników — a posiada tylko trzech instruktorów, prowadzi instruktaż w terenie i urządza przykładowe wieczory dyskusyjne. Takie właśnie wieczory odbyły się (na temat wsi) w Nowej Osadzie k/ Zamościa, w Łęcznej i Fajslawicach k/ Krasnegostawu (na temat akcji przedwyborczej Zw. Zaw.), oraz w samym Lublinie w jednostce wojskowej Domu Żołnierza, czy też w Domaszewicy pod Łukowem (na temat przebudowy wsi). W ciągu roku 1952 w terenie przebywali instruktorzy W.B.P. — 374 dni. Obecnie zaś akcja instruktażowa wzmogła się na tyle, że już np. w okresie 5 pierwszych miesięcy bieżącego roku na konto wyjazdów terenowych zaliczyć można było 195 dni. Praca instruktorska łączy się z akcją szkoleniową w terenie. Mimo jednak nasilenia pracy terenowej w tym roku nie jest ona jeszcze zadowolająca dlatego, że braki personalne na stanowiskach instruktorskich przy istnieniu ogromnej liczby placówek (2.300) nie pozwalały na obsłużenie właściwe i wyciągnięcie odpowiednich wniosków co do należytego wykorzystania porożsyłanych pomocy bibliotecznych oraz na stwierdzenie wartości metod propagandowych w terenie naszego województwa.

Poza działalnością instruktorską w Lubelskiej W. B. P. zorganizowana została służba informacyjno-bibliograficzna, oparta na doświadczeniach i wzorach Związku Radzieckiego, uwzględniająca specyficzne potrzeby naszego terenu, a więc interesująca się przede wszystkim zagadnieniami wiejskimi i rolniczymi. Na właściwym poziomie postawiła ten dział ob. Maria Michońska, bibliograf W. B. P., co m. in. zostało zaznaczone w Warszawie. Ukazał się parę

miesiący temu jej artykuł projektodawczy na temat tych zagadnień w czasopiśmie poświęconym sprawom bibliotek i czasopiśmiennictwa. („Bibliotekarz” Nr 2, marzec — kwiecień 1953 r.). Życiowym dowodem tego, jak jest potrzebna taka służba informacyjno-bibliograficzna, jest list traktorzysty Jana Ziółkowskiego ze spółdzielni produkcyjnej w gm. Skrobów pow. lubartowskiego, nadesłany do biblioteki miejskiej w Lubartowie, zapytujący o literaturę fachową, dotyczącą silników wysokoprężnych. List ten natychmiast został przesłany do W. B. P. w Lublinie, bo w bibliotece lubartowskiej nie znaleziono żadnej książki dotyczącej tego tematu. W. B. P. również nie miała tak ściśle fachowej literatury, gdyż są to najnowsze zdobycze techniki omawiane dotychczas tylko na łamach czasopism fachowych. W. B. P. skierowała pytającego do N. O. T. w Lublinie podając godzinę, kiedy będzie mógł rozmawiać w gronie czołowych lubelskich inżynierów i techników.

Wreszcie W. B. P. ma w swoim programie Prace Badawcze z zakresu popularyzacji książek, czytelnictwa w terenie itp. Ten dział jest jednak jeszcze minimalnie „ruszony”. Zbadano tylko parę bibliotek gminnych w pow. puławskim, radzyńskim, i lubartowskim. Powodem tego jest jeszcze w tej chwili właściwe ustawianie innych działów, bardziej łączących się z zadaniami bieżącymi.

W planach kierownictwa W. B. P. leży zorganizowanie działów metodyczno-instrukcyjnych w powiatowych bibliotekach i zaopatrzenie ich w odpowiednie materiały oraz doprowadzenie aż do szczybla gminnego działalności służby bibliograficzno-informacyjnej. W związku z tym tworzenie bibliotek podręcznych, gromadzenie książek o charakterze księgozawczym i bibliograficznym, rozsyłanie kompletów w teren celem zaopatrzenia placówek bibliotecznych w spółdzielniach produkcyjnych, kompletowanie literatury związanej z określonymi zagadnieniami dla fachowych działów (techniki, hodowli, rolnictwa, sadownictwa itp.).

Trzeba więc, żeby szerszy ogół naszego społeczeństwa orientował się nie tylko co do organizacji sieci bibliotecznych, lecz także wiedział, jakie jej poszczególne placówki mają zadania. Nagroda, którą za pionierską w pełnym sensie pracę otrzymała Lubelska Wojewódzka Biblioteka Publiczna z Ministerstwa Kultury i Sztuki, — wywołała żywe zainteresowanie w całej Polsce wśród pracowników innych Bibliotek. Toteż Lubelską W. B. P. odwiedzili niedawno przedstawiciele Wojewódzkich Bibliotek Publicznych — Warszawskiej i Gdańskiej.

Helena Platta

FILHARMONIA

W początku bieżącego roku nastąpiły zmiany wewnętrzne w łonie Państwowej Filharmonii Lubelskiej. Dyrektorem został R. Wiercioch, kierownictwo artystyczne spoczęło w rękach prof. E. Dziewulskiego (przebywającego w Lublinie przed wojną przez szereg lat i obecnie przybyłego tu od nowego roku). Dyry-

genturę prowadzą kolejno: E. Dziewulski i R. Sata-
nowski.

Pierwsze półroczie pracy przyniosło szereg koncertów udanych tak pod względem doboru programu, jak i atrakcyjności solistów. 3 koncerty z udziałem Mickiewiczówny pt. „Walce Straussa”, koncerty arii włoskich z udziałem B. Paprockiego oraz koncerty z udziałem W. Kędry, Sztompki i Czerny-Stefańskiej (wszystkie z powtórzeniem poranków lub koncertów wieczorowych).

Zdarzeniem w życiu koncertowym Lublina był koncert specjalny z udziałem J. Ekiera w rocznicę szopeńską.

Powodzeniem cieszyły się dwa koncerty z udziałem chórów Szkół Muzycznych i in. pod dyrekcją T. Chyły. Po raz pierwszy w dziejach Filharmonii w tym roku odbył się koncert szkolny — absolwentów Liceum Muzycznego (pianistów i śpiewaków) z udziałem orkiestry symfonicznej.

W terenie Filharmonia entuzjastycznie była przyjmowana przez ludność wiejską i wojsko. Ogółem odbyły się trzy koncerty popularne dla wojska, KBW, — w Milejowie na wolnym powietrzu z udziałem Mickiewiczówny. Bardzo udane były też wyjazdy do Biłgoraja, Janowa Lubelskiego, specjalnie zaś do Tomaszowa, gdzie nie widziano i nie słyszano Filharmonii od szeregu lat, oraz wyjazd do Włodawy. Na koncert ten z udziałem skrzypka H. Palulisa, laureata konkursu międzynarodowego im. H. Wieniawskiego, zjechali pracownicy okolicznych PGR.

Obecny sezon jesienny rozpoczęty został w dniu 11 września programem obfitującym w muzykę polską współczesną (koncert Paciorkiewicza, Symfonia jubileuszowa Poradowskiego). W następnych programach Filharmonia zapowiedziała dużo pozycji repertuarowych współczesnych kompozytorów polskich, jak: Prószyńskiego — „Uwertura rewolucyjna”, Dziewulskiego — „Uwertura uroczysta” i suita „W srebrzystej poświęcenie księżycy”, K. Wiłkomirskiego — „Kantata wrocławska”, Panufnika — „Suita staropolska” i in.

Na miesiąc Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zaprojektowano szereg koncertów poświęconych radzieckim, rosyjskim i polskim kompozytorom. Były to m. in. Czajkowskiego VI Symfonia i fantazja symfoniczna „Francesca da Rimini”, Musorgskiego — „Noc na Łysej Górze”, Prokofiewa — „Symfonia klasyczna”. Rocznicę śmierci Chopina w dniu 17 października została uczczona wykonaniem Koncertu f-moll przez Wł. Kędrę, który, — o czym nawiasem — prawie przez całą okupację niemiecką przebywał w Lublinie i jest serdecznie zawsze przez lublinian witany. Ogółem Filharmonia zorganizuje w drugim półroczu 50 koncertów, z których w Lublinie samym odbędzie się — 33, w terenie zaś — 17.

W ramach akcji wyjazdowej zaprojektowano na październik uroczysty koncert w Radzynie Podlaskim dla uczczenia urodzonego w tym lubelskim miasteczku kompozytora i znakomitego wirtuoza polskiego Karola Lipińskiego (ur. 1790 r.), w swoim czasie uznano go za jedyne rywała Paganiniego.

W zobowiązaniach swych Filharmonia przygotowała koncerty wyjazdowe dla ludności wiejskiej w Krynicach pow. tomaszowskiego, w Gorzkowie i Żółkiewce pow. krasnostawskiego oraz w Niedzwicy Dużej. Koncerty te odbyły się we wrześniu. Witana wszędzie z entuzjazmem przez ludność wiejską i robotniczą. Filharmonia zdobyła sobie coraz szersze kręgi słuchaczy a zaproszenie na trzy koncerty w czasie trwania Wielkiej Wystawy Rzemieślniczej i Przemysłu Miejscowego w Lublinie oraz pełne uznania przyjęcie, z jakim się spotkały koncerty — potwierdza w wysokim stopniu twierdzenie, że zagadnienie konsumpcji muzyki w Lubelszczyźnie staje się nie tylko coraz bardziej realne, ale i popularne.

Halp

SZKOŁY MUZYCZNE

W tym roku, po doświadczeniach roku ubiegłego w powstałej wówczas Państwowej Podstawowej Szkole Muzycznej — Komisje do Badania Uzdolnień przegzaminowały i przebadaly wszechstronnie zgłaszające się bardzo licznie dzieci. Przyjęto ich nieco więcej niż plan przywidywał — około 70. Aby zorganizować wygodniej korelację we wszystkich przedmiotach nauczania, w tym roku podzielono klasę pierwszą na dwie sekcje — fortepianową i skrzypcową. Z podziału tego widać, że w tym roku wybitnie wzrosło zainteresowanie nauką gry na skrzypcach. Społeczeństwo lubelskie zaczyna się oswajać nie tylko z poważnym i wieloletnim przygotowaniem kadr muzycznych w ogóle, lecz także rozumie już i to, że w przyszłości (tak jak i obecnie) większe będzie zapotrzebowanie na instrumentalistów skrzypcowych do orkiestry symfonicznej — lubelskiej i do orkiestr w całym kraju. Grono profesorskie Podstawowej Szkoły Muzycznej pod dyr. T. Chyły przygotowuje się jeszcze i do nadprogramowej pracy — mianowicie podzielone na poszczególne grupy będzie wyszukiwało i otaczało opieką w przed-szkolach i szkołach podstawowych Lublina i Lubelszczyzny dzieci, które okazują uzdolnienia muzyczne.

Również drugi rok istniejące Państwowe Liceum Muzyczne przystąpiło do pracy i nauki w tym roku z nowym zapałem inicjatywy. Dyrektorem został M. Dawidowicz. Organizuje się obecnie szkolna orkiestra symfoniczna, gdyż skład uczniów, kształcących się na różnych instrumentach pozwala w tym roku na stworzenie takiej placówki. Poza orkiestrą powstaną w Liceum Muzycznym licznie reprezentowane uczniowskie zespoły kameralne oraz jeden zespół wokalny, poza istniejącym przy szkole od dawna chórem. Do Liceum w tym roku przeszło z Niższej Szkoły Muzycznej 10 absolwentów, tak iż ciągłość nauki od szkoły podstawowej poprzez Liceum i dalej jest zachowana, przy czym absolwenci Liceum (zeszłorocznicy) wszyscy dostali się do Konserwatorium w Krakowie i Warszawie. Na uwagę zasługuje w Liceum Muzycznym istniejący wydział instruktorski kształcący wyszkolonych muzycznie pracowników kulturalnych dla świetlic zakładowych, fabrycznych i wiejskich. 70% młodzieży Liceum należy do ZMP i obejmuje swym protektoratem placówkę harcerską przy Podstawowej Szkole Muzycznej. Nadmienić trzeba, że w tym roku Szkoły Muzyczne powstały w Zamościu i w Chełmie.

Halp

Ogniska muzyczne powstały w Lubelszczyźnie już w latach 1945-46. Opiekę nad nimi objęło Ministerstwo Kultury i Sztuki, udzielając subwencji i dążąc do stopniowego powiększenia sieci ognisk na wsi, szczególnie w powiatach bardziej zacofanych pod względem kulturalnym. Uczestnikami Ognisk są dzieci, młodzież i ludzie pracy. Przystwoiwszy sobie w pewnym zakresie teoretyczne i praktyczne wiadomości z dziedziny muzyki i tańca, przenoszą je do świetlic miejskich i wiejskich, spółdzielni produkcyjnych i fabryk. Kształcą uświadomionych odbiorców muzyki oraz roztaczają opiekę nad samodzielnymi talentami, podczas gdy szkoły muzyczne kształcą gruntownie fachowców instrumentalistów, a być może i solistów przyszłości. W Lublinie istnieje jedno Ognisko Muzyczne, które w obecnej chwili znajduje się w krytycznej sytuacji z powodu braku lokalu, jakkolwiek ma kilka punktów zaczepienia na peryferiach miasta. Poza Lublinem Ogniska Muzyczne pracujące z większym życiem znajdują się w Białej Podlaskiej, Łukowie, Sitańcu i Krasnymstawie.

Halp

ARTOS

Z dniem 1 stycznia br. na skutek reorganizacji instytucji dotychczasowa Delegatura Okręgowa „Artosu” działająca wyłącznie na terenie województwa lubelskiego stała się Oddziałem Terenowym obejmującym swą działalnością województwa: lubelskie i białostockie.

Już w latach ubiegłych Delegatura Lubelska „Artosu” przyczyniła się poważnie do rozwoju kultury szerokich warstw robotniczych i chłopskich na terenie Lubelszczyzny. Świadczą o tym dane dotyczące zarówno liczby osób zatrudnionych w delegaturze, jak i liczba odbytych imprez i widzów, którzy je oglądali. W roku 1949 w lubelskim „Artosie” były zatrudnione tylko 3 osoby, w r. 1950 — 7, a obecnie — 37. W latach 1951 i 1952 zorganizowano na terenie województwa lubelskiego ogółem 2375 imprez, które obsłużyły 622.931 widzów, z czego na ośrodki wiejskie, POM, PGR i spółdzielnie produkcyjne przypadło 693 imprezy (179.246 widzów).

Jak widać z tych liczb, w dwóch ostatnich latach „Artos” obsłużył imprezami stosunkowo małą ilość ośrodków wiejskich. Wynikało to stąd, że delegatura nie rozporządzała jeszcze własnymi ekipami wiejskimi, które mogłyby docierać do najdalszych zakątków Lubelszczyzny, jak to się dzieje obecnie na terenie obu województw dzięki powstaniu (jesienią ub. r. w okresie przedwyborczym) trzech stałych własnych zespołów artystycznych, dwóch pięcioosobowych i jednego czteroosobowego). W niedawnym czasie została utworzona czwarta ekipa z bazą w Białymstoku i w każdym zespole jest 5 artystów. Ten odcinek akcji „Artosu” obejmujący wieś i docierający do niej z dobrą muzyką, piosenką, obrazkami scenicznymi i satyrą (rzecz nie do pomyślenia w Polsce przedwojennej) jest najważniejszy i kładzie się na niego największy nacisk. Jest to praca trudna, ale wdzięczna. Ekipy te dają miesięcznie po 15 przedstawień każda.

Wzorem lat ubiegłych „Artos” organizuje w miastach recitale wokalne i instrumentalne z udziałem

najwybitniejszych naszych artystów, jak np. Dzikówna, Fołtynówna, Kawecka, Kostalówna, Mickiewiczówna, Paciejewski, Poreda, Prządka, Finze i inni, z pianistów — Kędra, Sztompka, Bakst i in., koncerty, imprezy estradowe miejskie i stałe, cykliczne audycje szkolne (trzech stopni) dla młodzieży szkół średnich w miastach powiatowych i w Lublinie. Dużym i zasłużonym powodzeniem cieszył się w maju i czerwcu br. recital Władysława Surzyńskiego „W kręgu ojczystego słowa”, obejmujący utwory poetyckie i prozę postępowych pisarzy polskich od wieku złotego do czasów dzisiejszych.

Ogółem w roku bieżącym w ciągu 9 miesięcy (od 1 stycznia do 1 października) zorganizowano na terenie woj. lubelskiego 627 imprez, z czego 216 na wsi.

„Artos” organizuje również wielkie imprezy z udziałem artystów zagranicznych (np. w latach ubiegłych Chór Aleksandra i Cyrk Młodzieży Chin Ludowych), w r. bieżącym zespół pieśni i tańca (Państwowy Ukraiński Chór Ludowy) pod kier. Grzegorza Wieriołki i zespół pieśni i tańca Chińskiej Republiki Ludowej.

kaj

TEATR WARSZAWSKIEGO OKRĘGOWEGO DOMU OFICERA W. P.

W r. b. powstał w Lublinie Teatr Domu Oficera, który wzoruje się w swoim planowaniu na pracy warszawskiego Teatru Wojska Polskiego, W czerwcu odbyła się w nim inauguracyjna premiera sztuki Jerzego Lutowskiego „Sprawa rodzinna”.

Kierownictwo tego teatru postanowiło wystawiać przede wszystkim sztuki współczesne, mając na celu wychowywanie rzesz ludzi pracy, równoleg-

z działalnością wychowawczą — społeczną w stosunku do swych jednostek wojskowych. Dlatego dąży i dążyć będzie do obsłużenia nie tylko wojska, lecz także większych zakładów pracy i fabryk Lubelszczyzny, dając m. in. tak zwane „składanki programowe”. Jakkolwiek w tej chwili Teatr Domu Oficera w Lublinie jest w stadium organizowania się, niemniej już w okresie od czerwca do października zdołał urządzić kilka występów w terenie, w Szpitalu Wojskowym, w niektórych jednostkach dla żołnierzy powracających z letniego obozu itp.

Po sztuce „Sprawa rodzinna”, którą grano 35 razy, przy zadowalającej frekwencji, wystawiono komedię muzyczną Skowrońskiego i Słotwińskiego „Dwa tygodnie w raj”. Do października odbyło się już 45 spektakli tej sztuki przy kompletach.

Dyrekcja teatru spoczywa w rękach kpt. Michalskiego, kierownictwo artystyczne powierzono Jerzemu Junoszy. Zespół aktorski liczył początkowo 17 osób, lecz w najbliższym czasie będzie zwiększony do trzydziestu. Z aktorów i aktorek, którzy już występowali w Lublinie w latach poprzednich na scenie Teatru Muzycznego, są obecnie w Teatrze Domu Oficera: I. Ferency, J. Łaszczyk, W. Pawlikowska, Hańcza, J. Junosza, Cz. Pręgowski, Rowiński i in. Organizująca się właśnie orkiestra liczyła na razie 8 osób, a zwiększona będzie do 12. Scenografem jest znany już lubelskiej publiczności E. Grajewski, reżyserów zaś dyrekcja teatru ma zamiar angażować gościnnie spośród wybitnych sił w tej dziedzinie z innych terenów. Ponadto są w tej chwili w toku rozmowy dotyczące zaangażowania kilku znanych aktorów i aktorek z Warszawy.

Halp

AUTORZY, KTÓRYCH UTWORY ORYGINALNE LUB PRZEKŁADY ZAMIEŚCIŁA „KAMENA”

(1933—1939)

Franciszka Arnsztajnowa, Aleksander Baumgarten, Stefan Bardczak, Stanisław Bąkowski, Emil Biedrzycki, Adam Bielecki, Konrad Bielski, Zbigniew Bienkowski, Tadeusz Bocheński, Antoni Bogusławski, Halina Brodowska, Władysław Broniewski, Antoni Brosz, Jan Brzękowski, Janina Brzostowska, Teodor Bujnicki, Anna Chromińska, Józef Czechowicz, Wawrzyniec Czereśniowski, Henryk Czerkies, Stanisław Czernik, Marian Czuchnowski, Olga Dauksza, Witold Degler, Adolf Dicker, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Henryk Domiński, Wołodimir Doroszenko, Władysław Dunarowski, Ignacy Fik, Kornel Filipowicz, Aniela Fleszarowa, Józef Andrzej Frasik, Ignacy Gąsior (Ignacy Igoń), Jerzy Gieysztor, Lew Gomolicki, Antoni Gronowicz, Wiktor Gwoździewski, Edwin Herbert, Paweł Hertz, Tadeusz Hollender, Waclaw Iwaniuk, Alicja Iwańska, Jan Iwański, Juryj Iwask, Czesław Janczarski, Bruno Jasiński, Zbigniew Jasiński, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Wanda Karczewska, Światopełk Karpiński, Witold Kasperski, Zdzisław Kempf, Józef Nikodem Kłosowski, Jadwiga Korczakowska, Piotr Korzuch, Jan Kott, Władysław Krygowski, Sergiusz Kułakowski, Jalu Kurek, Stanisław Jerzy Lec, Waclaw Lednicki, Leo-

pold Lewin, Leo Lipschütz, Mieczysław Lisiewicz, Mieczysław Lurczyński, Alfred Łaszowski, Józef Łobodowski, Antoni Madej, Ludwik Maj, Kornel Makuszyński, Hanna Marczevska, Józef Maśliński, Ryszard Matuszewski, Wiktor Matyszczuk, Stanisław Mecziar, Wanda Melcer, Aleksander Messing, Bronisław Ludwik Michalski, Hieronim Michalski, Anatol Mikułko, Witold Mileski, Jan Nepomucen Miller, Czesław Miłosz, Józef Mondschein, Czesław Morawski, Waclaw Mrozowski, Felicja Nadrzecka, Kazimierz Namysłowski, Stefan Napierski, Konstanty Narkiewicz-Jodko, Anna Nieławicka, Nora Odlanicka, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Papierkowski, Leon Pasternak, Marian Piechal, Jerzy Pietrkiewicz, Włodzimierz Pietrzak, Stanisław Piętak, Lech Piwowar, Jerzy Pleśniarowicz, Władysław Podstawka, Seweryn Pollak, Zdzisław Popowski, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Mirosław Stefan Radecki, Julian Rogoziński, Anatas Rusew-Sam, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy Mieczysław Rytard, Ludomir Rubach, Artur Rzeczyca, Roman Sadowski, Artur Sandauer, Tadeusz Sarnecki, Bruno Schulz, Marcin Seweryn, Władysław Simonberg, Włodzimierz Słobodnik, Józef Sroga, Mieczysław Stryjewski, Franciszek Surówka-Brzegowski, Stefan Szajdak, Jan Szczepański, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Adam Szczerbowski, Mieczysław Szczuka, Lola

Szereszewska, Jan Śpiewak, Ludwik Świeżewski, Anna Świrczyńska, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Ton, Stanisław Kazimiera Trawkowski, Kazimierz Truchanowski, Stanisław Turczyn, Julian Tuwim, Zenon Waśniewski, Jadwiga Ważewska, Adam Ważyk, Jerzy Kamil Weintraub, Bronisław Wieczorkiewicz, Julia Wieleżyńska, Helena Wielowieyska, Kazimierz Wierzyński, Bronisław Krystian Wierzejski, Julian Wit, Jan Wolff, Zofia Wolnik, Jan Wydra, Stanisław Wygodzki, K. W. Zawodziński, Tadeusz Zelenay, Julian Zuławski.

(1945—1949)

Feliks Araszkiwicz, Stefan Balicki, Aleksander Baumgardten, Stanisław Bąkowski, Maria Bechczyc-Rudnicka, Zbigniew Bieńkowski, Jacek Bocheński, Tadeusz Bocheński, Roman Bratny, Andrzej Braun, W. L. Brudziński, Janina Brzostowska, Józef Czechowicz, Stanisław Czernik, Waclaw Denhoff Czarnocki, Władysław Dunarowski, Ignacy Fik, Tadeusz Gajcy, Jan Maria Gisges, Eugeniusz Gołębiowski, Waclaw Gralewski, Stefan Grass, Franciszek Halas, Julia Hartwig, Paweł Hertz, Tadeusz Hollender, Jan Huszcza, Janina Izdebska, Czesław Janczarski, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Andrzej Jaworski, Marek Adam Jaworski, N. Kalitin, Anna Kamińska, Bronisław Kamiński, Bogdan Kamodziński, Gabriel Karski, Hanna Kawa, Juliusz Kleiner, Jan Kopyrowski, Jadwiga Korczakowska, Maria Krzetuska, Tadeusz Kubiak, Aleksander Kulisiewicz, Sergiusz Kułakowski, Jerzy Lau, Edward Leszczyński, Jerzy Liebert, Tomasz Andrzej Listkiewicz, Marian Narcyz Listowski, Władysław Machejek, Zygmunt Mikulski, Waclaw Mrozowski, Jan Nagrabiecki, Wojciech Natanson, Mirosław Ochocki, Klemens Oleksik, Walery Osmenda, Stanisław Ostrowski, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Papierkowski, Ernest Petrajtis, Marian Piechal, Włodzimierz Pietrzak, Zbigniew Piotrowski, Helena Platta, Leonard Podhorski-

Okolów, Władysław Podstawka, Seweryn Pollak, Jadwiga Radlińska, Józefa Radzyńska, Jan Reychman, Waclaw Rolicz-Lieder, Tadeusz Rożewicz, Roman Sadowski, Józef Sarota, Franciszek Siedlecki, Igor Sikirycki, Janusz Skoszkiewicz, Włodzimierz Słobodnik, Tadeusz Sokół, Tadeusz Stępniewski, Robert Stiller, Zbigniew Stolarek, Jan Szczawiej, Adam Szczerbowski, Maria Szczepańska, Maria Szczepowska, Wilhelm Szewczyk, Eug. Tager, Grzegorz Timofiejew, Stanisław Turczyn, Jadwiga Ważewska, Jerzy Kamil Weintraub, Aleksander Widera, Andrzej Wirth, Stanisław Wygodzki, Kazimierz Wyka, K. W. Zawodziński Witold Zechenter, Joanna Żwirska.

Sześć przedwojennych roczników „Kameny” składa się z 60 numerów w 50 zeszytach i zawiera 1232 str.

Cztery powojenne roczniki „Kameny” (1945 — 1949) składają się z 24 numerów w 11 zeszytach i zawierają 570 str.

(1952—1953 Z NUMEREM OBECNYM WŁĄCZNIE)

Feliks Araszkiwicz, Maria Bechczyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Zbigniew Bieńkowski, Tadeusz Bocheński, Andrzej Cesarz, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Konrad Eberhardt, Henryk Gawarecki, Eugeniusz Gołębiowski, Waclaw Gralewski, Artur Iskrzycki, Irena Iskrzycka, Anna Jakubiszyn, Kazimierz Andrzej Jaworski, Marek Adam Jaworski, Wojciech Kielczewski, Antoni Kluczyk, Tadeusz Kłak, Józef Nikodem Kłosowski, Leopold Lewin, Ryszard Liskowacki, Zygmunt Mikulski, Wojciech Natanson, Jan Parandowski Helena Platta, Alina Rybicka, Jerzy Mieczysław Rytard, Adolf Sowiński, Jerzy Starnawski, Anatol Stern, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Maria Szczepowska, Jadwiga Ważewska, Stefan Wolski, Ludwika Woźnicka, Kazimierz Wroczyński, Załoga Nr 1, Stefan Zarębski, Czesław Zgorzelski.

